

**PREMIER
JAROSŁAW
KACZYŃSKI:**

**NAJPIERW MUSIMY
ZDUSIĆ EPIDEMIĘ.
POTEM RUSZYMY
Z AMBITNĄ
OFENSYWĄ**

**ARCYCIĘKAWA ROZMOWA
CZABAŃSKIEGO Z WYSZKOWSKIM
O „OKRĄGŁYM STOLE”**

**KULISY WALKI
O ŻYCIE POLAKA
Z WIELKIEJ BRYTANII**

**KTO TRZYMAŁ PARASOL
NAD OKRADANIEM
SKOK WOŁOMIN**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 5 (427) 2021
1-7 lutego 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

GDY HOŁOWNIA MÓWIŁ **JAK** **KAZNODZIEJA**

**OBJEŻDZAŁ PARAFIE
I Z PASJĄ NAUCZAŁ**

**O ZŁU ABORCJI,
SILE WIARY, ZACHĘCAŁ**

DO CZYSTOŚCI PRZEDMAŁŻEŃSKIEJ.

**CO SIĘ STAŁO, ŻE DZIŚ WSPIERA MARSZE
SPOD ZNAKU BŁYSKAWICY?**

KORSUN

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





WYDARZENIA

BOGACTWO KANAŁÓW!

POLECAMY PAKIET DLA CAŁEJ RODZINY ZA **30 ZŁ/MIES.**



nickTOONS



Na start pełna oferta przez

**3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!**

TV SATELITARNA

TV KABLOWA IPTV

TV INTERNETOWA

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV z Pakietem M oraz internetowej z Pakietem Komfortowym przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Mroczne Materie II” © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Serie A TIM w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. Oferta ważna na dzień 3.02.2021 r.

Przeczytajmy to uzasadnienie uważnie. Ono nie jest tak jednoznaczne ani szerokie, jak niektórzy próbują rysować

Spór wokół ochrony życia nakłada się w ostatnim czasie szczególnie mocno na podziały polityczne oraz różnice cywilizacyjne. Pełny pisemny wyrok Trybunału Konstytucyjnego znowu przyniósł skok emocji, znowu pojawiły się wezwania do wyjścia na ulice – mimo stanu pandemicznego – ale i do jakichś akcji bardziej bezpośrednich, przemocowych. W miniony czwartek doszło do najścia bojówkarskiego na Trybunał, próbuje się zastraszać prezes TK i innych sędziów.

Szkoda, że tak mało tu normalnej rozmowy. Przecież Trybunał kierował się tą linią analizy prawnej, która dominowała w TK od wielu lat, także za poprzednich jego składów. Jak mówiła prezes TK Julia Przyłębska kilka tygodni temu w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”, to był wyrok w imię prawa, nie polityki. „Mamy jasne przepisy konstytucji, mamy też wieloletnią linię orzecniczą, w którą wpisuje się ostatni wyrok. Przyznawali to nawet prezesi Andrzej Zoll i Andrzej Rzepliński, których trudno posądzać o sympatię do mnie i obecnego składu Trybunału” – stwierdziła.

W ubiegłym tygodniu poznaliśmy nareszcie pisemne uzasadnienie werdyktu. Warto się z nim zapoznać, bo nie jest tak jednoznaczne, a na pewno tak szerokie w skutkach, jak próbują to opisywać niektórzy politycy obecnej opozycji czy liderki protestów.

Najogólniej mówiąc, jak analizowaliśmy na łamach wPolityce.pl, „Trybunał Konstytucyjny ponownie stwierdził, że człowiek od momentu poczęcia ma prawo do życia. Stwierdził także, że każde życie ludzkie ma taką samą wartość. Nie ma lepszych i gorszych istot ludzkich, każdy człowiek ma jednakowe prawo do życia. Taką samą wartość ma życie człowieka przed narodzeniem, życie człowieka młodego i pełnego sił oraz życie człowieka starszego. Na tym fundamentie cywilizacji ludzkiej opiera się

polski system prawny. Przerwanie ciąży jednocześnie wiąże się z pozbawieniem dziecka jego życia. Przesłanka eugeniczna zabijania dzieci nienarodzonych jest z tym fundamentem sprzeczna”.

W największym skrócie sytuacja wygląda tak: zakres ochrony życia został zwiększony, wyłącznie przesłanka eugeniczna, a więc ryzyko urodzenia dziecka chorego czy niepełnosprawnego, nie może być powodem aborcji. Ale jeżeli wada jest tego rodzaju, że urodzenie dziecka zagrażałoby zdrowiu kobiety, ten zakaz nie obowiązuje. Podobnie pozostają w polskim prawie wyjątki mówiące o możliwości aborcji, gdy ciąża jest wynikiem przestępstwa, np. gwałtu, oraz gdy zagraża życiu kobiety. Mówiąc jeszcze inaczej, nie można przerwać ciąży, jeśli przyczyną jest wyłącznie prawdopodobieństwo urodzenia dziecka niepełnosprawnego. Ale pozostaje przesłanka zdrowia i życia kobiety mogąca mieć zastosowanie, jeśli donoszenie do końca ciąży z ciężko chorym dzieckiem będzie miało skutki dla zdrowia kobiety.

Ale – to ważne zastrzeżenie wywiedzione z orzeczenia – tym zagrożeniem dla kobiety nie mogą być argumenty o pogorszeniu jej komfortu życia w przypadku urodzenia chorego dziecka, co jest masowo stosowane np. w Niemczech. Brak życia w komforcie nie jest w świetle orzeczenia TK przesłanką do zabicia dziecka. Ale już poważne komplikacje zdrowotne będą ważną przesłanką dla lekarzy.

Trybunał przypomniał też, że żaden przepis prawa nie przewiduje odpowiedzialności karnej matki za przerwanie ciąży.

Wszystko to prowadzi do wniosku, że podsuwane opinii publicznej w historycznym tonie wypowiedzi o rzekomym zmuszaniu przez prawo kobiet do heroizmu nie znajdują uzasadnienia. Przeczytajmy to uzasadnienie uważnie. Ono nie jest tak jednoznaczne, jak niektórzy próbują rysować. Osobiście jestem zwolennikiem możliwie najmocniejszego poziomu ochrony życia ludzkiego, ale nie o tym teraz rozmawiamy. 

Michał Karnowski




30

**Super-Dworczyk,
czyli powrót Urzędu
Rady Ministrów**
Jan Rokita


34

**Europejski plan
szczepień na progu
katastrofy**
Marek Budzisz


55

Rewolucja Bidena
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 PŁCIOBÓJ NOWOŚMIESZNY**
Krzysztof Feusette
- 9 CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 BEZDENNA IGNORANCJA LEWICY**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 JAZGOT NAD UMIERAJĄCYM**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA KATARZYNY TRZASKALSKIEJ**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 MIKROMOBILNOŚĆ UJĘTA W RAMACH PRAWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 SAFARI BORYSA BUDKI**
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

- 20 CEL UŚWIEĆA ŚRODKI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 26 Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 30 SUPER-DWORCZYK, CZYLI POWRÓT URZĘDU RADY MINISTRÓW**
Jan Rokita
- 32 STAN HIBERNACJI**
Stanisław Janecki
- 34 EUROPEJSKI PLAN SZCZEPIEŃ NA PROGU KATASTROFY**
Marek Budzisz
- 38 OTWIERANIE BIZNESÓW – ROZPACZ CZY SAMOWOLKA?**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 40 Z JADWIGĄ EMILEWICZ**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 43 Z MARCINEM WARCHOLEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska
- 46 PIĘĆ LAT SPORU O POCZYTAŁNOŚĆ**
Maja Narbutt

- 49 NIE JESTEŚMY TRAWOŻERCAMI**
Rozmowa Aleksandry Jakubowskiej

- 52 KTO TRZYMAŁ PARASOL NAD WOŁOMINEM**
Piotr Filipczyk

ŚWIAT

- 55 REWOLUCJA BIDENA**
Konrad Kołodziejski

HISTORIA

- 58 SPOD STOŁU**
Archiwalna rozmowa Krzysztofa Czabańskiego z Krzysztofem Wyszkowskim

SIECI KULTURY

- 63 OD JAZZU DO OBRAZÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 GRUPÓWKA Z TWINKAMI**
Robert Tekieli
- 67 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 68 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 70 NIEZROZUMIAŁE I NIEUZASADNIONE OGRANICZENIA NIE SĄ SKUTECZNE**
Debata „Gazety Bankowej”

KUCHNIA

- 74 MOJE SMAKI: JOHN LURIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 GIGANCI POD KONTROLĄ**
Wojciech Reszczyński
- 77 ODPOWIEDZIALNOŚĆ**
Alina Czerniakowska
- 78 UPORCZYWIE I DO KOŃCA**
Aleksander Nalaskowski
- 79 DUMNE WAFELKI**
Wiktor Świetlik
- 80 STRZAŁ W PŁECY**
Ryszard Makowski
- 81 PUSTOSZEJE PRZY NASZYM STOLE...**
Leszek Długosz
- 82 WIEM. BO NIE OGLĄDAM!**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

ULUBIONA KAWA POLAKÓW* ... i nie tylko



Kimi
Räikkönen

Robert
Kubica

Antonio
Giovinazzi

* Źródło: badanie realizowane przez KANTAR POLSKA na reprezentatywnej próbie Polaków w wieku 15+, N=2025, Omibus – CAPI, czerwiec-lipiec 2020, badanie dostępne na www.stopcafe.pl

Sygnalista nadaje

 Po publikacji werdyktu Trybunału Konstytucyjnego liderka tzw. Strajku Kobiet wezwała do protestów. „Wszystkich zapraszamy, wszystkich prosimy, wszystkich wzywamy do tego, żeby wyszli, do tego, żeby się zmobilizowali i żeby tym razem iść tak, żeby zostawiać ślady. Wyrażcie ten swój gniew tak, jak uważacie” – mówiła Lempart. Jak widać, to nie tylko hołota, nie tylko chamstwo i wulgarność, lecz także zwykła chuliganeria.

 W czasie protestu Lempart wygrażała także urzędnikowi, który odpowiada za publikację wyroku TK w Dzienniku Ustaw. „Kto będzie tym frajerem w kancelarii, który się pod tym podpisze? Proszę bardzo! Proszę bardzo! Będziemy cię ścigać tak długo, aż już nic innego z całego swojego życia nie będziesz pamiętał! To do tego przestępcy, chętnego, żeby się wykazać!” – wrzeszczała przez mikrofon. Przyjdą czasy, że państwo polskie nie pozwoli, by byle kto skakał mu po głowie. Przyjdą. Trzeba wierzyć.

 Lempart i jej kamratki pojawiły się na konferencji prasowej w zielonych chustach na twarzach. Chciały tym samym nawiązać do proaborcyjnych protestów w Argentynie, ale całość tego obrazu – owe chusty, bojowe odezwy i pokrzykiwania – nasuwały inne skojarzenia. Z jednej strony dżihadizm – bo zielony to kolor islamu, z drugiej – ONR. Skojarzenia celne, ale najczytelniej by było, gdyby panie nosiły chusty brunatne.

 **Radostaw Sikorski** wywiesił na dachu swojego dworku w Chobie-

linie flagę narodową z domalowaną czarną błyskawicą, czyli obecnie symbolem tzw. Strajku Kobiet (wcześniej był to symbol Hitlerjugend). Oczywiście pochwalił się zdjęciem i prowokacyjnie wezwał policję: „Przyjdźcie i zdejmijcie”. Policja nie przyjdzie, ale moment, w którym dla głupkowatej uciechy depczą święte barwy, warto zapamiętać.

 **Rafał Trzaskowski** także przekracza czerwone linie. W dość mętnej wypowiedzi dla stowarzyszenia Oxford Union zarzucił rządowi, że gra antysemityzmem: „Wymyślili to, że dajemy własność Warszawy w żydowskie ręce, tylko po to, żeby grać antysemitką kartą”. Co prawda to rodzina byłej prezydent stolicy Hanny Gronkiewicz-Waltz przejęła żydowską kamienicę, ale kto by się przejmował takimi szczegółami? Zarzut i fałszywy, i podły.

 Polska opozycja, także medialna, umie pochwalić, oczywiście, gdy ktoś zasłuży. Np. redaktor naczelny Onetu znalazł dobre słowo dla reżimu Putina: „Czy wiecie, że podczas rozpędzania demonstracji prodemokratycznych w Rosji w ostatniej dekadzie nikt nie zginął? Bardzo profesjonalne służby mają Rosjanie”. Na co dzień oskarżają (wyjątkowo fałszywie) PiS o prorosyjskość, ale od czasu do czasu trochę zachwyty się uleje.

 Niestety, nie udało się uratować Polaka w śpiączce, którego brytyjska służba zdrowia i brytyjskie sądy postanowiły szybko uśmiercić. Rzeczpospolita wypełniła jednak swój święty obowiązek: walczyła do końca. Opozy-



Jarosław Gowin pojechał do Berlina. „Jako minister odpowiedzialny za gospodarkę i pracę odbędę bardzo intensywną podróż, całą serię spotkań z czołowymi niemieckimi politykami oraz przedstawicielami kręgów biznesowych” – relacjonuje wicepremier, dodając, że „Niemcy to najważniejszy partner gospodarczy Polski”. Wizyta cieszy, ale mamy nadzieję, że to nie jest początek samodzielnej polityki zagranicznej Porozumienia. Nasz kochany sąsiad takich okazji do wasalizacji i rozgrywania nie marnuje. Lepiej uważać.

cja jak zawsze miała inne zdania. Poseł Lewicy Maciej Gdula posunął się nawet do takiej oto wypowiedzi: „Jeżeli to jest sytuacja naturalna, postawmy jedzenie obok jego łóżka i zobaczymy, czy będzie w stanie zjeść”. Odpowiedział mu Robert Winnicki: „Politycy lewicy empatyczni tradycyjnie, jak NKWD”. Celnie.

 **Roman Giertych** skomentował sprawę w istocie jeszcze mocniej: „Jak dobrze, że PiS nie rządził w kwietniu 2005 r. Wyobrażacie sobie Państwo to wzmożenie, które nastąpiłoby na wieść, że papież-Polak powiedział: »Pozwólcie mi odejść« i odmówił dalszej, uporczywej terapii? Toż by biednego papę ubezwłasnowolnili, porwali i przywieźli, aby »leczyć«”. Zaszli naprawdę daleko. Ale cóż, wiele w życiu wraca do człowieka, czasem bardzo dosłownie.

 Publicysta Tomasz Terlikowski napisał z kolei, że „z zalem przygląda się histerii – niestety podkręcanej także przez polityków”. W jego ocenie ta „histeria” ma „niewiele wspólnego z troską o obronę życia”. W innej wypowiedzi narzekał na „moralne wzmożenie w tej sprawie”. „Nie dziwi się, że wielu dotąd życzliwych Ci ludzi zaczęło uważać, iż przeszedłeś na drugą stronę” – skomentował to stanowisko Robert Tekieli. Cóż, będzie tego więcej.

 Sławomir Nitras zasypał komplementami prezesa TVP. „Przypomnę tylko kampanię prezydencką z zeszłego roku, której zwycięzcą powinien być oczywiście Rafał Trzaskowski, a wygrał kto? Wygrał Jacek Kurski, bo przecież wszyscy wiemy, że tylko z powodu telewizji publicznej te wybory skończyły się, jak się skończyły”. Dodał także: „Jeśli chodzi o PiS, to Kurski działa, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Natomiast wszystko inne po prostu nie działa”. Gdyby Nitras oglądał więcej TVP, toby wiedział, że wszystko inne także działa.

 Minął rok, odkąd **Borys Budka** przejął stery Platformy. Jeden z jego partyjnych kolegów tak skomentował, anonimowo, te 12 miesięcy: „Rządzą Borys, Rafał Trzaskowski, Czarek Tomczyk, Marcin Kierwiński, a wyeliminowali kobiety”. Inny dodał: „Zapowiedzi Borysa były szumne, a zaczynamy działać jak Nowoczesna, ale tak to jest, jak rzecznicy prasowi zostają szefami”. Petru na polityce też się nie znał, ale był jednak zabawniejszy.

 Swojego następcę zrecenzował także Grzegorz Schetyna. „Oczekiwałem więcej aktywności i więcej skuteczności, żeby Platforma

miała lepszy wynik sondażowy. Ją ją zostawiałem, kiedy miała 31 proc., kiedy wygrała w Senacie, a wcześniej obroniła wszystkie miasta. To jest historia. Budka to otrzymał i dzisiaj, po roku można zapytać, gdzie jest Platforma, jakie ma poparcie społeczne” – mówił były lider PO. Spadek nie był tak imponujący, jak to Schetyna opisuje, ale jest faktem, że jego to się przynajmniej w partii bali.

 Ciekawą diagnozę sytuacji ma Marek Sawicki z PSL, którą zdradził w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Borys Budka jest wyraźnie w swojej formacji spychany i uważam, że to, co zrobił Donald Tusk, dając Joannie Musze zgodę na przejście do Hołowni, to jest sygnał do rozformowania PO. Z tym powinien zmierzyć się Borys Budka, a nie walczyć z PiS-em. On ma naprawdę głęboki, wewnętrzny problem w PO, z którego być może nie zdaje sobie sprawy”. To możliwe. Tusk lubi takie toksyczne numery. Zawsze lubił.

 Okazało się, że **Szymon Hołownia** ma wiele wspólnego z bohaterem serialu „Ranczo”, wójtem Wilkowyj Pawłem Koziółem. Obaj – jeden w fikcyjnym serialu, drugi w realu – używają tego samego hasła, przekonując wyborców, że „wiedzą, jak to zrobić”. Dla wielu to dowód na to, że Hołownia ściąga skąd się da, i potwierdzenie, że jest tak samo pusty politycznie jak wójt – później senator, a na końcu prezydent – Koziół. Ale możliwe jest i inne tło tej samej sprawy. Może po prostu Hołowni doradzają ludzie, którzy zrobili „Ranczo”?

 „Gazeta Wyborcza” pochyliła się nad prokuratorem, który został delegowany do pracy w Lidzbarku Warmińskim. Informację opatrzyła następującym tytułem: „Zesłany na Warmię warszawski prokurator już pracuje: Rano biegałem w śnieżycy”. Rzeczywiście, praca w takim miejscu musi być strasznym krzyżem... A tak na serio, to Warmia jest najpiękniejszym regionem Polski, a Lidzbark Warmiński to wyjątkowo piękne miasto, które nie zasługuje na kodziarzy z Warszawy.

 Z kolei „Newsweek” zamieścił artykuł pt. „Żona ze Wschodu. Polacy masowo szukają żon na Ukrainie i w Rosji”. I dalej: „Są piękne i mądre, a jednocześnie skromne i wierne. Inne niż wyemancypowane Polki, za którymi Polacy dawno przestali nadążać”. Ciekawy punkt widzenia. Ale i smutna refleksja: jedną ręką redakcja Tomasza Lisa przerabia kobiety na zombie w lemparcim stylu, a drugą ubolewa, że to wszystko nie do zniesienia. Może jakaś refleksja?



Halo, halo, witam państwa serdecznie ze Stadionu im. Bezpłciowego Sportowca w Waszyngtonie, na którym dosłownie już za kilka chwil prezydent Joe Biden dokona uroczystego otwarcia Pierwszych Demokratycznych Mistrzostw Lekkoatletycznych Stanów Zjednoczonych Płci Nieskończonych. Przypomnijmy, że dzięki jednemu z pierwszych dekreto-
w prezydenta Bidena każdy człowiek w USA, a już na pewno sportowiec, zwłaszcza małoletni, może być tym, kim się czuje. A zatem – jeśli chłopak/mężczyzna nie czuje się chłopakiem/mężczyzną, może w zawodach rywalizować z dziewczynami/kobietami. I odwrotnie, choć odwrotnie, nomen omen, nie ma sensu, gdyż kobieta czująca się mężczyzną z mężczyznami czującymi się mężczyznami przegra i w biegu, i w rzucie, i w ogóle. Za to zawodnik w roli zawodniczki ma fory ogromne. Przy okazji, na marginesie spraw sportowych, odnotujmy, iż pojęcie „orientacji seksualnej” pojawia się w wykładni Joego Bidena także w kontekście... dzieci. Bo, jak przekonują zwolennicy prezydenta USA, to właśnie o dzieci i młodzieży „samopoczucie” seksualno-płciowe chodzi tutaj przede wszystkim. Stąd zapewne płynące z tych samych środowisk postulaty wprowadzenia zajęć z masturbacji, i to już w przedszkolach.

Ale przestaję państwa zanudzać, bo widzę, jaka szkoda, że zapomniałem powiedzieć, iż szkoda, że państwo tego nie widzą. Bo naprawdę szkoda. Po raz pierwszy, ramię w ramię, paleczka przy paleczce, w sztafecie żeńskiej cztery razy po dwa razy, osiem razy raz po raz pobiegą ci, którzy wcześniej nie mieli takiej szansy. Na pierwszej zmianie John Silver, to ta pani z opaską na oku, papugą na ramieniu i drewnianą nogą, na drugiej, z charakterystyczną, drugą brodą Słodka Marylin z Klubu Sportowego „Night Trans Disco”, na trzeciej jej przyjaciółka Konczita Kielbasa, czyli lekkoatletyczne „jaja po wiedeńsku”, a zakończy bieg skromna dziewczyna z Los Trangeles, która wcześniej była chłopakiem, a jeszcze wcześniej „bi”. Or not tu „bi”. Padł strzał, padł starter, nie szkodzi, ruszyli. Silver przewraca się na już pierwszym płotku... Hola, hola, co tam robi płotek? Czyżby pobiegł w przeciwną stronę? Tak, ale już wraca na bieżnię, wciąż prowadzi, w końcu to kawał chłop! Baby, oczywiście, że baby! Najważniejsze, żeby z tego stresu nie przestał nagle czuć się kobietą, bo zostanie zdyskwalifikowany. Sędziowie wyłapią to jeszcze szybciej niż podbieganie w chodzie. Przerywamy relację, by oddać głos naszemu sprawozdawcy przy skoczni, gdzie podczas wykonywania skoku w dal zawodnicze ze stanu Konitaki nie udało się wyhamować przed końcem piasku i przeleciała przez zawodniczkę Alababy. To oczywiście nie jest zakazane, zwłaszcza tutaj, w kraju Statui Wolności. Wolności, rzecz jasna, dla tych, którzy wiedzą, jak z niej korzystać.

Ale widzę, że do naszego stanowiska podchodzi już Helga, przed tygodniem nieznana nikomu, a od wczoraj rekordzistka

Płciobój nowośmieszny



KRZYSZTOF FEUSETTE

świata w pchnięciu kulą. Urodziła się w Niemczech jako Helmut, ale natychmiast po dekrete Bidena o Trans-Sporcie postanowiła pójść drogą rodziców, którzy oficjalnie byli lekkoatletkami. Mówi, że tego typu zawody odbywały się w Niemieckiej Republice Demokratycznej od dawna. Tylko tam, zamiast dopuszczać mężczyzn do kobiecej rywalizacji (co było jednak nie do pomyślenia nawet w komunizmie), przerabiano kobiety na mężczyzn – za pomocą sterydów. Dawało to, także w urodzie, efekty dużo trwalsze niż obecne, banalne „podmianki” w stylu Caster Semenya.

Życzymy Helmutowi/Heldze udanego występu i przenosimy się już do Tęczowej Hali im. Fafa-Rafa Rafalali, gdzie przygotowują się gimnastyczki artystyczne. Jak państwo wiedzą, dyscyplinę tę zaliczono przedwczoraj w Stanach Zjednoczonych do konkurencji lekkoatletycznych po fali protestów ciemnoskórych zawodników, którzy od lat nie mieścili się w gimnastycznej kadrze męskiej, a dodatkowo bardzo chcieli wziąć udział w Pierwszych Demokratycznych Zawodach Lekkoatletycznych. Ich zakończona sukcesem okupacja Kapitolu (tylko czy możemy mówić o „okupacji”, gdy ludzie walczą w słusznej sprawie?) uruchomiła lawinę petycji, po których Amerykańska Federacja Sportowa zaliczyła do lekkiej atletyki wszystkie konkurencje sportowe uprawiane przez osoby zmiennopłciowe. Dziś na ringu bokserskim zobaczymy np. Michaela alias Margot z Klubu Sportowego „Rainbow” w stanie Klementyna Północna, który wcześniej wystąpi w żeńskim skoku na tyczkę, a wieczorem w sztafecie mieszanej (co najmniej jedna kobieta, która była mężczyzną; co najmniej jeden mężczyzna, który nie czuje się mężczyzną; co najmniej jeden Afroamerykanin; co najmniej jeden bezdomny). Spodziewamy się gradu żeńskich medali dla panów, choć warto przypomnieć, iż na tych mistrzostwach – po raz pierwszy tak demokratycznych, że nikt nie pisze o nich nic złego ani na Facebooku, ani na Twitterze – zrezygnowano z archaicznego podziału na złoty, srebrny i brązowy krążek. Wszystkie medale są tęcze, więc każdy/każda, kto stanie na podium (w ramach oczywiście Sportowej Zasady Równości: jeden biały, jeden czarny, jeden żółty), może się czuć zwycięzcą.

Pytanie tylko (choć jest to zmartwienie przede wszystkim samych Amerykanów), czy przeprowadzone w taki sposób eliminacje do igrzysk olimpijskich zyskają uznanie pozostałych federacji? I czy zgodzą się one na udział amerykańskich transseksualistów w olimpijskich konkurencjach żeńskich? Przy odrobinie dobrej woli umożliwiałoby to start osoby niebinarnej w eliminacjach i żeńskich, i męskich. A woli tej z pewnością nie zabraknie, skoro po dekrete Bidena każda inna decyzja będzie po prostu łamaniem praw człowieka. Oraz osoby.

Każdy system tworzą ludzie. Niby banał, niby każdy o tym wie. Jednak gdy znajdujemy się w sytuacjach ekstremalnych, uświadamiamy sobie, jak wiele zależy od ludzi, których spotykamy.

Niby wszyscy wiemy, jak ważna w procesie zdrowienia chorego dziecka jest obecność przy jego boku rodziców. Niby nikt nie ma wątpliwości, że matki noworodków powinny być traktowane jako członkowie zespołu terapeutycznego, niby eksperci co jakiś czas przypominają, że rodzicom noworodków leczonych na oddziałach intensywnej terapii nie można zabronić przebywania przy dziecku, nawet w okresie pandemii, a szpitale powinny dołożyć wszelkich starań, aby zapewnić matkom możliwość pobytu z dzieckiem. Niby mamy wytyczne krajowej konsultant w dziedzinie pediatrii, zalecające wykonywanie testów RT-PCR-SARS-CoV-2 u dzieci przyjmowanych w trybie pilnym oraz u opiekunów, którzy (uwaga!) będą obecni przy dziecku w trakcie pobytu na oddziale pediatrycznym. Niby. Tyle teoria.

Jak wygląda praktyka? Bardzo różnie. Są szpitale szczycące się najlepszymi praktykami, są i takie, w których odrobiny człowieczeństwa trzeba by świecą szukać. Weźmy jeden z najlepszych warszawskich szpitali dziecięcych. Na jednym z oddziałów leży półtoramiesięczny chłopczyk, który wymagał transfuzji. Wiek wskazuje, że mamy do czynienia z pacjentem pediatrycznym, nie neonatologicznym (to ważne ze względu na wytyczne). Dziecko, mimo kolejnych przetoczeń, ma bardzo niski poziom płytek. W rodzinie zdarzały się wcześniej zgony chłopców w wieku niemowlęcym. Wiadomo więc, że może być różnie. Okazuje się, że karmiąca piersią mama, może być przy noworodku tylko dwie godziny dziennie. Taki jest regulamin. Teoretycznie z powodu pandemii. Co więcej, lekarze proponują jej odstawienie dziecka od piersi, by móc je skutecznie leczyć. Czy rzeczywiście? Czy nie będzie to pretekst, by ograniczyć widzenia jeszcze bardziej?

Młoda mama szaleje z niepokojem. Zrobiłaby wszystko, by być przy dziecku. Widzi, że pielęgniarki, mimo wysiłku i chęci, nie dają rady ze wszystkim dziećmi. Dzieci leżą w mokrych pieluszkach, płaczą. Nie wiedzą, czemu nie ma w pobliżu tego cudownego głosu mamy, który słyszały,

Człowiek człowiekowi

*Cisnie się pytanie, czy chodzi
o pandemię SARS-CoV-2,
czy raczej o pandemię znieczulicy?*

będąc w brzuchu. Nie rozumiem, dlaczego zostały porzucone. Bo tak czuje się niemowlę w takiej sytuacji. Młoda mama proponuje, że każdego dnia przyniesie do szpitala wymazowy antygenowy test błyskawiczny. Takie testy można bez problemu wykonać prywatnie na terenie Warszawy. Czas oczekiwania 10 min. Podobne testy wykonuje się na oddziałach SOR. Jednak odpowiedź jest odmowna. Cisnie się więc pytanie, czy chodzi o pandemię SARS-CoV-2, czy raczej o pandemię znieczulicy?

W czasach pandemii szpitalny urzędnik, personel medyczny, ordynator stali się panami ludzkiego losu. Na nic argumenty o testach, wytycznych, najgłębszych potrzebach małego dziecka, nie mówiąc już o potrzebach matki. Ta ma potulnie słuchać poleceń i się stosować. Inaczej usłyszysz, że jak nie chce, to może zabierać dziecko ze szpitala. Ale tego zrobić nie może, bo wie, że za chwilę może być potrzebna kolejna transfuzja, a tej nikt w warunkach domowych nie przeprowadzi.

„Rodzic nie może być traktowany jako osoba odwiedzająca, ale jako członek zespołu leczącego. To są standardy, do których opieka medyczna dochodziła długo. To jest pewna zdobycz mentalna i rezygnacja z niej jest cofnięciem się do czasów, gdzie obecność rodzica była traktowana jako coś zbędnego. Dzisiaj neurologia, psychologia rozwoju oraz wielu neonatologów podkreśla rolę rodziców w procesie zdrowienia dziecka. Mamy dobre praktyki. Bezpieczeństwo dziecka musi być traktowane holistycznie, nawet w okresie pandemii” – nie ma wątpliwości Dorota Bojemka, szefowa Rady Rodziny przy Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej. Niestety zbyt często, choć nie wszędzie, rodzice zamiast być traktowani jako pomoc w zdrowieniu małego pacjenta, stają się wrogami publicznymi, których za wszelką cenę trzeba usunąć z pola widzenia.

Ze świeżych danych wynika, że liczba urodzeń w ubiegłym roku znacząco spadła. Czy można się jednak dziwić, że kobiety, które wciąż słyszą o dramatycznej walce mam o możliwość bycia przy wcześniakach, noworodkach, niemowlętach, nieraz przy nawet konającym dziecku, zwyczajnie boją się zająć w ciąży? Może to najwyższy czas, by NFZ pomyślał nad wprowadzeniem i refundowaniem nowej procedury, dającej rodzicowi możliwość bycia przy wcześniaku czy niemowlęciu. Dopiero wówczas praktyka szpitali mogłaby się zmienić.

Dorota Łosiewicz



Olimpiada znów niepełna

Wszystko zaczęło się od artykułu w brytyjskim „The Times”. Renomowany londyński dziennik napisał, powołując się na źródła bliskie koalicji rządowej w Japonii, że gabinet premiera Yoshihidy Sugi nieoficjalnie zdecydował o odwołaniu zaplanowanych na ten rok igrzysk olimpijskich w Tokio. Olimpiada już raz została przeniesiona, bo pierwotnie miała się odbyć latem 2020 r., ale wszystko pokrzyżowała pandemia. Teraz, jak twierdzi „The Times”, Japończycy chcą ponownie przełożyć igrzyska i zaproponować ich organizację w pierwszym wolnym terminie, czyli dopiero w 2032 r.

Rząd japoński zaprzeczył informacjom podanym w artykule, jednak informator brytyjskiej gazety uważa, że wszyscy zdają sobie sprawę z tego, iż igrzyska muszą zostać przełożone, ale nikt nie ma odwagi powiedzieć tego pierwszy.

Cytowany przez amerykańską stację telewizyjną CNBC doradca ekonomiczny rządu japońskiego Takeshi Niinami uzależnił organizację tegorocznej olimpiady od równoczesnego spełnienia czterech warunków. Po pierwsze,

państwo powinno panować nad wzrostem liczby zakażonych. Tymczasem w tej chwili Japonia odnotowuje nową falę infekcji, a w niektórych miastach, w tym w Tokio, ogłoszono nawet stan wyjątkowy. Po drugie, niezbędny jest monitoring wszystkich uczestników igrzysk, dzięki któremu – w przypadku zakażenia – łatwiej będzie ustalić, z kim mieli kontakt. Jako trzeci warunek japoński ekspert wymienia rozpoczęcie szczepień przeciwko koronawirusowi w Japonii (zgodnie z planem mają się one rozpocząć pod koniec lutego). I wreszcie po czwarte, tuż przed czerwcowymi igrzyskami w Japonii państwo powinno przeprowadzić próbne zawody sportowe, aby przetestować skuteczność wprowadzonych zabezpieczeń.

Powszechnie uważa się, że cztery warunki przedstawione przez doradcę

japońskiego rządu są próbą sprawdzenia reakcji opinii publicznej na decyzję o ewentualnym odwołaniu igrzysk. Ale ze zgodą na takie posunięcie nie powinno być raczej problemu. Tuż po informacji w „The Times” opublikowano sondaż, z którego wynika, że aż 80 proc. Japończyków opowiada się za przełożeniem olimpiady.

Gdyby Japonia zdecydowała się zrezygnować w tym roku z igrzysk, to są już chętni do jej zastąpienia. Wśród potencjalnych kandydatów znajdują się m.in. Stany Zjednoczone. Jimmy Patronis, szef działu finansowego stanu Floryda w USA, wysłał nawet list do Thomasa Bacha, szefa Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, w którym zadeklarował, że jego stan jest gotowy do zorganizowania igrzysk.

Goran Andrijanić

Japonia

Władze w Baku postawiły przed sobą zadanie jak najszybszego zasiedlenia terytoriów zdobytych podczas niedawnej wojny o Górski Karabach. W latach 1992–1994 opuściło te ziemie ok. 600 tys. Azerów, którzy od tamtego czasu zdążyli już poukładać sobie życie w innych częściach kraju. Niewielu z nich chce teraz wrócić do zniszczonych miast i zaminowanych wsi, znajdujących się niedaleko granicy z Armenią i w sąsiedztwie stacjonujących wojsk rosyjskich. Rząd obiecuje co prawda pomoc „wewnętrznym uchodźcom”, ale odzew jest niewielki.

W budżecie na 2021 r. władze Azerbejdżanu zaplanowały 1,3 mld dol. na reintegrację i rekonstrukcję tych terenów. Jest to jednak kropla w morzu potrzeb. Dlatego powołano do życia trzy fundusze mające na celu sfinansowanie odbudowy i zasiedlania owych ziem. Oficjalnie wpłaty są dobrowolne, jednak w wielu państwowych firmach z kont pracowników bez ich zgody odprowadzane są odpowiednie odsetki. W ten sposób np. fundusz Yashat zdołał zebrać w ciągu półtora miesiąca ok. 7,3 mln euro.

Azerbejdżan

Zwycięstwo i co dalej?

Wielu Azerów chętnie zgodziłoby się płacić taki solidarnościowy podatek dobrowolnie, jednak mają poważne obawy, czy środki zgromadzone w owych funduszach nie zostaną zdefraudowane przez skorumpowanych urzędników. Rozkradanie majątku publicznego jest bowiem w Azerbejdżanie problemem systemowym. Do rangi symbolu urasta historia Ali Nagijewa, jednego z kluczowych urzędników odpowiedzialnych w państwie za walkę z korupcją. Okazało się, że przez dwa lata zdołał on wyprowadzić za granicę na swoje tajne konta 2,5 mld euro. Z kolei w styczniu został zatrzymany dyrektor Państwowego Funduszu Rozwoju Dziennikarstwa oskarżony o przywłaszczenie 2,8 mln euro.

Niedawna wojna z Ormianami została wygrana przez Azerbejdżan dzięki miazdzącej przewadze na linii frontu. Teraz jednak przychodzi czas na wykorzystanie zwycięstwa i zagospodarowanie zdobytych terenów. To jednak może się okazać znacznie trudniejszym zadaniem.

Grzegorz Górny



USA

Przyszłość trumpizmu

Wszyscy zadają sobie pytania o polityczną przyszłość Donalda Trumpa. Czy pozbawiony dostępu do mediów i zdany na łaskę senatorów z coraz bardziej oddalającej się od niego Partii Republikańskiej pozostanie ważną figurą w polityce? Czy może dokona rozłamu u republikanów i założy Partię Patriotów? I kto wtedy stanie po jego stronie?

Drogi współpracowników Trumpa prowadzą dziś w różnych kierunkach. Wiceprezydent Mike Pence wypadł z łask, po tym jak odrzucił teorię Trumpa o „skradzionych wyborach” i reprezentował starą administrację na inauguracji Joeego Bidena. Wydaje się, że Pence, który nigdy nie był charyzmatycznym politykiem, odepjdzie na polityczną emeryturę. Choć – z drugiej strony – pojawiają się także spekulacje na temat jego udziału w nowej administracji. Przy Trumpie stać nie będzie też były prokurator generalny Bill Barr, którego lewica nazywała „prokuratorem Trumpa”. W styczniu Barr odciał się od byłego prezydenta i nazwał jego oskarżenia o sfałszowaniu wyborów „bzdurą”.

Komplikują się też relacje Trumpa z Rudim Gulianim. Giuliani, który jako prokurator rozgromił w latach 80. włoską mafię w Nowym Jorku, a potem zasłynął jako twardy burmistrz miasta, poświęcił dla byłego prezydenta całą swoją reputację, próbując odwrócić wynik ostatnich wyborów. Okazało się to niemożliwe, dlatego – jak ujawnili media – Trump nie chce zapłacić kancelarii Giulianiemu wynagrodzenia (20 tys. dol. dziennie).

Na pewno za to przy Trumpie pozostanie jego szef dyplomacji – Mike Pompeo. Coraz częściej spekuluje się nad jego startem w prawyborach w 2024 r., jeżeli



nie uczyni tego jego pryncypał. Warto też zauważyć, że na Florydę przeprowadziła się córka byłego prezydenta Ivanka z mężem Jaredem Kushnerem. Małżeństwo kupiło za 31 mln dol. posiadłość na wyspie Indian Creek, zwanej „bunkrem miliarderów”. Zięć Trumpa oficjalnie pełnił funkcję doradcy ds. umów handlowych i Bliskiego Wschodu, ale wpływy jego oraz Ivanki były znacznie większe.

Amerykańskie media spekulują, że przeprowadzka Ivanki jest jedynie wstępem do jej startu w wyborach do Senatu lub na urząd gubernatora Florydy. Jest to o tyle ciekawe, że Florydę reprezentuje dziś senator Marco Rubio, który w prawyborach 2016 r. startował przeciwko Trumpowi. Na Florydzie, w mekce imigrantów z Kuby, został on zmiażdżony przez Trumpa 19 pkt proc. Świetnie wykształcona i pozbawiona charakterologicznych wad ojca Ivanka Trump ma więc w tym stanie spore szanse. Czy to ona okaże się przyszłością trumpizmu?

Łukasz Adamski

Wietnam

Partia na rozdrożu

Rozpoczęty w minionym tygodniu zjazd wietnamskiej partii komunistycznej może się okazać równie ważny dla przyszłości tego kraju, jak podobny – z 1986 r. – po którym zdecydowano o liberalizacji gospodarki.

Wietnam jest dziś jednym z sześciu państw na świecie, których władze wciąż oficjalnie odwołują się do ideologii komunistycznej. Jest ona jednak rozumiana jedynie jako podstawa monopolu partii rządzącej i – podobnie jak w Chinach – nie wpływa na gospodarkę. W rezultacie Wietnam przeżywa epokę bezprecedensowego, nawet jak na azjatyckie warunki, wzrostu gospodarczego. PKB kraju rósł średnio 6 proc. w ciągu ostatnich pięciu lat i nawet w 2020 r. – a więc po wybuchu pandemii – odnotowano tu 3 proc. wzrostu PKB. Inna rzecz, że – jak dotąd – Wietnam znacznie lepiej radzi sobie z pandemią niż inni. Według oficjalnych danych do ostatniego czwartku odnotowano tu zaledwie 1553 przypadki infekcji i 35 wywołanych nią zgonów.

Nic zatem dziwnego, że perspektywy tego-rocznego wzrostu gospodarczego, jeszcze kilkanaście dni temu szacowane przez Bank Światowy na 6,7 proc., wzrosły – według ostatnich prognoz banku HSBC – aż do 7,6 proc. Władze Wietnamu chcą podtrzymać ten kurs i doprowadzić do tego, aby w 2030 r. (na stulecie powstania partii komunistycznej) średni dochód na głowę mieszkańca przewyższał światową średnią.

Głównym zagrożeniem dla tych ambitnych planów są jednak zawirowania w światowej polityce. Mogą one utrudnić dotychczasową strategię balansowania między Chinami a Stanami Zjednoczonymi, której zwolennikiem jest sekretarz generalny partii komunistycznej Nguyen Phu Trong. Dzięki takiej polityce Wietnam stał się w ostatnich latach celem rywalizacji obu mocarstw, które zabiegały o jego względy, płacąc znaczącymi inwestycjami.

Dodatkowym problemem może też okazać się spór o przywództwo. Nguyễn Phú Trọng ma 76 lat i zgodnie z obowiązującymi zasadami powinien już odejść na emeryturę. Wiek emerytalny osiągnął też premier Nguyễn Xuân Phúc i przewodniczący wietnamskiego parlamentu.

Decyzje personalne (lub ich brak w przypadku braku porozumienia między partyjnymi frakcjami) będą więc miały duży wpływ na przyszły kurs Wietnamu i jego dalszą prosperytę.

Marek Budzisz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bezdenna ignorancja lewicy

Nie jeden rekord ignorancji pobito już w Sejmie, ale jest naszym obowiązkiem odnotowanie wypowiedzi posłanki Prokop-Paczkowskiej na temat masakry 750 chrześcijan w Etiopii. „Po co Kościół katolicki się tam wpakował?” Jest to uwaga świadcząca o tak bezdennej niewiedzy i moralnej zapaści, że żadna lewicowość jej nie usprawiedliwia. Kto tę panią wpakował do parlamentu?

W Polsce po pół wieku rządów sowieckiej lewicy, okradającej społeczeństwo na rzecz zaborczego sąsiada, zrodził się ruch Solidarności pod duchowym wpływem św. Jana Pawła II, który odrzucił niehumanitarną, fałszywą ideologię. Wydawało się, że doświadczenie lewicowości mamy już za sobą, że inne narody niedotknięte tyranią realnego socjalizmu mogą się poddać prostackiej dyktaturze, ale my?! W życiu! A jednak po 30 latach III RP lewackie zombiaki kręcą się wśród nas jak smród po gaciach, trując miasta, Wisłę i ludzi. Nic dobrego dla Polski nie zrobią na pewno, bo wychodzą z fałszywych przesłanek, zajmując się resztkami po marksizmie. Proletariat ich porzucił.



**Jan
Pietrzak**

Sanitariat ich przegania. Natknąć się można na nich w wielu miejscach i ugrupowaniach, potrafią się maskować. Oficjalnie tworzą dwa nurty. Jeden niby progresywny, epatujący wyzwolonym erotyzmem. Drugi nostalgiczny, osadzony na mieliźnie przez historię, ze starczym uporem zamulający media przegniłymi frazesami.

Przez długie lata opowiadałem w kabaretowej formie o tej chybionej ideologii, która nie zdała pozytywnego egzaminu nigdy i nigdzie. A dlaczego? Bo są cztery kłeski żywiołowe utrudniające budowę socjalizmu: wiosna, lato, jesień, zima. No i są miejsca nieodpowiednie, np. Szwajcaria. To za mały kraj na takie wielkie nieszczęście.

Pewien student opowiadał ojcu, że nie zdał egzaminu, bo nie potrafił wytłumaczyć różnicy między kapitalizmem a socjalizmem. Ojciec na to: „Nie martw się. Miałem kolegę, który znalazł tę różnicę, ale do domu już nie wrócił”. Tak to jest empirycznie udowodnione, że prawica sypie kurom ziarno, a lewica kradnie jajka.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Dylemat michnikowski

Przez media, bardziej społecznościowe i internetowe niż tradycyjne, przechodzi lekko widoczny, i pewnie tylko dla specjalistów, spór o Aleksieja Nawalnego. Dla zwyczajnego konsumenta informacji w Polsce (z każdej strony politycznej barykady) sprawa jest prosta: jest zły dyktator Putin i dobry demokratą Nawalny, który usiłuje obalić postkomunistyczny reżim. Ale dla intelektualnych prowokatorów dzielących rosyjski włos na czworo jest zły Putin i równie zły Nawalny – zwolennik aneksji Krymu, przeciwnik gruzińskich aspiracji niepodległościowych, wielkoruski nacjonalista, który, gdyby przejął władzę, realizowałby politykę, wedle której kura nie ptica, a Polska – wiadomo.

Śledzę ten spór docierający do mnie różnymi, mniej i bardziej oficjalnymi, drogami i zastanawiam się, co mi on przypomina. Czy ja skądś nie znam tych wątpliwości, tych dylematów? Czy już tego kiedyś nie widziałem, a właściwie – nie czytałem?

Otóż mamy do czynienia z dylematem klasycznym, który nazwałbym michnikowskim. To właśnie ten pan, intelektualista, demokrat, liberał wywodzący się ze środowisk polskiej komunistycznej lewicy, musiał u progu lat 80. wybrać, czy jest w stanie poprzeć rodzący się ludowy ruch późniejszej



**Dominik
Zdort**

Solidarności, w którym dominowały obce mu idee katolickiej wiary i polskiego patriotyzmu. I wybrał, przynajmniej na jakiś czas, Polskę. Adam Michnik w 1977 r. napisał, że „w obliczu totalitarnej dyktatury tradycyjne pojęcie »postępu« i »wstecznicstwa« czy też podziały na »prawicę« i »lewicę« stają się mniej istotne od zasadniczej linii podziału, która dzieli zwolenników totalitaryzmu od jego przeciwników”.

Po roku 1989 redaktor „Gazety Wyborczej” odciął się od swoich dawnych poglądów, uznał je za nieaktualne. Dylemat klerka przestał istnieć, a Michnik uznał, że poglądy jego katolicko-narodowych oponentów nie mają pełnego prawa obecności w polskim życiu publicznym. Być może też bardzo żałował, że kiedyś był zdolny do dialogu i otwartości.

Pytanie brzmi, czy dziś recenzenci Nawalnego powinni być jak Michnik z roku 1977, czy jak Michnik z 1989. Nie chcę przesądzać, na Rosji znam się słabiej niż eksperci tej klasy co Agnieszka Romaszewska, Grzegorz Kuczyński czy mój redakcyjny kolega z Tygodnika TVP Filip Memches. Warto jednak o michnikowskich dylematach pamiętać. O tym, jaka plynie z nich nauczka i jakie doświadczenie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jazgot nad umierającym



W ubiegłym tygodniu w szpitalu w Plymouth umarł Polak skazany na śmierć przez tamtejszych lekarzy i sędziów z powodu zawału, który miał trwale uszkodzić mu pracę mózgu. Został zgłodzony i odwodniony. Szpital i sąd odmówiły przekazania go do Polski, mimo że nasze władze robiły wszystko, aby kontynuować leczenie, oraz brały na siebie związane z tym koszty. Sprawę opisałem w tekście „O życie Polaka, czyli przeciw cywilizacji śmierci” w poprzednim numerze.

Można zastanawiać się, czy wobec śmierci wypada przywoływać zachowania, które nie licowały z jej powagą. Jeśli jednak wiele mówią o naszym życiu publicznym i jego aktorach?

Najpierw ideologia. Patetyczna deklaracja Macieja Gduli, wschodzącej gwiazdy na firmamencie lewicy polskiej, doktora socjologii, posła na Sejm i znanego publicysty: „Nie ma konfliktu między cywilizacją życia i cywilizacją śmierci, jest konflikt między polityką tortur, którą wy stosujecie, i polityką ograniczania cierpienia. My jesteśmy przeciwko tego typu torturom, które chcecie stosować wobec ludzi w śpiączce. Zahamujcie to. Opamiętajcie się!”.

Tak więc głodzenie na śmierć pacjenta jest humanitarnym podejściem w przeciwieństwie do próby ratowania go. Być może próba ta wiązałaby się z dolegliwościami. Czy wystarczy to, aby zaakceptować śmierć? Gdula podaje kryterium: „Jeżeli to jest sytuacja naturalna, postawmy jedzenie obok jego łóżka i zobaczymy, czy będzie w stanie zjeść”. Ponieważ kłopoty z samodzielnym jedzeniem ma spora grupa obłożnie chorych czy rannych oznacza to ostrą selekcję tych, którzy do życia mają się nadawać.

Niefortunna wypowiedź odsłania głębszą postawę. Współczesna lewica zajmuje się komfortem tych, którym się lepiej wiedzie. Innych warto wykorzystać jako rezerwuariusz części zamiennych. Aby (pełnosprawne) życie było lepsze.

Lider głównego ugrupowania opozycyjnego PO Borys Budka deklaruje, że nie walczyłby o życie Polaka w Plymouth. Pewnie dlatego, że w innym wypadku musiałby pochwalić działanie rządu, a tego totalna opozycja robić nie może. Uzasadnia to następująco: „Uważam, że jest to naprawdę obrzydliwe, jeżeli ktoś próbuje robić politykę w takiej sytuacji. To jest niesamowite, jak ten obóz potrafi wykorzystywać tragedię ludzką do tego, by zajmować się polityką”.

To polityka nie jest po to, aby pomagać ludziom? I kto jest tu obrzydliwy?

Kolejny polityk tej partii Radosław Sikorski: „Niniejszym oświadczam, że gdybym miał sam kiedyś ciężko zachorować

w Wielkiej Brytanii, to miałbym pełne zaufanie do tamtejszej służby zdrowia oraz systemu prawnego i nie życzę sobie »ratowania« przez naszych fundamentalistów. Nie życzyłbym sobie też wykorzystywania »walki« o mnie do przykrywania porażek rządu w programie szczepień”. Sikorski nie będzie testował swojej deklaracji, bo – jak to już zauważył Stanisław Janecki – należy do elity, więc tak jak Gdula traktowany będzie inaczej. Obrona życia to „fundamentalizm”, wszystko, co rząd robi, jest porażką, a więc rzeczy, które ktoś mógłby oceniać pozytywnie, to jedynie ich przesłanianie.

Nie warto nawet podkreślać, jak niszczący efekt tego typu postawa niesie dla polityki i życia publicznego.

Konsekwencje totalnej wojny, którą siły III RP wypowiedziały obecnym władzom, objawiają zachowania intelektualnych celebrytów.

„Pomysł z uczynieniem umierającego człowieka dyplomatą nie jest humanitarny, ale cynicznie polityczny. To sygnał do twardego elektoratu: Polacy są w niebezpieczeństwie, obcy chcą nas zabić. Wmawianie, że jakaś grupa ludzi jest potencjalną ofiarą, ma długą i bardzo mroczną tradycję” (prof. Marcin Matczak). Trzeba by się zgodzić, że wmawianie złych intencji ma długą i bardzo mroczną tradycję.

A oto przykłady jazgotu pseudodziennikarskiej tłuszczy, która żyje ze szczucia PiS. Nie podaję nazwisk, bo nie warto. „W Polsce nie da się żyć, dlatego rząd ściąga tu zmarłego człowieka, żeby dobić jego rodzinę. Tak to u nas działa!”, „Jeśli rzeczywiście nastąpiła śmierć mózgowa, to będziemy pierwszym krajem na świecie, mającym warzywo z paszportem dyplomatycznym, Kaligula z koniem w senacie chowa się zawstydzony”. Itp.

Na koniec Tomasz Terlikowski, katolicki celebryta, który za wszelką cenę postanowił być oryginalny: „Z żalem przyglądam się hysterii – niestety podkreślanej także przez polityków – wokół Polaka w Wielkiej Brytanii. Histerii, która niestety, niewiele ma wspólnego z troską o obronę życia”. Po czym pojawiają się uwagi na temat „śmierci mózgowej”, która jest sprawą dwuznaczną, oraz „uporczywej terapii”, której nikt w stosunku do Polaka nie prowadził.

Oto ciemna strona naszej rzeczywistości, w której każda tragedia staje się pretekstem do ataku na przeciwników albo autoreklamy. Jasną były tysiące podpisów w obronie Polaka z Plymouth i bezinteresowne zaangażowanie w jego sprawę tak wielu rodaków.

Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Katarzyny Trzaskalskiej

Dziennikarki, prezenterki

O ile uwielbiam podróże, o tyle nie cierpię się do nich pakować. A już najbardziej skomplikowane jest pakowanie do kampera. W takim domu na kółkach nie może niczego zabraknąć, ale też każda zbędna rzecz jest balastem. Natura ze mnie raczej traperska. Jak wakacje, to przyroda, ognisko, minimum ciuchów, żadnego makijażu ani fryzjera. W podróży zawsze dociera do mnie, jak niewiele nam do szczęścia potrzeba. Na co dzień wypada jednak wyglądać, więc w podróże służbowe zestaw – marynarka, koszula, szpilki – jest obowiązkowy. Biała koszula i džinsy też się sprawdzają na każdą okazję. Poza tym zabieram z sobą rzeczy, bez których trudno mi się obejść. Oto one.

APARAT, OBIEKTYW

Moją wielką pasją jest fotografia, a zdjęcia najlepszą pamiątką. Najwięcej miejsca w bagażu zajmuje mi aparat i obiektyw. Zabieram z sobą profesjonalny sprzęt, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie okazja do zrobienia tego „jedynego” zdjęcia.



SŁUCHAWKI

Nie wyobrażam sobie podróżowania bez podkładu muzycznego. Wiele utworów kojarzy mi się z konkretnymi podróżami.



PAS

Niezbędnik prowadzącego. Zabieram go zawsze w podróże służbowe. Służy do przypięcia mikrofonu, gdy np. sukienka nie ma paska. Ten jest wyjątkowy, mam go jeszcze od szkoły baletowej. Tam służył do czegoś innego ☺ Jest mi w nim coraz ciasniej, ale jeszcze się jakoś dopinam.



CZAJNICZEK DO KAWY

Bardzo cenię sobie dobrą kawę, a jedną z największych moich przyjemności jest picie porannej kawy w łóżku. Jeśli tylko jest na czym postawić czajniczek, zaparzam sobie kawkę do łóżka i delektuję się porankiem.



TERMOS

Odkąd zetknęłam się z medycyną chińską, zawsze mam w torebce termos, a w nim gorącą wodę, czasem z dodatkiem imbiru, cytryny lub miodu. To najprostsze i najtańsze lekarstwo na wszystko – od bólu brzucha, przez zmęczenie, po piękną skórę. Gorącą wodę można dostać wszędzie, bezpłatnie.



OGNIEM NA WPROST

Żenada tygodnia



Zdaniem Rodneya Pelletiera, publicysty „Church Militant”, USA pakują się pełnym pędem w marksizm i robią to „z błogosławieństwem rządu”. Jak zauważa, lewicowcy „trzymają w morderczym uścisku prezydenturę, Izbę Reprezentantów i Senat. Ale to nie wszystko. Obsadzili Federalne Biuro Śledcze (FBI), Departament Sprawiedliwości, a nawet Departament Bezpieczeństwa Krajowego”. Grozi to nowym amerykańskim totalitaryzmem. Pelletier krytykuje zarówno sądy okręgowe, jak i Sąd Najwyższy USA, że miesiącami ignorowały „tomy dowodów świadczących o fałszerstwach wyborczych ani nawet nie potraktowały sprawy poważnie mimo pozbawienia praw obywatelskich ponad 70 mln wyborców”. Na dodatek „federalne organy ochrony porządku publicznego są zajęte ściganiem wyimaginowanych nazistów” przy bierności establishmentu republikanów. Tymczasem druga strona [Biden], „podpisała już 39 dekrety prezydenckich, działań, proklamacji, memorandumów i dyrektyw agencyjnych – a do 29 stycznia spodziewanych jest przynajmniej kolejnych osiem”. Nawet jeżeli Pelletier chucha na zimne i przerysowuje nieco zagrożenie, to i tak marsz demokratów i różnych innych maści lewicowych ekip, jak te spod znaku BLM, przybrał mocno na sile. „To jest takie pączkowanie” – jak mawiał klasyk Ryszard Petru. „W ten sposób rozwija się każdy grzyb, prawda, ale głowa psuje się od góry”.

Uwaga! Coś dla koneserów koncepcji politycznych XXw. W Polsce opublikowano „Mein Kampf” autorstwa Adolfa Hitlera. Bardzo zainteresowana zestawem

złotych myśli niemieckiego przywódcy stała się (o dziwo!) lewa strona. Jej organ „Krytyka Polityczna” („Krypa”) natychmiast, na gorąco, opublikował artykuł odnoszący się do najnowszej edycji: „Oburzenie wywołane polskim wydaniem »Mein Kampf« zdradza zbiorowy wyrzut sumienia” – czytamy w artykule. „Tymczasem w naszej własnej historii znajdziemy stopy równie strasznej antysemitkiej literatury, którą nie tylko wydajemy, ale której autorom stawiamy pomniki”. I jako przykłady autor tekstu Adam Leszczyński przywołuje Romana Dmowskiego, Adama Doboszyńskiego i ks. Józefa Pastuszkę. Wszystko to redakcja opatrzyła zdjęciem okładki „Mein Kampf”, a obok fotografiami kard. Wyszyńskiego i Romana Dmowskiego. Jest tylko jedno wytłumaczenie tej chamowoty. Autor albo nie zapoznał się z treściami ani „dzieła” Hitlera, ani Romana Dmowskiego, ani innych Polaków, albo zapoznał się i nic nie zrozumiał. Skłonny jestem bardziej przychylić się do tej drugiej tezy, albowiem nie wyobrażam sobie, żeby tak renomowane wydawnictwo, jakim jest „Krytyka Polityczna”, dopuszczało się manipulacji prawdą historyczną.

Grupa Stonewall to największe w Poznaniu i Wielkopolsce lobby LGBT, grające główną rolę w realizowanym od lat programie „Poznań od tyłu”. Jedną z licznych działalności, którymi zajmuje się to homoseksualne combo, jest „edukacja seksualna”. Organizacja wydała właśnie, za pieniądze z budżetu miasta (!), broszurę „Poznań w kolorach tęczy”. Publikacja otwarcie opisuje... orgie homoseksualne z udziałem młodych chłopców. „To jest naprawdę grupówka na poziomie,

w pięknym apartamencie” – zachwalają zabawę aktywiści ze Stonewall. „Wielki salon z kanapą, gdzie w różnych konfiguracjach chłopcy uprawiają seks. Jest duży przeszklony prysznic, więc ci, którzy akurat chcą się umyć, są widoczni dla reszty uczestników. Te grupówki mają zresztą różną tematykę. Raz na przykład są same twinki”. Wyjaśnijmy, że „twinki” w homoslangu oznaczają młodych, kilkunastoletnich chłopców. Grupa Stonewall odpowiada za „edukację seksualną” dzieci i młodzieży w szkołach na terenie Poznania i Wielkopolski. Organizuje także „szkolenia” dla nauczycieli. Niedawno otrzymała 23 tys. zł dotacji od urzędu miasta na organizację propagandowych warsztatów promujących homoseksualizm w szkołach. Teraz, za pieniądze podatników, wydała broszurę zachęcającą do homoseksualnych orgii. I tu (Poznań to prezydent Jaśkowiak z PO) znajdujemy odpowiedź na trudne pytanie: „Co zrobiła Platforma Obywatelska podczas swoich rządów?”.

Zczym wam się kojarzy Strajk Kobiet? Jak dla mnie z epatowaniem nienawiścią, wulgaryzmami czy nawoływaniem do niszczenia mienia i wszechogarniającą brzydotą – ubiory, wygląd, symbolika. Raz na jakiś czas słyszymy wypowiedzi bądź organizatorek, bądź uczestniczek protestu, które zapierają dech w piersiach słuchaczy. Ostatnio popis dała Marta Lempart, która może się pokusić o palmę pierwszeństwa w konkursie na najbardziej żenującą wypowiedź tygodnia. A brzmi ona tak: „Chciałam powiedzieć, że kobietą może nie jestem, ale macie zdecydowanie mam”.

Andrzej Rafał Potocki

Mikromobilność ujęta w ramach prawa

Ministerstwo Infrastruktury opracowało zbiór przepisów regulujących status prawny hulajnog elektrycznych oraz urządzeń transportu osobistego (UTO). Prowadzący wymienione środki transportu staną się uczestnikami ruchu drogowego – zyskają prawa i obowiązki. Dzięki uporządkowaniu zasad użytkowania chodników, ścieżek rowerowych i jezdni bezpieczniejsi mają być zarówno piesi, entuzjaści mikromobilności, jak i kierowcy samochodów.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Kierujący pojazdami elektrycznymi nie będą mogli rozwijać większej prędkości niż 20 km/h. Wskazany limit obowiązuje m.in. w Niemczech. Swoją drogą ciekawe, czy planowane jest zastosowanie tego typu ograniczenia prędkości w odniesieniu do rowerzystów – przynajmniej w obszarze zabudowanym i w parkach, gdzie ścieżki rowerowe są łatwo dostępne w szczególności dla małych dzieci. Według nowych przepisów prowadzący elektryczne hulajnogi będą musieli ustępować pierwszeństwa pieszym – podobnie jak będzie to od 1 czerwca br. w przypadku kierowców. Zakazane będzie kierowanie hulajnogą elektryczną po jezdni, na której dopuszczalna prędkość jest większa niż 30 km/h. Prawnie usankcjonowany zostanie zakaz przewożenia hulajnogą elektryczną i UTO innych osób, zwierząt lub przedmiotów. Parkowanie mikropojazdów będzie możliwe wyłącznie w wyznaczonych do tego miejscach, a w razie ich braku wyłącznie równoległe do zewnętrznej krawędzi chodnika, w sposób zapewniający co najmniej 1,5 m szerokości pas dla ruchu pieszych.

Co niezwykle istotne, do kierowania hulajnogą elektryczną przez osoby w wieku 10–18 lat wymagane będzie posiadanie karty rowerowej lub prawa jazdy kategorii AM, A1, B1 lub T. Można się zatem spodziewać renesansu zapomnianych już nieco egzaminów na kartę rowerową, a przy okazji wzrostu świadomości młodych uczestników ruchu drogowego w zakresie obowiązujących znaków drogowych, reguł pierwszeństwa i zasad bezpieczeństwa. Dzieci poniżej 10. roku życia nie będą mogły poruszać się hulajnogą elektryczną po drodze publicznej, a jedynie w strefie zamieszkania i pod opieką osoby dorosłej. Dla porównania w Niemczech mogą korzystać z hulajnog wyłącznie osoby, które ukończyły 14 lat.

Podobnie jak w przypadku jazdy na rowerze karalne będzie prowadzenie hulajnog lub UTO pod wpływem alkoholu lub środka odurzającego. Mikromobilności skorzystają z chodników lub dróg dla pieszych, gdy zabraknie wydzielonej drogi dla rowerów oraz pasa ruchu dla rowerów, a chodnik jest usytuowany wzdłuż jezdni, po której ruch pojazdów jest dozwolony z prędkością większą niż 30 km/h. Rozwijana przez nich prędkość będzie musiała być jednak zbliżona do prędkości pieszego. Będą ponadto musieli zachować szczególną ostrożność, ustępować pierwszeństwa pieszym i nie utrudniać im ruchu.

Nowe przepisy obejmą swą regulacją wspomniane urządzenia wspomagające ruch, do których zaliczono m.in. sprzęt

sportowo-rekreacyjny przeznaczony do poruszania się w pozycji stojącej, napędzany siłą mięśni, czyli np. wrotki, deskorolka. Jazda na tych urządzeniach będzie możliwa dla każdego zarówno po ścieżkach rowerowych, jak i chodnikach. Na tych ostatnich jednak tylko z prędkością zbliżoną do prędkości pieszego i nie utrudniając mu poruszania się.

Nieprzestrzeganie przytoczonych zasad zagrożone zostanie ukaraniem mandatem. Kwotę w wysokości nawet 350 zł zapłaci ten, kto jadąc na hulajnodze elektrycznej lub UTO, nie ustąpi pierwszeństwa pieszemu. Warto też zwrócić uwagę, że sankcją objęte będzie również trzymanie podczas jazdy telefonu lub mikrofonu. Warto w tym miejscu przypomnieć,

że od czerwca br. w trakcie przechodzenia przez jezdnię lub torowisko zabronione będzie korzystanie z telefonów, a także z innych urządzeń upośledzających prawidłową percepcję, zwłaszcza wzrokową, a tym samym ocenę w zakresie bezpieczeństwa wejścia i pokonania wskazanych miejsc.

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

49/0121/F

Kawa na każdą pogodę

Z *Marzeną Kawą*, prezenterką TV, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Gratuluję nominacji do Telekamer. Telewidzowie, jak widać, darzą panią sympatią.

Marzena Kawa: Czuję się bardzo wyróżniona i szczęśliwa. Także z tego powodu, że przez kilkanaście lat mojej obecności na antenie nie spotkałam się nigdy z negatywnym odbiorem. Być może prognozy pogody, z którymi jestem najbardziej kojarzona, wywołują tylko dobre reakcje. Nawet jeśli nie pojawia się w nich słońce. Ale i w takiej informacji, jako urodzona optymistka, staram się znaleźć pozytywny element.

W jaki sposób politolożka została pogodną „panią z telewizji”?

Kierunek studiów nie był przypadkowy. Zawsze interesowałam się życiem społecznym, naukami politycznymi. To była pasja wyniesiona z domu, ale też potrzeba, by mieć wpływ na to, co się dzieje wokół.

Zawodowe życie zaczynałam od dziennikarstwa newsowego w „Telewizyjnym Kurierze Warszawskim” – biegałam z mikrofonem po Warszawie. Potem były większe formy, reportaże, jednak los pokierował mnie w inną stronę. Wakat w redakcji pogody i chęć poznania pracy przed kamerą sprawiły, że wystartowałam w castingu... I tak dziesięć lat temu zaczęła się moja przygoda z prognozą pogody – najczęściej i najchętniej oglądanym serwisem informacyjnym.

Co odpowiada pani na pytanie: „Kawa czy herbata?”

Zdecydowanie kawa. Nazwisko zobowiązuje, ale też uwielbiam smak i aromat kawy (popitej koniecznie szklanką wody). Jako niskociśnieniowiec i meteoropatia nie wyobrażam sobie bez niej dnia. Kawa jest świetna na każdą pogodę. 



Fot. Materiały prasowe TVP

W ubiegłym tygodniu pod zdjęciem Anny Ferenc ukazał się błędny podpis autora fotografii, poprawny to fot. Irena Frączek. Za pomyłkę przepraszamy.

Safari Borysa Budki

To na pewno nie był przypadkowy sen – pomyślał Borys Budka, zszokowany bogactwem obrazów, jakie zostały mu w pamięci, ich logiczną konsekwencją zmierzającą do nieoczekiwanego finału. A także wyrazistością, zarówno w scenach pełnych drastyczności, emocjonalnego dramatyizmu, jak i sytuacjach, które doprowadziły do zwrotu zapowiadającego świetlaną przyszłość.

W pierwszym fragmencie wczesnym rankiem biegł ulicą Perkoza w Gliwicach, przygotowując się do kolejnego maratonu. Nagle jego uwagę przykuł pomarańczowy plakat na tablicy ogłoszeń gminy. Na tle zdjęcia porannego słońca nad safari w RPA widniał duży napis: „Gotowy na niezapomniane wrażenia i przygodę w Afryce?”.

W kolejnej scenie jechał wypożyczonym z biura turystycznego samochodem terenowym na safari, z licencją „myśliwego aparatem fotograficznym”. Krótco przed dojazdem w „strefę polowania” zobaczył stojącą kilkanaście metrów dalej żyrafę. Zatrzymał auto, by zrobić swoje pierwsze zdjęcie w Afryce. Kiedy skierował obiektyw w jej stronę,



Jerzy Jachowicz

zamiast żyrafy zobaczył zarys jeźdźcy na białym koniu.

Dosłownie po kilku kilometrach jazdy na małym wzniesieniu stały dwa lwy. Tym razem po zatrzymaniu postanowił wyjść z samochodu, aby mieć ujęcie pod odpowiednim kątem. Nie zdążył podnieść aparatu do oka, gdy został zaatakowany przez olbrzymiego kota, lamparta plamistego z głową Joanny Muchy. Na nic się zdały okrzyki: „Joasiu, nie poznajesz? Razem walczyliśmy ze Schetyną!”. Lampart, podniósłszy do góry przednie łapy, próbował potężnymi pazurami wytrącić aparat, którym machał jak tarczą. W ogromnym stresie rzucił

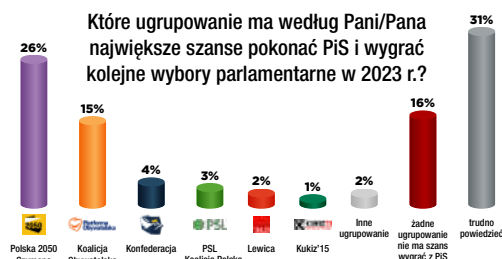
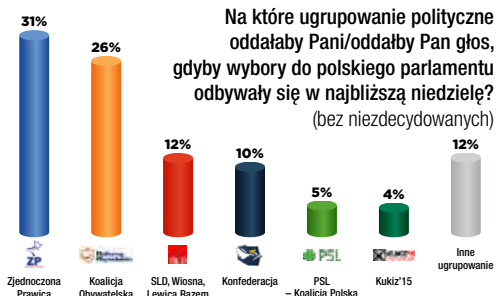
aparatem w lamparta i zaczął uciekać. Biegł przez dżunglę, strzając z siebie agresywną szarańczę. Po pokonaniu górskiej rwącej rzeki wbiegł do Sejmu wypełnionego do ostatniego miejsca. Przy ogłuszających brawach z honorowego miejsca za stołem prezydiąlnym wstał Joe Biden, by wręczyć mu nominację na premiera.

Kiedy rano przeczytał, że Joanna Mucha przeszła do partii Polska 2050, nie miał już wątpliwości: „Ten sen, to znak”. I nad swoim łóżkiem zawiesił portret Joego Bidena. 

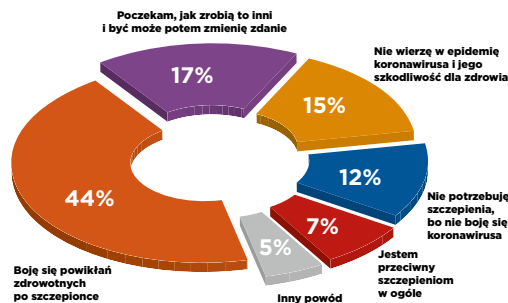
RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



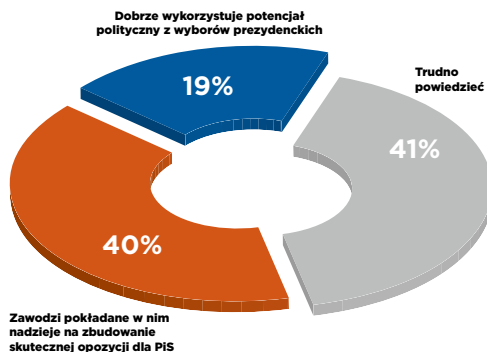
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



Dlaczego Pani/Pan nie zaszczepi się przeciwko COVID-19?



Z którym stwierdzeniem na temat Rafała Trzaskowskiego, który kandydował w niedawnych wyborach na prezydenta Polski, Pani/Pan zgadza się bardziej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1066.

Zakres czasowy badania 22–25 stycznia 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLECKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWKOWSKA-SMOLINSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODZIEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN
POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANIŚLAWSKI, WIKTOR
ŚWETLIK, BRONISŁAW WILDSSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK
ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. RÓZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, WOLTER LASKI/FAE NEWS

Cel uświęca środki



Jeszcze niedawno jeździł po parafiach w całej Polsce i przemawiał niczym kaznodzieja. Dziś wspiera skrajnie antyklerykalny Strajk Kobiet. Pokazuje twarz, o jaką mało kto by go kilka lat temu podejrzewał. Kiedy jest prawdziwy, a kiedy gra, żeby politycznie zyskać? Co naprawdę sądzi o osobach homoseksualnych? Co kiedyś mówił o aborcji czy księżach pedofilach? Czego jeszcze nie wiedzą o Szymonie Hołowni jego sympatycy?



publicysta zaproszony do parafii NMP Matki Kościoła na gliwickim Sikorniku. Spotkanie odbywa się w cyklu „Misje ewangelizacyjne”. Jest 10 października 2013 r. Gwiazdor TVN lubi te występy. Z pasją, barwnym językiem opowiada o konieczności „żywej relacji z Bogiem”. Ludzie mu wierzą, są pod wrażeniem. Widać to w komentarzach pod filmem na YouTube: „Taki młody, a taki mądry, dziękuję”, „Gościu jest niezmiernie, mówi, jaki mam być, wielki jesteś”, „Dzięki, dzięki panie Szymonie, wspa- niale kazanie!”.

KATOLIK Z TVN

Jednego nie można Hołowni odmówić: umie się sprzedawać i zauroczyć innych. Ma energię, potrafi mówić, trochę zagrać aktorsko. Dodalibyśmy jeszcze, że wyczuwa nastroje społeczne, gdyby nie fakt, że to już nie jego osobista zasługa. Cały projekt Polska 2050 i jego start w wyborach prezydenckich opierał się na badaniach fokusowych, które miały wskazać, jakiego przywódcy chcą Polacy. I on do tego modelu błyskawicznie się dostosował. Dostał gotowe recepty, co i jak ma głosić. Mówi to, co ludzie chcą usłyszeć.

W pewnym sensie polityk powinien taki być – wsłuchiwać się w głos ludu. Ale mimo że granica między empatią a populizmem jest dość wyraźna, to kusi jej przekraczanie. I Hołownia z premedytacją, ale i sprytem, to robi.

Jest koniunkturalny do bólu. Jego mądrość etapu to lansowanie wydumanego rozdziału Kościoła od państwa. W czerwcu w TVN24 stwierdził: „Polska idzie w lewo i będzie szła w lewo. Potrzebuje dziś kogoś, w perspektywie pokolenia, kto Polskę bezpiecznie przez ten skręt w lewo przeprowadzi”.

A Szymon ma papiery na bezpiecznego przewodnika w tej operacji. Przez lata był dyżurnym „katolickim publicystą”. Ma popularność, sympatię wśród sporej części księży, w podziale Kościoła na „toruński” i „łagiewnicki” reprezentuje ten drugi, a do tego jego kariera rozkwitła w TVN.

To pewna przewrotność, a może precyzyjniej obrotowość Szymona Hołowni sprawia, że właśnie on wypomina

Jaki jest pana stosunek do aborcji?” – pytanie, które odczytuje z kartki Szymon Hołownia, powoduje, że na chwilę zawiesza głos. Potem mówi już pewnie: „Mój stosunek do aborcji jest bardzo prosty. Aborcja jest zabójstwem, w każdym przypadku. Pozbawieniem życia człowieka i tu nie mam cienia wątpliwości” – odpowiada



MAREK PYZA MARCIN WIKŁÓ

Fot. Przemysław Jach/REPORTER

innym „przemawianie” w kościele. Sam wielokrotnie pojawiał się na spotkaniach w zaprzyjaźnionych parafiach. Nie chodziło wtedy o politykę, bardziej o biznes, promował bowiem napisane przez siebie książki. I jeszcze jedno, przez lata sprytnie osadzał się w kościelnych realiach, uwiarygodniał jako gorliwy katolik. „Zdaje sobie sprawę, że jestem wrabiany czasem w rolę takiej katolickiej małpki z telewizji, która występuje w »Mam talent« i jest później obwożona po kraju i pokazywana w różnych miejscach. Żeby ludzie sobie zobaczyli i powiedzieli: »Ooo! Ten pan jest z telewizji, a mimo to jest katolikiem«” – to ze wspomnianego już spotkania w gliwickiej parafii z października 2013 r.

– On się niby żyzymał na takie skojarzenie, ale w rzeczywistości o to mu chodziło. „Katolik z TVN” to jest łątka, która naprawdę go wyróżniała, dodawała rozpoznawalności. I wtedy przy sprzedaży książek, i dzisiaj w polityce – mówi nam jedna z osób, która pracowała z Hołownią.

W młodości dwukrotnie porzucał zakonny nowicjat, dochodził do wniosku, że „to jednak nie jego bajka, nie jego sposób na życie”. Inny nasz rozmówca tłumaczy, że m.in. dzisiejsze mocne zdania na temat instytucji polskiego Kościoła, które wypowiada publicznie były kandydat na prezydenta, to efekt poczucia, że „to jego działka”, że się na tym zna, ma więc prawo pouczać – i księży, i wiernych. Być może uwierzył w moc swojego słowa, gdy świetnie przyjmowano go w kościołach. Takich wizyt przez lata było mnóstwo, na YouTube bez trudu można znaleźć z nich nagrania.

14 grudnia 2012 r., kończy się wieczorna msza św. w kościele parafialnym w Tarnowie-Mościcach, ale kaplica nie pustoszeje. To ważne wydarzenie, spotkanie z cyklu „Face To Face – chrześcijanin w świecie”. Hołownia podchodzi do przeznaczonego dla niego krzeselka przy stoliku. Włącza tablet, wcześniej z pokorą klęka przed ołtarzem, kłania się Najświętszemu Sakramentowi i wreszcie sadowi się przed mikrofonem. „Naszym gościem jest chrześcijanin,

który wykonuje zawód dziennikarza i publicysty. Jest autorem wielu książek, które stały się bestsellerami. M.in. książek, które można zakupić dzisiaj. Powitajmy Szymona Hołownię!” – słyszymy zapowiedź, a potem gromkie oklaski.

Hołownia się uśmiecha, mówi łagodnym głosem. Ma charakterystyczny dla księży zaśpiew, gdy chce coś podkreślić, podnosi głos i zawiesza go. Dziennikarz, niczym kaznodzieja, mówi o tajemnicy, jaką owiane są okoliczności Bożego Narodzenia. „Taki pomysł na świat miał Bóg, tak go stworzył, że ni-

„Moim marzeniem jest to, żeby aborcja była nielegalna, żeby nie można było zabijać drugiego człowieka”

gdy do końca świata nie będzie raz danej odpowiedzi na to, czy Bóg istnieje, czy należy Mu ufać i co z tym wszystkim robić. [...] Chrystus nie przyszedł i nie wyświetlił na niebie prezentacji multimedialnej i nie powiedział, że oto on jest Bogiem i komu się nie podoba, to do widzenia, a kto ze mną, to ze mną. [znów dłuższa pauza] To nie na tym polegało. On sprawił, że to zawsze będzie decyzja pojedynczego człowieka, kiedy ten staje przed Bogiem. Każdy będzie musiał sam podejmować tę decyzję, czy wierzy Bogu!” – dramaturgia tej wypowiedzi jest taka, że gdyby nie znać głoszącego, można by być przekonanym, że to kapłan. A echo, które niesie się po murach świątyni, wzmacnia jeszcze ten efekt.

PROPOZYCJA „SZCZĘŚCIODAJNA”

10 października 2013 r., Gliwice. Spotkanie z cyklu „Misje ewangelizacyjne”. Wcześniej gośćmi bywali tutaj m.in. Tomasz Terlikowski oraz zakonnicy: o. Paweł Guzyński OP i o.

Adam Szustak OP. Najpierw zawsze jest msza św., potem wykład gościa. Hołownia mówi niespełna godzinę. Ciekawie nawiązuje do Ewangelii i żywotów świętych. Niebanalne porównania i młodzieżowy język powodują, że gdyby go ktoś nie znał, mógłby pomyśleć, że to jakiś fajny, charyzmatyczny ksiądz. Bo zarówno ton opowieści, jak i jej treść mają być formą nauki, jaką znamy z mszalnych kazań. „Chrześcijaństwo nie przetrwa dlatego, że my z kolegą Terlikowskim będziemy w stanie wznosić się na coraz wyższe retoryczne wyżyny w zmaganiu z lewactwem. Ono przetrwa tylko wtedy, gdy nauczymy się robić tak, że ludzie będą nas pytać o Jezusa Chrystusa” – mówi „kaznodzieja” z emfazą, która każe zapytać, dlaczego dzisiaj nie jest aż tak uduchowiony, dlaczego stara się Kościół sprowadzić do roli „jednej z wielu instytucji”, które działają w świeckim państwie?

Szymon Hołownia nie był nigdy bezkrytyczny wobec Kościoła, a szczególnie wobec księży. Piętnował przypadki pedofilii, ale pytany o nie, tłumaczył: „Jeżeli listonosz pije, to nie znaczy, że cała poczta nie ma sensu. Moralność nie jest pierwszym zadaniem księdza. On ma przede wszystkim nauczać, dobrze, jeśli jego życie licuje z tym, co głosi, bo wtedy jest lepszy efekt. Ale jeśli zachowuje się jak skurczysyn, to nie znaczy, że cała Ewangelia i cały Kościół nie mają sensu” – to jeszcze jedna jego wypowiedź z Gliwic.

W tym kontekście warto też wrócić do nagrania programu „Kobięcym okiem” prowadzonego przez jego kuzynkę Natalię Hołownię dla jednego z serwisów portalu Gazeta.pl. Zapytany o to, „jak reaguje na doniesienia o pedofilii i homoseksualizmie w Kościele”, Szymon odparł: „Był taki kanadyjski raport pokazujący, jaki procent wśród ludzi pracujących z dziećmi, którzy zostali zdemaskowani jako pedofile, to księża. I księża byli tam na 7, 8. czy 9. pozycji. Na pierwszym miejscu byli nauczyciele, na drugim opiekunowie prawni tych dzieci i dopiero później, gdzieś daleko, księża. Z tego

się robi dużo hałasu, bo to jest bardzo spektakularne, że ktoś miał być dobry, a jest zły. [...] To, że jakiś duchowny jest homoseksualistą, co się zdarza, że ma taką orientację, a nie inną, ale nie realizuje jej, żyje w celibacie, zdarzają się takie przypadki... Czy ja widzę w tym coś złego? Trudno jest mi w tym zobaczyć coś złego” – to także wypowiedź z grudnia 2013 r.

Czy dzisiaj zdobyłby się na taki „rozśadek”? Czy byłby na tyle odważny, by np. stanąć tam, gdzie jego polityczny kompan Michał Kobosko – wśród manifestujących przed Trybunałem Konstytucyjnym – i powiedzieć te same słowa, co kilka lat temu: „Moim marzeniem jest to, żeby aborcja była nielegalna, żeby nie można było zabijać drugiego człowieka”?

Jeszcze jedna mądrość dzisiejszego „reformatora” Kościoła z wywiadu dla Gazeta.pl: „Czy nie uważasz, że Kościół powinien się troszeczkę unowocześnić? Otworzyć na potrzeby młodych ludzi? Chodzi np. o antykoncepcję” – zagąła dziennikarka. „Nie uważam – odpowiedział pewnie Hołownia. – [...] Ja bym w ogóle nie dłużył w doktrynie, ja bym pokazał, że to jest spójna propozycja, że jest »szczęściodajna«. Że ty możesz być bardziej szczęśliwym człowiekiem, jeżeli pójdziesz tą drogą, odrzucając antykoncepcję czy historię w rodzaju wspólne mieszkanie albo seks przed ślubem”.

PRZYKRĘCIĆ ŚRUBĘ KLEROWI

Tamtego Szymona już nie ma. Już nie występuje w kościołach ani salkach parafialnych. Księża nie wieszają banerów zapraszających na spotkanie z sympatycznym panem z telewizji. Na konferencjach prasowych, w transmisjach internetowych za każdym razem towarzyszą mu żółte grafiki (niezwiązane z barwami Watykanu), logo jego politycznego ruchu i podstawowy przekaz: musimy zakończyć okres PiS u władzy, przejmą ją i zacząć naprawiać Polskę. Na czym ta naprawa ma polegać? Za największy problem trapiący nasz kraj uznał zbyt

bliski, jego zdaniem, związek państwa z Kościołem.

Temu poświęcił pierwsze spotkanie programowe w cyklu „Wiemy jak”. Zdrowie, gospodarka, bezpieczeństwo, edukacja – to może poczekać.

W miniony czwartek, zapowiadając debatę swoich ekspertów, zaprezentował hasło: „Kościół i państwo na swoje miejsca”. Krzykliwy, obcesowy slogan, niczym komenda wydawana psu, ma zjednać antyklerykałów, do których coraz częściej puszcza oko.

„Moralność nie jest pierwszym zadaniem księdza. On ma przede wszystkim nauczać, dobrze, jeśli jego życie licuje z tym, co głosi, bo wtedy jest lepszy efekt. Ale jeśli zachowuje się jak skurczysyn, to nie znaczy, że cała Ewangelia i cały Kościół nie mają sensu”

Postulaty? Też powinny się spodobać wszystkim, którzy prowadzą ideologiczną wojnę wymierzoną w Kościół. Opiszmy w skrócie główne z nich.

Finanse. „Kwestię rozliczeń majątkowych między państwem a Kościołem katolickim w związku ze zwrotem dóbr odebranych mu w wyniku działalności władz komunistycznych należy uznać za zamkniętą. Możliwie prędko należy też za zamknięte uznać rozliczenia z innymi związkami wyznaniowymi”. Czyli Kościół katolicki ma być w gorszej pozycji od innych religii. Dodatkowo Hołownia chce wnioskować do Najwyższej Izby Kontroli o „pilny, gruntowny audyt przepływów finansowych pomiędzy wszystkimi jednostkami budżetowymi państwa a wszystkimi »działami« o. Rydyka”. Z dyrektora Radia Maryja chce uczynić największe zło,

które powoduje ubożenie państwa. Niewiele ten postulat różni się od tego, czym od dawna raczy nas poseł Joanna Scheuring-Wielgus. Iniewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

Lider Polski 2050 marzy o wprowadzeniu Kodeksu dobrych praktyk, który „precyzyjnie będzie regulował sytuację, w których urzędnik państwowy reprezentujący Rzeczpospolitą może wziąć udział w obrzędach kultu religijnego”. Jak to ma wyglądać w praktyce? Nie wiadomo. Według Hołowni chodzi o to, żeby „minister mógł wziąć udział w katolickim pogrzebie kogoś zasłużonego”. Czy chce w jakimś pozaprawnym dokumencie opisać wszystkie przypadki, w których urzędnikowi wolno pójść na mszę? Czemu nie zrobić kroku dalej i zastosować niepisanej zasady, że żaden funkcjonariusz publiczny nie może się pokazywać na jakiegokolwiek uroczystości religijnej? Bolszewicy potrafili takie sprawy regulować jeszcze bardziej precyzyjnie. Hołownia musi się jeszcze trochę poduczyć.

Były celebryta, inaczej niż głosił przez całe życie, doszedł do wniosku, że to wśród księży najbardziej widoczny jest problem wykorzystywania seksualnego dzieci. Dlatego domaga się, by „zobowiązać państwową komisję ds. pedofilii do przygotowania szczegółowego raportu w tym zakresie” i powołania „specjalnej grupy prokuratorów tylko do tej kwestii”. Jak widać wyżej, „stary” Szymon Hołownia widziałby potrzebę oddelegowania prokuratorów do zupełnie innej grupy zawodowej.

Co z religią w szkołach? Niby może zostać, ale nie na dotychczasowych zasadach. To rady szkoły, pedagogiczne lub rodziców miałyby decydować „o sposobie i wymiarze prowadzenia religii w szkole” (łącznie z liczbą godzin tego przedmiotu). Rodzi to kłopotliwe konsekwencje, np. co będzie musiał zrobić rodzic, jeśli w szkole jego dziecka zmieni się ktoś z wspomnianych gremiów i podejmie decyzję niekorzystną z jego punktu widzenia? Czy np. w piątej klasie ma szukać innej szkoły? Albo czy o liczbie lekcji wf., historii czy chemii też ma decydować rada rodziców?

Szkoła marzeń Hołowni nie będzie wliczać oceny z religii do średniej. Możemy więc zakładać, że pan Szymon chce, by uczniowie przykładali jeszcze mniejszą wagę do tego przedmiotu, a ostatecznie by został on zlikwidowany. Cel niczym z manifestu Janusza Palikota „Zdjąć Polskę z krzyża”.

PREZYDENT BEZ STUDIÓW

Wśród innych postulatów naszą uwagę przykuł jeszcze jeden – kapełani pracujący w więziennictwie czy szpitalach mają mieć ukończone studia podyplomowe, żeby „skoro są opłacani z naszych wspólnych pieniędzy, jeszcze bardziej kompetentnie wspierali proces resocjalizacji”. Kuriozum! Szkoda, że nie podzielił się tym pomysłem w kampanii wyborczej. Można byłoby go rozszerzyć o wymóg minimum wyższego wykształcenia u kandydatów na urząd prezydenta (skoro głowie państwa płacimy z naszych wspólnych pieniędzy, a pierwszy obywatel podejmuje najważniejsze decyzje dotyczące nie tylko osób resocjalizowanych, lecz wszystkich obywateli). Tyle że wtedy Hołownia nie mógłby kandydować, bo sam skończył tylko liceum.

Hołownia robi dokładnie to, na czym zależało Rafałowi Trzaskowskiemu, tyle że temu ostatniemu chyba nie za bardzo się chce, więc o ruchu Wspólna Polska wciąż niewiele słyszało. Lider Polski 2050 przejął sporą część programu Platformy (przynajmniej ideowego, jeśli w ogóle można o czymś takim mówić), na czele z postulatem numer jeden: odpowiedzialnym za wszelkie zło w Polsce jest Jarosław Kaczyński, więc za wszelką cenę należy odsunąć go od władzy.

W tej kwestii Hołownia jest bardziej totalny od żołnierzy Borysa Budki. Sprawia wręcz wrażenie owładniętego obsesją na punkcie prezesa PiS. Niemal krzyczy, gdy ogłasza, że Kaczyński „podpala Polskę kosztem kobiet”, jest „barbarzyńcą”, „dobierającym się do sumień satrapą”. W czasie swojej codziennej pogadanki na Facebooku mówił w zeszłym tygodniu:

„To państwo powinno być świeckim państwem, o którym papież Franciszek mówił, że świeckie państwa są najlepsze, a najmniej w historii udają się zawsze państwa wyznaniowe. Świeckie państwo, które podchodzi z szacunkiem do wszystkich kościołów, które w Polsce działają. Państwo, które szanuje ludzi wierzących, ale które żąda absolutnej przejrzystości i upodmiotowia obywateli w relacjach z Kościołem. Bo wiecie, to się zaczyna od tego, że Kaczyński przemawia sobie na mszach, Andrzej Duda przy-

„Ja bym w ogóle nie dłużył w doktrynie, ja bym pokazał, że to jest spójna propozycja, że jest »szczęściodajna«. Że ty możesz być bardziej szczęśliwym człowiekiem, jeżeli pójdziesz tą drogą, odrzucając antykoncepcję czy historię w rodzaju seks przed ślubem”

śnięcia blaskiem Najświętszą Panienkę na Jasnej Górze, a epidemiczne pielgrzymki ciągną do świątyni Rydzika. To się od tego zaczyna”.

NA TEN CZAS

Wsluchując się w „kazania” Szymona Hołowni sprzed lat, można dojść do wniosku, że był wówczas taki, jak „powinien”. Miało się podobać i się podobało. Przyjemny młody człowiek, z taką pasją opowiadający o Bogu. Dla dojrzałego odbiorcy, który w kościelnym spotkaniu szuka jakiejś głębi – skarb. Mówił językiem potocznym, ale nie przekraczał granic. Dosadność – owszem, ale bez wulgarności. Bardzo tego pilnował. Czymś niezwykłym było więc spotkanie w Tychach, gdy

pytano go o upadający właśnie kanał Religia TV (wcześniej TVN Religia), którego był redaktorem naczelnym. Osobiste zaangażowanie i świeże emocje wywołały wzburzenie u dziennikarza: „Gdzie byliście, kiedy trzeba było nam pomóc? Realnie pomóc, coś zorganizować. Zastanowić się, co zrobić, by promować to, żeby oglądało nas więcej ludzi. Napisać do swojego operatora kablówki, żeby nas do tej kablówki włączył. To jest nasza polska specjalność. Coś dostajemy, dzieje się i fajnie, ale później, jak znika, to rozdzieramy szaty. Religia TV znika z rynku, bo nie chcieliście, żeby była. To proste. Chcieliście, żeby były inne kanały” – mówił podniesionym głosem, wyraźnie rozczarowany medialną porażką.

Takie emocje z dzisiejszej perspektywy to betka. Po kilku latach ta jego „wrażliwość” bardzo się przesunęła. Wsparcie proaborcyjnych protestów, pojawiające się na manifestacji Strajku Kobiet logo Polski 2050 i epatowanie tym w mediach społecznościowych to coś więcej niż „solidarność z kobietami”, ale autoryzowanie rynsztokowych wyskoków Marty Lempart.

Choć jesienią damy ze Strajku Kobiet kazały mu „wyp...lać”, to Szymon nie daje za wygraną. Widzi, że to tam jest dziś największa antyrządowa energia. Może nie będzie z tego poważnego związku, ale wspólny wróg te dwa środowiska łączy. I Hołownia jest gotów powiedzieć dokładnie to samo co Lempart, tylko nieco łagodniej. Jest gotów pójść pod rękę z barbarą spod znaku błyskawicy, która niszczy kościoły.

Jak pokazują ostatnie sondaże Social Changes dla wPolityce.pl, to skuteczna droga, bo Hołownia wyprzedza już Koalicję Obywatelską i wyrasta na najpoważniejszą konkurencję dla Prawa i Sprawiedliwości w wyborach w 2023 r.

Dla PiS dobra informacja jest taka, że w polityce dwa lata to dużo czasu, więc nie wiadomo, czy Hołownia utrzyma się na fali. Gorsza – dla wszystkich – że nie wiemy, do czego jeszcze jest zdolny ten grzeczny chłopak ze spotkań w parafii i jakie jeszcze talenty nam pokaże. 



*Wyraży głębokiego współczucia
i szczerze słowa wsparcia po stracie*

MAMY

*Panu Borysławowi Iwaszkiewiczowi
i Jego Najbliższym*

Przekazują

*zarząd i pracownicy
SALTUS Ubezpieczenia i Asekuracja sp. z o.o.*

58/0121/F



Drogiemu Koledze,

***Borysławowi Iwaszkiewiczowi
i Jego Rodzinie,***

*Przekazuję wyrazy współczucia i słowa otuchy
w trudnych chwilach po stracie*

MAMY

*Zapewniam o mojej pamięci i wsparciu
Grzegorz Buczkowski*

57/0121/F



Panu

***Borysławowi Iwaszkiewiczowi
i Jego Najbliższym***

*Składam szczerze kondolencje i wyrazy żalu
z powodu śmierci*

MAMY

*Zapewniam o mej pamięci i współczuciu
Grzegorz Bierecki*

61/0121/F

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 21 stycznia 2021 r. zmarł*

ŚP

**PPOR. HENRYK JERZY CHMIELEWSKI
PS. „JUPITER”**

*urodzony 7 czerwca 1923 roku w Warszawie.
Od marca 1943 roku służył w Samodzielnym Rejonie Okęcie
Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej
w składzie 1. plutonu Kompanii „Stachna”
3. batalionu 7. Pułku Piechoty „Garłuch”.
Żołnierz Powstania Warszawskiego.*

*Wybitny grafik i rysownik,
znany jako „Papcio Chmiel”.*

*Uchonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Warszawskim Krzyżem Powstańcym,
Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości,
Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”
oraz innymi odznaczeniami.*

*W pomurach czasach PRL-u dawał swą twórczością radość
kilku pokoleniom rodaków.*

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

55/0121/F

Musimy zdusić epidemię, to jest zadanie numer jeden

Chcemy rozwoju, chcemy inwestycji, w tym kierunku jeszcze mocniej idziemy, pozostając jednocześnie rządem jednoznacznie prospołecznym, pamiętającym o tych grupach, którym jest trudniej

*Michał Karnowski rozmawia z **Jarosławem Kaczyńskim**,
prezesem Prawa i Sprawiedliwości, wicepremierem*

Okazją do naszej rozmowy jest kolejna edycja nagrody Człowiek Wolności tygodnika „Sieci”. Pan był bardzo ważnym laureatem tego tytułu i odbierając go, podkreślił, że w gruncie rzeczy okresy wolności są w historii rzadkie, że jest ona bardzo krucha, ciągle zagrożona i wymaga stałej troski. Dziś wiele osób ma poczucie, że znowu nadchodzą czasy takiej próby. Pan się z tym zgadza?

Jarosław Kaczyński: Tak. Jest bardzo wiele przykładów tego ograniczenia wolności. Dzisiaj w centrum uwagi jest to, co wydarzyło się w Stanach Zjednoczonych, odebranie głosu urzędującemu prezydentowi. Ale przecież różnego rodzaju działania zmierzające do tego, by ludzie o poglądach konserwatywnych nie mogli się bezpiecznie wypowiadać, by za swoje słowa ponosili różnego rodzaju negatywne konsekwencje – bywa nawet, że karne – prowadzone są nie od dzisiaj. To jest właśnie istota wolności słowa: możliwość wypowiedzenia głośno tego, co się myśli. Pojęcie wolności odnosi się przecież do relacji między ludźmi, a porozumiewamy się za pomocą języka, pisma, obrazu. Jeżeli to nie jest wolne, wolności nie ma. Dzisiaj niestety dąży się już otwarcie nie tylko do ograniczenia wolności, ale do jej likwidacji. Pojęcia, jakimi przy tej

okazji posługują się wrogowie wolności, są mylące. Określenia w rodzaju „mowa nienawiści” to przecież czysta socjotechnika.

Jest też słowo „tolerancja”, również używane jako uzasadnienie ataku na wolność słowa.

To słowo jest używane dziś w sposób całkowicie wywracający pierwotne znaczenie tego wyrazu. To wszystko w wielu miejscach nie tylko dominuje w praktyce środków masowego komunikowania się, ale jest ujęte w normach prawnych o charakterze represyjnym. I te represje bywają stosowane. W tym kontekście to, co mówiłem już dość dawno temu, jeszcze w opozycji, że Polska pozostaje oazą wolności w kraju i na świecie, jest prawdą coraz wyraźniej dostrzegalną. Ale to nie jest dane raz na zawsze, bo istnieją siły dążące do tego, by i u nas też te ograniczenia działały, coraz bardziej ofensywnie.

Jakie to siły?

To jest wprost deklarowane przez lewicę, przy czym lewica to dziś nie tylko ci, którzy się tak sami określają, ale też i ci, którzy tak się nie określają, którzy tak naprawdę przeszli na tę drugą stronę, że można mówić nie o lewicy, a o lewactwie. To, że są tam być może jeszcze ludzie, którzy mają

trochę inny pogląd, jest zupełnie bez znaczenia.

Tzw. konserwatyzm bezobjawowy.

Tak, to dobre określenie. Platforma Obywatelska przeszła zdecydowanie na te pozycje, i nie tylko taki program głosi, ale realizuje. Przypomnę bowiem, że PO, wbrew swoim opowieściom o represjach, które mają ją rżnąć, spotykać, ma w Polsce bardzo znaczną część władzy. Nie mówię tylko o jej wpływie na władzę sądowniczą. Mówię o samorządach, ale także o samorządach korporacyjnych, w szczególności samorządach uczelni. I tam aktów skierowanych przeciw wolności jest już sporo. Będziemy się temu przeciwstawiać, będą odpowiednie ustawy. Ale z kolei sądy nie chcą stosować ustaw, to jest kwestionowanie już nie wolności, tylko demokracji.

To pytanie, czy w sądach ludzie o poglądach konserwatywnych mogą dziś liczyć na sprawiedliwość, pojawia się coraz częściej. Takie jest doświadczenie wielu osób. Ale czy to znaczy, że pan premier będzie wspierał postulaty, projekty, pojawiające się w obozie Zjednoczonej Prawicy jako odpowiedź na te zagrożenia, mające zwiększyć poziom prawnej ochrony wolności słowa?



Tak, mogę nawet powiedzieć, być może nieskromnie, ale rzadko mnie chwałą, więc się sam pochwalę, że jestem autorem takich pomysłów [śmiech]. Forsuję je od dłuższego czasu. To często spotykało się z różnego rodzaju oporami, nawet w naszym środowisku. To nie były opory przeciwko ochronie wolności, ale różnego rodzaju zastrzeżenia o charakterze taktycznym, niekiedy środowiskowym.

Często pojawiają się pytania, czy to w ogóle jest możliwe, czy może być skuteczne?

To akurat nie było podnoszone, tylko te dwa pierwsze argumenty. Ale z całą pewnością to przeprowadzimy. Musi być tak, że każdy, kto podniesie rękę na wolność, np. na uczelni, będzie wiedział, że poniesie tego konsekwencje. Wiem oczywiście, że egzekwowanie tego będzie niełatwe, będzie związane z konfliktami, ale wolności naprawdę trzeba bronić. To jest wartość zupełnie fundamentalna.

Czy państwo polskie ma możliwości, siłę, by się przeciwstawić potężnym, ponadnarodowym koncernom, potęgom, które jak już wspomnieliśmy, były w stanie powiedzieć „precz” prezydentowi USA?

Mamy swoje terytorium, mamy rosnące możliwości ekonomiczne, pewne możliwości techniczne – chodzi więc tylko o determinację. Determinację wobec tych, którzy funkcjonują na naszym terytorium i muszą pewnych zasad przestrzegać. A poza tym, co być może jest perspektywą nieco bardziej odległą, determinacji w budowie tego, co ma być konkurencją wobec tych, którzy w tym obiegu informacji odgrywają kluczową rolę, ale pozbawiają ten obieg wolności.

Tyle wolności, ile własności – to hasło okazuje się w obszarze mediów szczególnie aktualne. I tutaj warto wspomnieć o zakupie firmy medialnej Polska Press, mającej większość tytułów regionalnych i lokalnych w Polsce, przez kierowany przez prezesa Daniela Obajtka PKN Or-

len. Jak pan przyjął informację o tej transakcji, o tym – precyzyjnie mówiąc – odkupieniu tego, co kiedyś ekipy liberalów wyprzedały w ręce kapitału niemieckiego?

To jest jedna z najlepszych wiadomości w ciągu ostatnich lat. To jest pierwszy krok w drugą stronę. My pozbawiliśmy się w wielkiej mierze mediów na rzecz czynników pozapolskich, głównie niemieckich, z ogromną stratą dla naszej suwerenności nie tylko państwa, ale narodu. Proszę zwrócić uwagę, że media niemieckie odegrały w latach 90. ogromną rolę w demoralizowaniu młodzieży. I to takim demoralizowaniu wulgarnym, prymitywnym.

To było szokujące uderzenie.

Szokujące, ale cały czas trwało. Jeżeli będziemy szli tą drogą, która została rozpoczęta decyzją prezesa Daniela Obajtka, to będziemy mogli tę sytuację uzdrowić. Przypomnę państwu, że kiedy jedna niezbyt znacząca gazeta codzienna została przejęta przez nie-Niemców w Niemczech,

uruchomiono potężną kampanię i skończyło się tym, że ta gazeta w ręce niemieckie powróciła. Czyli oni mają prawo do bronięcia swojej suwerenności w tej superważnej sferze, ale odmawiają tego prawa innym. Smutne, że niektórzy w Polsce ten pogląd wspierają, występując rzekomo w imieniu narodu, którego w tej sprawie nie pytali. Musimy mieć własne media, a media niepolskie powinny być w naszym kraju wyjątkiem, rzadkim wyjątkiem. To jest nietłwa i niekrótka, ale jedyna możliwa droga obrony naszej wolności i naszej suwerenności.

Dlaczego media są tak ważne dla suwerenności?

Media można porównać do znaczących części mózgu i jednocześnie układu nerwowego człowieka. Człowiek, któremu by to odebrano, nie może funkcjonować w sposób wolny i tak samo naród, któremu to odebrano, jest w bardzo trudnej sytuacji. Nie zgadzamy się na to. Wszystkie opowieści, że kapitał nie ma narodowości, że wszystkie mechanizmy przez wieki definiujące relacje między państwami i narodami nagle przestały funkcjonować, to bajki, które najsilniejsi gracze opowiadają w sposób intencjonalny. Powodem jest wciąż silna intencja do dominowania nad słabszymi. My wskutek biegu historii, także wskutek naszych własnych win, jesteśmy wciąż na słabszej pozycji, ale idziemy dobrą drogą, żeby ją bardzo wzmocnić. Jesteśmy też wciąż na tyle liczny narodem, by być siłą znaczącą. Siłą gospodarczą, militarną, ale i ducha. Tutaj media mają fundamentalne znaczenie.

Prezes PKN Orlen Daniel Obajtek oprócz ww. transakcji buduje też wielki koncern multienergetyczny. Jak pan ocenia laureata tytułu Człowiek Wolności tygodnika „Sieci” za rok 2020? Można odnieść wrażenie, że to pana człowiek do zadań specjalnych, z pozoru niemożliwych?

Można to tak określić. Ale to jest przede wszystkim niezwykle człowiek, jeżeli chodzi o talent podejmowania dobrych i słuszych decyzji. Można powiedzieć, że w tym naszym



zbiorze ludzi mających kwalifikację, by zrobić dla społeczeństwa coś dobrego, jest wyróżniającą się postacią. Człowiek niezwykle, skuteczny, i to niezależnie od tego, czy działa w jednej gminie – bo tak zaczynał i wtedy został zauważony – czy w instytucji państwowej, mniejszej spółce państwowej czy większej, która teraz wyrasta na podmiot liczący się w konkurencji międzynarodowej. Terenem jej działania jest oczywiście Międzymorze. Mogę panu powiedzieć, że to, co działa się wokół połączenia Orlenu z Lotosem, pokazuje, z jakiej wagi wydarzeniami mamy do czynienia.

Były naciski?

Potężne. Musiała się na to zgodzić Unia Europejska, ale ci, którzy naciskali, by tego nie robić, to najcięższa waga nie tylko europejska, ale światowa. Idziemy tutaj dobrą drogą i tego by nie było, gdyby nie prezes Daniel Obajtek. Bardzo sobie cenię, że mogłem go jako jeszcze wójta gminy Pcim poznać i mam jakiś udział w tym, że ten niezwykle działacz społeczny i gospodarczy, prawdziwy polski patriota, mógł uczynić wiele dla Polski. Jestem przekonany, że uczyni jeszcze dużo więcej. Ma ogromne możliwości, niezwykle determinację i coś takiego, co daje Pan Bóg, a co trudno zdefiniować. Aurę, którą wokół siebie tworzy, która pozwala mu ludzi jednoczyć wokół celu, mobilizować. Dołączam się

zatem do gratulacji dla pana prezesa Daniela Obajtka za tytuł Człowieka Wolności tygodnika „Sieci”. Czytelnicy i Kapituła wybrali naprawdę dobrze, wskazali człowieka, który jest nadzieją – nie naszego obozu politycznego, nie jakiejś grupy, ale po prostu Polski. Wszystkich Polaków, którzy chcą dobra naszego narodu, którzy chcą żyć w kraju liczącym się, silnym, coraz silniejszym. I którzy chcą sukcesu polskich firm i całej Polski. Sądję, że kiedyś historycy będą to nazwisko bardzo często wymieniali jako jedno z najważniejszych tego czasu, który jest dobrym czasem dla Polski i oby trwał jak najdłużej.

Łatwiej pewnie byłoby postawić jakąś polityczną prognozę, gdyby nie epidemia, która przyniosła wiele kłopotów, ale też powoduje nerwowość, frustrację. Większość rządów na świecie to odczuwa. Jak pan premier widzi perspektywę najbliższych miesięcy i lat? Jest szansa na kolejne zwycięstwo wyborcze pana obozu?

Jest szansa. Bardzo dużo zależy od spraw, na które mamy wpływ ograniczony. Epidemia, miejmy nadzieję, jest już w tej fazie, w której coraz bliższe jest jej opanowanie dzięki szczepionkom. To się w naszej opinii nieco przesuwa, szczepionki nie napływają tak, jak powinny, nie wszyscy dotrzymali tutaj słowa. Ale rząd się stara, szuka

także innych dróg. Z całą pewnością, gdy ten problem uda się pokonać, będziemy w stanie szybko szczepić kolejne duże grupy społeczne, infrastruktura temu służąca została zbudowana tak, żeby osiągać wyniki bardzo wysokie. Szczepionek brakuje nie tylko w Polsce, właściwie w dostatecznej ilości mają je tylko państwa, które funkcjonowały poza wspólnym mechanizmem zakupowym Unii Europejskiej.

To jest porażka?

Nie krytykuję w tej chwili Unii. Mam nadzieję, że to się nie będzie powtarzało, że to jednorazowe kłopoty. Podkreślam: jak szczepionki zaczną napływać w dostatecznej ilości, to mając ponad 6 tys. punktów szczepień, będziemy w stanie szczepić setki tysięcy ludzi każdego dnia. Anglicy sięgnęli po szczepionki samodzielnie i je mają, Izrael jeszcze wcześniej, pewnie pomogła potężna diaspora. Ale i my też mamy wystarczające możliwości, mamy też pieniądze. To nie jest tak, że Polski nie stać na to, żeby nawet te najdroższe szczepionki kupować. Jest pełna determinacja, żeby wydać nawet bardzo wiele pieniędzy, ale żeby epidemię opanować. To jest ten pierwszy krok, który musimy zrobić.

A dalsze?

Plany będą niedługo przedstawione, są naprawdę ambitne.

Nowy ład?

Tak to nazwaliśmy. Chcemy rozwoju, chcemy inwestycji, w tym kierunku jeszcze mocniej idziemy, pozostając jednocześnie jednoznacznie prospołecznym, pamiętającym o tych grupach, którym jest trudniej. Polska musi się szybko rozwijać, wyraźnie szybciej niż kraje Europy Zachodniej, bo wciąż istnieje spory dystans. Musimy go nadrobić najpierw w obszarze PKB na głowę mieszkańca, a potem, co zajmie oczywiście dłużej, jeśli chodzi o zasobność, nagromadzony majątek. To wszystko nie może jednak unie-

ważniać działań w sferze ducha, bo silny naród, by być narodem pełnym, także w tej sferze musi mieć dużo do powiedzenia, musi mieć żywą humanistykę. Wielu przeszkadza w osiągnięciu tych celów, ale nie o nich dzisiaj rozmawiamy.

Prezydent Andrzej Duda w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” wystawił rządowi za walkę z epidemią ocenę

Prezes Daniel Obajtek to człowiek niezwykle, jeżeli chodzi o talent podejmowania dobrych i słusznych decyzji. Można powiedzieć, że w tym naszym zbiorze ludzi mających kwalifikację, by zrobić dla społeczeństwa coś dobrego, jest wyróżniającą się postacią. Czytelnicy i Kapituła tytułu Człowiek Wolności tygodnika „Sieci” wybrali naprawdę dobrze

„dobry plus”. Nie pytam pan oczywiście o ocenę rządu, jest pan jego wicepremierem, ale całłościowo – jak jako naród przechodzimy ten trudny moment?

Przechodzimy to naprawdę dobrze. Wyniki gospodarcze mówią same za siebie, tu liczby pokazują, że należymy do europejskiej czołówki. Jeżeli chodzi o odporność społeczną, też nie jest najgorzej. Są oczywiście różne incydenty, są środowiska, które nie chcą przyjąć do wiadomości rzeczy oczywistych, ale nie przybiera to aż takiego charakteru jak w innych państwach. Reakcja ze strony władzy jest w gruncie rzeczy bardzo umiarkowana, nikt nie używa gazu łzawiącego na dużą

skalę, armatek wodnych w zimie, a tak bywa w Europie. Mam nadzieję, że będzie tak dalej.

Na razie próby podburzania ludzi, by masowo łamali ograniczenia, nie spotykają się na szczęście z jakimś wielkim odzewem.

Korzystając z tej okazji, apeluję do tych wszystkich, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że parodniowy sukces zwiększenia produkcji czy sprzedanych usług będzie kosztował życie wielu ludzi i przedłużenie całej sprawy. Tak zrobiono choćby w Portugalii i dzisiaj są tam kłopoty z wywożeniem zwłok. Trzeba działać w sposób ostrożny, wyciągać wnioski z tego, co tam się stało. Musimy zdusić epidemię, to jest dzisiaj sprawa numer jeden. Z innymi sprawami damy radę. Naprawdę niektórym myli się Polska dzisiejsza z tą z lat 90., kiedy te możliwości były niewielkie. One w ciągu tych lat bardzo wzrosły. Nie jesteśmy jeszcze dzisiaj za moznym europejskim krajem, ale już wystarczająco zamożnym, żeby sobie dawać radę. I to jest ta różnica, która dzięki wysiłkowi społecznemu, ale też w jakiejś mierze dzięki tym, którzy postanowili walczyć o dobrą zmianę w Polsce, się dokonała. Struktury, które nas okradały na gigantyczną skalę, dziś są zwalczane, radykalnie ograniczone.

Można zrobić więcej?

Oczywiście będziemy dążyć do tego, by to było nadal ograniczane, a jednocześnie do tego, by ci wszyscy, którzy zdobywają środki dla rodzin w sposób uczciwy, mieli coraz więcej możliwości. A ci, którzy już tego robić nie mogą, choćby ze względu na wiek czy jakieś choroby, też mieli się lepiej. Było bardziej dostatnio i bardziej sprawiedliwie. Byśmy mieli to poczucie mocy, które jest nam bardzo, bardzo potrzebne. Wierzę w to, że po zakończeniu tej epidemii i porównaniu się z innymi będziemy mogli powiedzieć: „Tak, jesteśmy mocni!”

Zapis rozmowy przeprowadzonej dla telewizji w Polsce.pl

Super-Dworczyk, czyli powrót Urzędu Rady Ministrów



*Intencja owej reformy jest godna najwyższej państwowej pochwały.
Ale w demokratycznym kraju takich reform nie robi się zza węgła, bez debaty,
bez porządnej „oceny skutków regulacji”*

Prezzydent Duda nie powinien był wetować tzw. ustawy o działach, czyli prawa określającego wewnętrzną strukturę rządu. I to nie dlatego, że merytoryczne argumenty głowy państwa przeciw tej ustawie nie mają znaczenia. Powód jest inny i o wiele ważniejszy, dotyczy bowiem samego rdzenia ustroju państwa.

Owa „ustawa o działach” to owoc jedynej fundamentalnej reformy rządu, jaka dokonała się po odzyskaniu niepodległości – tzw. reformy Pola z lat 1996–1997, przeprowadzonej (w co dziś trudno uwierzyć) bez poparcia ówczesnego gabinetu Cimoszewicza, a dzięki ponadpartyjnemu sojuszowi posłów w Sejmie. Jej sens polegał w gruncie rzeczy na tym, aby rozprawić się z rujnującymi dla jakości rządzenia udzielnymi księstwami poszczególnych ministrów, a pełnić kontroli nad tym, jak ma wyglądać gabinet, oddać premierowi. Chodziło zatem o to, aby w odziedziczonej po komunizmie, zapętlonej i chaotycznej strukturze władzy, wskazać czynnik zdolny podmiotowo kształtować politykę państwa, tak by Polska stała się bardziej rządna i zdolna do obrony narodowych interesów. Tym czynnikiem, zgodnie z logiką konstytucji, mógł być tylko premier. I dlatego to wyłącznie jemu oddano w rezultacie tamtej reformy prawo rozstrzygania o tym, jaka konstrukcja organizacyjna rządu najlepiej będzie służyć zaplanowanej przezeń polityce.

Oczywiście prezydent ma formalne prawo wetować każdą ustawę. Jednak w tym wypadku swoim wetem symbolicznie zakwestionował to, co zwykło się w Polsce nazywać pół- albo semikancleryzmem. Postawił zatem pod znakiem zapytania pewien niezwykle ważny, a kształtujący się dopiero w Polsce zwyczaj konstytucyjny. Zwyczaj, wedle którego tzw. władza organizacyjna rządu leży wyłącznie w gestii premiera. Co ważne, zwyczaj, którego kwestionowanie prowadzi może wyłącznie do jednego skutku – rozchwiania spójności egzekutywy państwowej.

Można rozważać, w jakim stopniu zasadne są trzy racje, które Pałac Prezydencki podał jako przyczyny weta. Prawdą



JAN ROKITA

jest, że parlament dał zbyt krótki czas prezydentowi do namysłu nad podpisaniem ustawy – tylko dziesięć dni. Ale bywało nie-raz przecież tak, że prezydent miał na ów namysł przy innych ustawach dziesięć godzin i nie buntował się przeciw temu. Prawdą jest też, że z perspektywy polityki ekologicznej podporządkowanie lasów resortowi rolnictwa nie było szczególnie dobrym pomysłem. Ale po pierwsze, nie przesądzała tego

sama ustawa wyodrębniająca niezależny dział „leśnictwo”, po drugie, i tak w końcu w rezultacie kompromisu zawartego po wecie Duda zrezygnował z tej części swej argumentacji, a po trzecie, to, jak ma być usytuowany dział „leśnictwo” (jak i każdy inny), powinno pasować wyłącznie premierowi, skoro to on ma odpowiadać za rządową politykę.

Najmniej trafionym trzecim punktem weta jest kwestia statusu i wynagrodzeń wiceministrów. Morawiecki miał roztrofną ideę włączenia podsekretarzy stanu do korpusu służby cywilnej, co oczywiście mogłoby stanowić kłopot dla niektórych czynnych i bardzo czasem wojowniczych polityków sprawujących ten urząd. Musieliby rozstrzygnąć, kim chcą być: wojownikami partyjnymi czy wysokimi funkcjonariuszami państwa. I prawdę mówiąc – dobrze byłoby dla polskiej polityki, aby musieli to rozstrzygnąć! Ten pomysł premiera nie jest nowy, dyskutowany był jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku. I w tamtych czasach jego zwolennicy (do których sam należałem) argumentowali, iż ukształtowana w wolnej Polsce praktyka rządzenia sprawiła, że to od fachowych, profesjonalnie przygotowanych, często po prostu technokratycznie myślących wiceministrów najbardziej zależy siła twórcza i moc reformatorska polskich rządów. Tak było np. w przypadku rządu Buzka, który miał kiepską obsadę polityczną, ale zarazem fenomenalny zespół fachowych wiceministrów. Prezydent podniósł przeciw takiemu pomysłowi argument populistyczny: że w ten sposób wiceministrowie mogliby dostać podwyżki (bo w służbie cywilnej zarabia się lepiej, o paradoksie, niż

nawet na samych szczytach polityki), a podczas zarazy miało nie być podwyżek w administracji. Niewykluczone zresztą, że okrężna droga przyznania podwyżek była dla Morawieckiego istotną przesłanką całego pomysłu. Mniejsza o to. Jeśli zgodzić się bowiem z tezą, iż od jakości wiceministrów zależy w gruncie rzeczy jakość rządzenia, to trudno bronić status quo, w którym owi wiceministrowie dostają pensje niższe od swoich podwładnych.

SUPERNADZÓR I SUPERRESORT

Zdaje się, że to upadek tego właśnie pomysłu stał się podstawą kompromisu zawartego 14 stycznia przez Dudę i Morawieckiego. W nowym projekcie, który rząd skierował do Sejmu 19 stycznia, są za to postanowienia, których intencja jest być może godna pochwały, ale kształt prawny może czasem wprawiać w osłupienie. Z pewnością przy tym nie są to „regulacje czysto techniczne”, jak publicznie zapewniał sekretarz PiS poseł Krzysztof Sobolewski. Prawdę mówiąc, sam fakt tego rodzaju zapewnień ze strony – jakkolwiek by było – kompetentnego polityka jest czymś wartym uwagi, podobnie jak milczenie premiera, publicystów czy całych tabunów ekspertów od ustroju lubiących gadać w telewizji przy byle jakiej okazji. Zjawisko to obnaża bowiem prawdę, iż ani władza, ani opozycja, ani media, ani uniwersytety nie przywiązują wagi do debaty na temat kluczowych kwestii ustroju państwa, a zmiany ustrojowe mają się dokonywać ustrojowej tajemnicy przed opinią publiczną.

Ten projekt, który zapewne po krótkiej i pełnej sloganów dyskusji zostanie uchwalony w Sejmie, istotnie przebudowuje strukturę centrum władzy, powołując na nowo do istnienia dawny URM (czyli Urząd Rady Ministrów), przyznając szefowi tego nowego „resortu” dość niebywały zakres kompetencji, a także wydzielając z administracji nowe Rządowe Centrum Analiz. Pod tą niewinnie brzmiącą ekspercką nazwą kryje się projekt instytucji (uwaga! uwaga!) odpowiedzialnej za „spójność strategiczną i programową rządu” oraz „monitoring i ocenę skutków rządowych strategii”. Czyli w gruncie rzeczy twór mający nadzorować ministrów, oceniać ich pracę, sprawiać, aby strategie rządowe nie pozostawały na papierze, jak to w Polsce dotąd bywa, niezależnie od tego, kto akurat sprawuje władzę.

Jest jasne, że jeśli Morawieckiemu uda się poprawnie skonstruować taką strukturę, to mógłby to być przełom, gdy idzie o efektywność i jakość rządzenia państwem. Ale to byłaby zmiana w samym rdzeniu dotychczasowego mechanizmu rządzenia, a nie jakaś rzekomo „regulacja techniczna”.

Znacznie bardziej problematyczne jest odtworzenie URM, likwidowanego w 1996 r. w ramach „reformy Pola” jako relikwitu komunistycznej przeszłości. Tamten model, stworzony w 1985 r. specjalnie dla prawej ręki Jaruzelskiego gen. Janiszewskiego, zakładał istnienie w rządzie specministra i jego specresortu, zapewniającego armii po zniesieniu stanu wojennego kontrolę nad cywilną administracją. Teraz ów nowy resort (o nazwie: Centrum Administracyjne Rządu) tworzony jest – jak się zdaje – dla inteligentnego i skądinąd obiecującego polityka wywodzącego się z har-

cerstwa, czyli ministra Dworczyka. Dworczyk jest jednym z lepszych szefów premierowskiej kancelarii, jakich Polska miała od czasu likwidacji URM. To jednak nie zmienia faktu, iż ustawowe uprawnienia, jakie teraz ma dostać, są mocno przesadne, by nie powiedzieć – niemal z pewnością niezgodne z konstytucją.

Cztery najważniejsze uprawnienia to: (po raz wtóry – uwaga! uwaga!) raz – „określanie strategicznych kierunków rozwoju państwa”, dwa – „koordynacja administracji rządowej”, trzy – „polityka kadrowa w administracji rządowej”, cztery – „polityka informacyjna rządu i premiera”. To wszystko oryginalne wyimki z treści art. 29a projektowanej ustawy. Można by tylko z przekąsem zapytać, iż skoro to Dworczyk ma od teraz wyznaczać cele polityki państwowej, prowadzić politykę kadrową, pilnować spójności rządu i robić mu propagandę, to na litość Boską, czy jeszcze pozostaje w Polsce jakieś zajęcie dla Sejmu, prezydenta, a przede wszystkim dla samego premiera i ministrów? A przecież wiadomo, że Dworczyk już stał się także ministrem do spraw szczepień!

PREMIEROWI DZIĘKUJEMY?

Morawiecki „zakochał się” politycznie w Dworczyku, tak jak niegdyś Jaruzelski „kochał się” w gen. Janiszewskim. Zdaje się jednak, że nie zauważył, iż na nowo kształtuje nie tylko swoje służbowe relacje z szefem kancelarii, lecz wprowadza niebezpieczną i mocno dziwaczną reformę do ustroju państwa. Chodzi o to, że intencja owej reformy jest godna najwyższej państwowej pochwały. W końcu Polska ma premiera, którego ambicją jest nie tylko rządzić (jak niegdyś premier Tusk) za pomocą gry ludźmi oraz intrygi personalnej, lecz również budować instytucje zdolne trwale uczynić państwo polskie bardziej rządym. Ale w demokratycznym kraju takich reform nie robi się z za węgla, bez debaty, bez (jak to się nazywa w administracji) porządnej „oceny skutków regulacji”. Planowanie strategiczne, wyznaczanie zadań ministrom, ocena ich wykonania i zapewnienie spójności polityki – to nie mogą być zadania jeszcze jednego dodatkowego resortu, nawet gdyby to miał być resort super-Dworczyka. Jeśli to super-Dworczyk miałby bowiem być odpowiedzialny przed Sejmem za to wszystko, co wymienia się w projekcie ustawy, to powstaje pytanie – za co w ogóle miałby być przed Sejmem odpowiedzialny premier?

To dlatego właśnie dwie i pół dekady temu ówcześni rozsądni posłowie doprowadzili do likwidacji URM, a pełnię odpowiedzialności za „centrum rządu” oddali premierowi. Baczac zarazem, aby dostał on także do ręki narzędzia pozwalające mu trzymać ministrów na wodzy i pilnować, aby szli politycznym równym szykiem. Jedynym politykiem, który wyznacza polityczny krok w owym szyku, może być sam premier. A szef premierowskiej kancelarii powinien być premierowskim urzędnikiem, który robi tylko to, co każe mu szef rządu, i który w ciągu pięciu minut może zostać przez niego zmieniony. Dlatego idea budowy w państwie nowego „działu nad działami”, którym zarządzać by miał super-Dworczyk, jest pod każdym względem ideą chybioną.

Stan hibernacji

Z sondaży wynika, że Platforma Obywatelska nie wie, co z sobą począć, i traci, głównie na rzecz Polski 2050, a pozostałe partie czekają na lepsze czasy i nastroje



STANISŁAW JANECKI

Nam się nie spieszy, poczekamy – zdają się mówić wyborcy ugrupowań, które są obecne w parlamencie. Przede wszystkim czekają na rozwój sytuacji związanej z pandemią. Oznacza to mniejsze o kilka punktów procentowych poparcie w stosunku do wyników sprzed pandemii, ale także sprzed jej drugiej fali. Latem 2020 r. nie tylko było już sporo normalności, lecz także nadzwyczajna polityczna mobilizacja związana z wyborami prezydenckimi. Obecnie nie ma pośpiechu dlatego, że przedterminowe wybory nie wydają się zdecydowanej większości Polaków realne. Nie muszą się więc jednoznacznie deklarować, szczególnie te ok. 10 proc. głosujących, którzy podejmują decyzje tuż przed wyborami.

Pośpiech dotyczy wyłącznie zwolenników Polski 2050 Szymona Hołowni, gdyż partie niemające za sobą wyborczego testu zawsze się spieszą. Przede wszystkim dlatego, żeby już na początku udowodnić, że są atrakcyjne, ekspansywne, mają moc przyciągania i coś je różni od ugru-

powań posiadających znacznie dłuższe doświadczenie.

Kiedy daleko do wyborów, zwolennicy partii rządzącej oraz głównej partii opozycyjnej najczęściej wysyłają im sygnały, że ich lojalność wcale nie jest bezwarunkowa. Wtedy mamy do czynienia z czymś w rodzaju droczenia się, a nawet chęci ukarania swoich wybrańców. Ale potem i tak w większości ich wybierają. Po wyborach prezydenckich w 2020 r. partie mogące rządzić tylko w wypadku zawarcia bardzo szerokiej koalicji i jej zwycięstwa (Koalicja Polska i Lewica) zyskują, gdy korzystnie się odróżniają od partii rządzącej i głównej partii opozycyjnej, a tracą, gdy nic politycznie się nie dzieje bądź zdarzają im się głośnie wysoki (Maciej Gdula, Małgorzata Prokop-Paczowska, Beata Maciejewska, Joanna Senyszyn, Anna Maria Żukowska).

Najmniejszym wahaniom podlega poparcie dla Konfederacji, ale ono też zależy od wyskoków oraz drastyczności chodzenia pod prąd jej liderów wobec poglądów większości społeczeństwa.

BILANS ZYSKÓW I STRAT

Jak podsumował Marcin Palade, socjolog i analityk sondaży, od wyborów parlamentarnych w 2019 r., a więc po upływie 31 proc. kadencji, PiS i KO straciły po 16 proc. wyborców, Lewica – 20 proc., PSL (Koalicja Polska) – 35 proc., a Kon-

federacja zachowała status quo. Zyskiwała jedynie Polska 2050. Bo jest nowa i jako jedyna na politycznym rynku mogła zagospodarować głosy części rozczarowanych. Najpierw były to głosy Lewicy i Koalicji Polskiej, obecnie głównie Koalicji Obywatelskiej.

W czasie tej prawie jednej trzeciej kadencji sporo się w Polsce działo i miało to wpływ na partyjne preferencje: przede wszystkim doszło do kilkutygodniowej fali manifestacji ulicznych po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie tzw. aborcji eugenicznej. Zauważalny był narastający bunt przedsiębiorców obchodzących restrykcje pandemiczne, było też zmęczenie całego społeczeństwa uciążliwościami ograniczeń wiosną i pod koniec 2020 r. oraz na początku 2021 r. Mieliśmy protesty rolników dotyczące tzw. piątki dla zwierząt. Była walka o budżet Unii Europejskiej i fundusz odbudowy z polskim wetem w tle. Zdarzyła się afera ze szczepieniem poza kolejnością celebrytów, ludzi TVN, polityków i ludzi biznesu. Media ekscytowały się głośnymi, choć jednak rzadkimi transferami do Polski 2050 (Hanna Gill-Piątek, Jacek Bury, Joanna Mucha).

Gdyby brać pod uwagę sondaże ze stycznia 2021 r. i uwzględnić tylko zdecydowanych wyborców, w stosunku do grudnia 2020 r. PiS wychodziło mniej więcej na zero (37–38 proc. poparcia), KO traciła 2–3 pkt proc. (22–24 proc.), Polska



2050 zyskiwała 2–3 pkt proc. (15–16 proc.), Lewica zachowała stan posiadania (9–10 proc.), Konfederacja zyskiwała 1–2 pkt proc. (6–8 proc.), Koalicja Polska zaś traciła 1–2 pkt proc. (4–6 proc.). Gdyby uwzględnić preferencje zdecydowanych wyborców ankietowanych między październikiem 2020 r. a trzecią dekadą stycznia 2021, PiS traciło 1,5–2 pkt proc., KO – 5–7, Konfederacja 1–2. Najwięcej zyskała Polska 2050 – 4–5 pkt proc., a potem Lewica – 2–3 oraz Koalicja Polska 1,5–2 pkt proc.

W sondażach ogółu wyborców partie parlamentarne tracą po kilka punktów procentowych, natomiast gdy się bierze pod uwagę wyborców zdecydowanych, różnica w stosunku do ostatniej, letniej mobilizacji są znacznie mniejsze. W okresie powyborczym (wyborami i ich skutkami społeczeństwo żyło mniej więcej do września 2020 r.) wahania są największe w wypadku partii rządzącej oraz głównego ugrupowania opozycyjnego (Koalicji Obywatelskiej), gdyż wokół nich jest największa mobilizacja w czasie wyborów. I wtedy ci, którzy narzekają i wybrzydzą w okresie politycznej sjeści, jednak zwykle popierają tych co wcześniej. Ale mimo wahań w styczniu 2021 r. różnica między Zjednoczoną Prawicą a Koalicją Obywatelską wynosi ok. 15 pkt proc., czyli jest zbliżona do wyników wyborów z 2019 r.

PIS PRZYCZAJONE, PO ROZDARTA

Zjednoczona Prawica rządzi, więc w największym stopniu jest oceniana z punktu widzenia sprawności władzy. I w sondażach ta ocena jest diametralnie różna od obrazu kształtowanego przez opozycję oraz stojące za nią media. Różni się na korzyść, mimo nieustannych oskarżeń o niewydolność służby zdrowia, odpowiedzialność za wysoką liczbę zgonów z powodu COVID-19 czy o chaos w kwestii

szczepień. Za rządzącymi stoją bowiem dobre wyniki gospodarki – jak na tak trudny czas, a przede wszystkim poziom produkcji przemysłowej i eksportu. Te wyniki są dużo lepsze niż średnia w UE, a wręcz należy do czołówki. I mimo wielu oskarżeń o niedostateczną pomoc dla tracących podczas pandemii, efektywność i pozytywne skutki tej pomocy (ponad 170 mld zł) też plasują nas w unijnej czołówce. Część wyborców PiS zachowuje dystans do tej partii z powodu tych posunięć, które im się nie podobały, ale realnie nie mają oni alternatywy. Dlatego w sondażach nie deklarują zdecydowanego poparcia, ale też szanse na to, że zmieniają preferencje są właściwie zerowe. Mogłoby się to zmienić, gdyby doszło do głośnych skandali z udziałem władzy, ale wszelkie afery są szybko i zdecydowanie piętnowane (np. rozwiązanie struktur partii w Wałbrzychu).

Obchodząca właśnie 20. urodziny Platforma Obywatelska nie tylko nie jest w stanie samodzielnie przejąć władzy, lecz nie wychodzącej też próby tworzenia wielkiej koalicji przeciw PiS. Platforma (Koalicja Obywatelska to i tak właściwie PO) ma pieniądze i struktury, więc w przewidywalnej perspektywie jest nadal za silna, by upaść. Mimo najsłabszego od początku istnienia przywództwa, co zaświadcza samymi członkowie partii, próbuje coś z tym zrobić: powstają różne struktury poziome mające zrekompensować marazm programowy i słabość Borysa Budki jako lidera. PO jeszcze nie kończy, ale też nie będzie już głównym rozdającym karty po stronie opozycji. Choćby dlatego, że drażni partnerów pochodzących jeszcze z czasów Unii Wolności poczuciem wyższości oraz niereformowalnością jej wyjątkowo zarozumiałych, choć coraz mniej wpływowych, elit. Platformę utrzymuje w jakiejś takiej kondycji to, że jej struktury terenowe i lokalni działacze oraz członkowie zmienili się znacznie mniej niż

parlamentarna reprezentacja tej partii. W terenie PO jeszcze przypomina siebie sprzed kilkunastu lat, w parlamencie dominują progresywiści i partyjna lewica. Ale to jest poważny problem Platformy, gdyż kierownictwo i parlamentarna reprezentacja nie mogą aż tak się różnić od swojej bazy. I ta alienacja kierownictwa oraz posłów i senatorów wpływa na notowania w sondażach.

KREW DLA HOŁOWNI

Poparcie dla ugrupowania Szymona Hołowni jest zależne od tego, jak jest ono postrzegane w stosunku do tych, którzy są mu najbliżsi ideowo. Jeśli wygrywa wizję centrum, Polska 2050 wzmacnia się kosztem Koalicji Obywatelskiej i Koalicji Polskiej. Jeśli przewagę ma wizję lewicową, Polska 2050 wysysa krew z Lewicy, a także z PSL. Poparcie niezależne od stosunku do centrum czy lewicy może oscylować wokół 5 proc. i taki jest chyba twardy elektorat ruchu Hołowni.

Takich dylematów nie mają zwolennicy Konfederacji, którzy realnie oceniają brak szans na rządzenie (w jakiegokolwiek konfiguracji). Ale Konfederacja wyraźnie traciła (nawet połowę poparcia), kiedy występowała przeciw nastrojom społecznym w czasie pandemii, czyli gdy ją lekceważyła. Odzyskuje natomiast poparcie, gdy rośnie zmęczenie ograniczeniami, a nawet część społeczeństwa, szczególnie przedsiębiorcy, otwarcie się przeciw restrykcjom buntuje. Lewica traci tylko w razie wyskoków jej reprezentantów, ale też nie zyskuje, bo nie ma skąd czerpać nowych głosów. Koalicja Polska nie poszerzyła poparcia poza to, co miało PSL, a jej chadeckie inklinacje nie mają większego znaczenia. Z sondaży wynika, że PO nie wie, co z sobą począć, i traci głównie na rzecz Polski 2050, a pozostałe partie czekają na lepsze czasy i nastroje. Trwają zatem w stanie hibernacji.



Europejski plan szczepień na progu katastrofy

*Tego samego dnia, kiedy
Joe Biden oświadczył,
iż chciałby przyspieszyć
tempo szczepień w USA
do 1,5 mln dziennie,
a premier Izraela
Beniamin Netanjahu
z dumą zakomunikował,
że już 40 proc. dorosłej
populacji kraju zostało
uodpornione, ambitny
program szczepień Unii
Europejskiej zakładający,
że do końca lata
2021 r. 70 proc. obywateli
Starego Kontynentu
winno nabrać odporności
przeciw COVID-19,
znalazł się na progu
katastrofy*

Fot. Tomasz Kudła/Shutterstock.com



MAREK BUDZISZ

Wszystko przez oświadczenie władz szwedzko-brytyjskiego koncernu AstraZeneca, który zakomunikował, że nie jest w stanie dostarczyć takiej liczby szczepionek, na jaką umawiał się z Brukselą. W dość dwuznacznym i przez wielu uznanym za pokrętnie oświadczeniu władze firmy napisały, że początkowe

dostawy szczepionek będą niższe niżli zaplanowane „ze względu na zmniejszoną wydajność w zakładzie produkcyjnym w naszym europejskim łańcuchu dostaw”. Koncern w tym samym zdaniu pisze o tym, że jego specyfik jeszcze nie otrzymał oficjalnej akceptacji w Unii Europejskiej, co wielu obserwatorów skłania do myśli, że trudności w łańcuchu dostaw to nic innego, jak tylko forma rewanżu za przedłużającą się rejestrację. Inni wreszcie są zdania, że firma wykorzystując światową koniunkturę, po prostu na boku sprzedawała więcej i nie jest w stanie, a może nie chce, zrealizować swych dostaw w Europie.

DYKTAT KONCERNÓW I OBURZENIE UNII

Taki obrót spraw wywołał wściekłość w Brukseli. „Europa zainwestowała miliardy, aby pomóc w opracowaniu pierwszych na świecie szczepionek przeciwko COVID-19, aby stworzyć prawdziwie globalne wspólne dobro. A teraz firmy muszą ją dostarczyć. Muszą przestrzegać swoich zobowiązań” – powiedziała Ursula von der Leyen, występując na początku minionego tygodnia na jednym z posiedzeń Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Inni przedstawiciele Komisji Europejskiej byli mniej ogłędni w słowach, zwłaszcza w obliczu faktu, że Unia zasilila niemałą część swego wartego 2,7 mld euro funduszu kryzysowego badania laboratoryjne nad szczepionką, a AstraZeneca dostała kilkaset milionów euro w formie przedpłat na jeszcze niezarejestrowany, ale już zakupiony przez Brukselę specyfik.

Stella Kyriakides, unijna komisarz ds. zdrowia, napisała w tweecie po drugim nadzwyczajnym – w związku z deklaracją koncernu – posiedzeniu komitetu sterującego zajmującego się szczepieniami w UE, tym razem uzupełnionego o przedstawicieli wszystkich państw członkowskich, że „państwa wspólnoty są zjednoczone: producenci szczepionki mają społeczne i umowne gwarancje, które muszą wypełnić”. Na spotkaniu pojawiła się też idea wprowadzenia przez Brukselę licencji eksportowych na szczepionki produkowane na jej obszarze. Przypominałyby one trochę

ograniczenia, jakie wiosną ubiegłego roku wprowadziło wiele krajów, blokując wywóz środków ochrony osobistej, co wówczas określone zostało mianem polityki nacjonalistycznej. Teraz taki sam handlowy nacjonalizm, tylko na wyższym, unijnym szczeblu, miałby objąć szczepionki przeciw COVID-19 i dotyczyć wszystkich producentów, również niemiecko-amerykańskiego Pfizera, który też informował przed kilkunastoma dniami o zmniejszeniu dostaw. W odróżnieniu od AstraZeneki spowolnienie ma w tym przypadku, w świetle deklaracji koncernu, być krótkotrwałe i na początku lutego dostawy z belgijskiej fabryki Pfizera mają być nawet wyższe.

Najbardziej oburzeni deklaracjami koncernów farmaceutycznych, zapowiadających zmniejszenie dostaw szczepionek, są Włosi. Luigi Di Maio, minister spraw zagranicznych, jak informuje Deutsche Welle, zapowiedział pozwy sądowe przeciw koncernom farmaceutycznym, które łamią swe umowne zobowiązania, a premier Giuseppe Conte w wypowiedzi dla RAI zagroził wykorzystaniem „wszystkich dostępnych narzędzi prawnych” w walce z koncernami o szczepionki. Zdenerwowanie polityków włoskich jest zrozumiałe, tym bardziej że w kraju zaczął się kolejny kryzys rządowy i być może trzeba będzie ogłosić nowe wybory, zwłaszcza w sytuacji, kiedy tempo szczepień staje się wszędzie kwestią polityczną. Włosi mają jeszcze inny problem. Otóż, jak wynika z informacji, które podał Domenico Arcuri, włoski komisarz ds. COVID-19, w pierwszym kwartale tego roku Włochy otrzymały 3,6 mln porcji szczepionki od AstraZeneki w miejsce zakontraktowanych 8 mln, a dodatkowo o 29 proc. spadły dostawy z koncernu BioNTech-Pfizer. W efekcie władze sanitarne kraju musiały drastycznie zmniejszyć tempo wakcynacji, z 90 tys. do 20–25 tys. dziennie. Jednak nie to jest największym problemem. Wiadomo, że każdy musi dostać dwie dawki szczepionki, a władze Włoch już zużyły 70 proc. dostaw, wierząc, że będą one przebiegały bezproblemowo. Zakłócenia w terminowości dostaw grożą, iż w niektórych przypadkach cały proces podania specyfiku trzeba będzie powtórzyć.



W podobnej sytuacji jest Hiszpania, która zużyła już, według informacji podanych przez dziennik „El País”, 76 proc. otrzymanych dostaw i obecnie jej władze się zastanawiają, czy nie wydłużyć okresu między podaniem pierwszej a drugiej dawki, zwłaszcza w sytuacji, kiedy dostawy spadły o 56 proc. „Obecnie wąskim gardłem są dostawy szczepionek” – powiedział Salvador Illa, hiszpański minister zdrowia, dodając, że 21 dni między dawkami to minimalne wymaganie, ale nie ma żadnych problemów, jeśli drugie wstrzyknięcie zostanie podane 22, 23 lub 24 dni później. Podobne teorie już na początku stycznia były wielokrotnie dezawuowane nie tylko przez producentów i niezależnych naukowców, twierdzących, że przedłużanie paury między szczepieniem grozi znaczącym spadkiem ich skuteczności. To zresztą niejedyny problem, z jakim borykają się hiszpańskie władze. Media donoszą o braku wystarczającej liczby odpowiednich igieł i strzykawek, co powoduje, że ostatnia dawka z otwartej już ampulki jest w sporej liczbie przypadków marnowana, media piszą nawet o tysiącach takich przypadków.

Oczywiście nie przeszkadza to tym, którzy postanowili wykorzystać swoją polityczną i społeczną pozycję, aby zaszczepić się poza kolejnością, w dowodzeniu, podobnie jak to było w Polsce w przypadku „Jandy i przyjaciół”, że chcieli zapobiec marnowaniu się drogocennych preparatów. Różnice między Polską a Hiszpanią w tym względzie sprowadzają się do tego, że za Pirenejami podobnych przypadków jest znacznie więcej, a niektórzy złapani na łamaniu reguł przedstawiciele establishmentu, tacy jak szef obrony cywilnej generał Miguel Ángel Villarroya, podają się do dymisji. W obliczu skali nieprawidłowości i zabiegów polityków różnych opcji, aby poza kolejnością zostać zaszczepionym i umożliwić to swej rodzinie i przyjaciołom, ciekawe rozwiązanie tego problemu zaproponował gubernator regionu Walencja, który powiedział, że warto rozważyć, czy wszystkim, „którzy zdecydowali się wskoczyć przed szereg”, w ogóle podawać drugą dawkę.

Jeszcze bardziej napięta sytuacja jest w Holandii, którą w związku z rozpadem koalicji rządowej też czekają przedterminowe wybory parlamentarne. W miniony weekend, po tym jak rząd wprowadził zaostrzone rygory (godzina policyjna od 21.00 do 4.30, której łamanie obłożone jest karą 95 euro), wybuchły – zdaniem policji – najgwałtowniejsze od 40 lat zamieszki. Objęły one nie tylko duże

Wiadomo, że każdy musi dostać dwie dawki szczepionki, a władze Włoch już zużyły 70 proc. dostaw. Zakłócenia w terminowości dostaw grożą, iż w niektórych przypadkach cały proces podania specyfiku trzeba będzie powtórzyć

miasta takie jak Amsterdam czy Haga, ale nawet spokojne miejscowości w rodzaju Den Bosch czy Urk, gdzie wściekli demonstranci spalili ośrodek testujący COVID-19. Restrykcje zostały wymuszone nie tylko skokowym wzrostem liczby zainfekowanych i rozprzestrzenianiem się „brytyjskiej mutacji” wirusa, który znaczenie szybciej się reprodukuje, lecz również opóźnieniami w zakresie programu szczepień. Władze Holandii postawiły bowiem na znacznie tańszą i łatwiejszą w dystrybucji niżli produkt BioNTech-Pfizer szczepionkę AstraZeneki i teraz w obliczu znacznego ograniczenia dostaw są w wielkim kłopotcie.

FIASKO „PLANU BRUKSELI”

Zakłócenia w terminowości dostaw szczepionek powodują nie tylko wzrost napięcia w państwach członkowskich Unii Europejskiej, zwłaszcza tych, które w najbliższym czasie czekają wybory, lecz stanowią również groźbę niepowodzenia głównego planu politycznego, jaki krył się za przeforsowaniem wspólnej na po-

ziomie unijnym polityki zakupu i dystrybucji preparatów. Sukces tego programu, zwłaszcza na tle świata, miał przekonać sceptycznie nastawionych do idei pogłębiania integracji europejskiej obywateli Starego Kontynentu do tego, że dryf w stronę federalizacji, powstania jednego państwa europejskiego oraz obdarzenia biurokracji w Brukseli większymi środkami i uprawnieniami jest w ich interesie.

Gdyby dzisiaj oceniać, na ile Bruksela wywiązała się z postawionego jej zadania, to sytuacja wygląda nie tyle źle, ile fatalnie.

Otóż jak informuje portal Politico, aby być w stanie zaszczepić do końca lata 70 proc. populacji Europy, nawet zakładając, że uda się do tego przekonać sceptycznie nastawione społeczeństwa (np. we Francji 45 proc. ankietowanych nie zamierza się szczepić), to należałoby pięciokrotnie przyspieszyć tempo, w jakim podawane są szczepionki. Gdyby podawać preparat w takim tempie jak obecnie, a przecież grozi nam spowolnienie, to na początku września jedynie 15 proc. populacji Europy zyskałoby odporność.

Najlepiej pod tym względem wygląda sytuacja na Malcie i w Rumunii. Ta pierwsza byłaby w stanie osiągnąć zakładany przez Komisję Europejską 70-proc. poziom szczepień w maju przyszłego roku, druga w grudniu. Polska jest w środku europejskiej stawki. Gdyby założyć kontynuowanie dotychczasowego tempa, to w czerwcu 2024 r. osiągnęlibyśmy ten poziom. Wychwalane pod niebiosa przez niektóre nasze media Niemcy niewiele wcześniej, bo w czerwcu 2024 r. wypełniłyby zakładany przez Komisję Europejską plan. Różnica w tempie podawania antycovidowego preparatu, który już został dostarczony, ma dziś, w obliczu zmniejszenia dostaw i niepewności, jak będzie wyglądała przyszłość, znaczenie drugorzędne. Nawet gdyby Polska poszła za populistycznymi hasłami opozycji i zużyła wszystkie dostępne dawki albo ich większość, podobnie jak stało się to w przypadku Włoch czy Hiszpanii, to co zrobilibyśmy teraz, kiedy harmonogramy dostaw są zakłócone? Polska pięknie wyglądałaby w krótkoterminowych statystykach, ale czy opozycja dostrzegłaby, że tempo naszych szczepień przewyższa

niemieckie? Chyba że chodzi o to, aby krytykować obecny obóz rządowy, podważając przy okazji – co wydaje się kluczowe dla powodzenia całego planu szczepień – zaufanie społeczeństwa do stosowanych procedur.

Najgorsza sytuacja pod względem wykonania „planu Brukseli” w zakresie szczepień jest w Bułgarii, która kontynuując obecne tempo wakcytacji, byłaby w stanie osiągnąć „stałą odporność” dopiero w 2030 r. Niewiele lepiej jest we Włoszech (grudzień 2027 r.), co wyjaśnia, dlaczego Rzym jest tak poirytowany opóźnieniami w dostawach.

Węgry osiągną wskaźnik 70 proc. zaszczepionych w listopadzie 2026 r. Nic dziwnego, że Budapeszt postanowił działać, nie oglądając się na Brukselę. Minister Péter Szijjártó polecił do Moskwy, aby rozmawiać o produkcji na Węgrzech rosyjskiego specyfiku. W wywiadzie dla tamtejszego dziennika ekonomicznego RBK mówi, że realizowane obecnie za pośrednictwem UE dostawy szczepionki zamiast milionów sztuk, jak pierwotnie planowano, zostały ograniczone w przypadku Węgier do dziesiątek tysięcy, co pozwoli według szacunków rządu zaszczepić w najbliższych miesiącach jakieś 140–150 tys. ludzi. Wobec 10 mln Węgrów, którzy czekają na swoją kolej, to z pewnością zbyt mało i dlatego rząd węgierski musiał zacząć działać. Również dlatego, że, jak zaznaczył Szijjártó, dziennie umiera 100–150 osób, a gospodarka traci 34–51 mln euro. Z pewnością Węgry nie mogą pozwolić sobie, w jego opinii, na bezczynność. Z tego też powodu Budapeszt jest zainteresowany pozyskaniem rosyjskiej szczepionki Sputnik V, którą węgierskie służby rejestracji leków już dopuściły do użytku. Szijjártó w tym wypadku używa dwóch argumentów. Po pierwsze, powołuje się na niedawną rozmowę Merkel–Putin dotyczącą produkcji w Unii Europejskiej rosyjskiej szczepionki i stawia retoryczne pytanie, dlaczego Węgrzy, skoro rozmawiają o tym Niemcy, mieliby być pozbawieni swobody w tym zakresie, tym bardziej że szybkie szczepienia leżą w interesie ich państwa. Po drugie, jak zauważa:

„Szczepione mówiąc, nie ma dla mnie znaczenia, która szczepionka jest używana, o ile jest zatwierdzona przez krajowy organ regulacyjny. Chińska, rosyjska, amerykańska – to nie ma znaczenia”.

WIĄŻĄCYCH KONTRAKTÓW NIE BYŁO?

To, co miało w założeniu jednoczyć Unię Europejską, czyli wspólny plan zawierania umów, zakupów i dostaw szczepionki, może doprowadzić, zwłaszcza wobec jego niepowodzenia, do odwrotnego efektu. Dodatkowym problem jest to, że Bruksela, głównie pod naciskiem

Jak mówi w wywiadzie dla „La Repubblica” dyrektor wykonawczy AstraZeneki, firma, którą zarządza, nie zawierała z władzami Unii żadnych prawnie wiążących kontraktów, a jedynie były to „dżentelmeńskie porozumienia”

proeksportowego lobby niemieckiego, kreująca się na głównego orędownika utrzymania wolnego handlu w skali świata i programowo przeciwna pomysłom mówiącym o ograniczaniu łańcucha dostaw, stoi przed niełatwą decyzją wdrożenia sprzecznej z tymi deklaracjami polityki. A wprowadzenie ograniczeń eksportowych społeczność międzynarodowa z pewnością uznałaby za taki ruch. Wreszcie pojawi się kwestia – na co i na jakich warunkach poszły setki milionów euro z europejskiego budżetu? Oficjalnie na przyspieszenie badań nad szczepionkami i zagwarantowanie, że państwa Unii w pierwszej kolejności i w uzgodnionej wielkości dostaną szczepionki.

Ale jak twierdzi w wywiadzie dla „La Repubblica” Pascal Soriot, dyrektor wykonawczy AstraZeneki, firma, którą

zarządza, nie zawierała z władzami Unii żadnych prawnie wiążących kontraktów, a jedynie były to „dżentelmeńskie porozumienia”. Mało tego, w jego opinii Wielka Brytania dostała nieporównanie więcej dawek szczepionki niżli Europa, nie tylko dlatego, że dopuściła ją do użytkowania niemal dwa miesiące wcześniej, lecz również z tego powodu, że Londyn zawarł stosowne, twarde umowy, a nie zadowolił się ogólnymi deklaracjami, trzy miesiące wcześniej niż Bruksela. Soriot składa zresztą swe europejskie wyznanie wiary: „I szczerze mówiąc, nie robimy tego celowo – mówi o opóźnieniach dostaw. – Jestem Europejczykiem, mam

Europę w sercu. Nasz prezes jest Szwedem, też jest Europejczykiem. Nasz dyrektor finansowy jest Europejczykiem. Wiele osób w zarządzie to Europejczycy. Dlatego chcemy traktować Europę najlepiej, jak potrafimy. Wiesz, robimy to bez zysku, pamiętasz? Nie weszliśmy w to, aby spróbować zarobić pieniądze czy cokolwiek. Chcielibyśmy jak najlepiej traktować Europę. Naprawdę uważam, że traktowaliśmy Europę sprawiedliwie”.

Co zatem nie wyszło? Soriot zwraca uwagę na to, że przecież to władze Europy mówią publicznie o tym, iż szczepionka powinna być traktowana jak dobro powszechne, w skali świata dostępne. A jakie są realia? „Europa otrzymała – dowo-

dzi Soriot – przez miesiąc 17 proc. światowej podaży naszej szczepionki dla 5 proc. światowej populacji. Problem w tym, że 100 mln dawek to dużo, ale mamy na świecie 7,5 mld ludzi”.

Jeśli Bruksela, realizując plan wspólnych zakupów szczepionek na COVID-19, chciała przekonać kogokolwiek o tym, że dalsza integracja i wzrost uprawnień Brukseli jest w interesie wszystkich, to słabo to wyszło. Mało tego, ukarane zostały te państwa, które jak m.in. Polska uwierzyły w europejską solidarność i odmiennie niż Niemcy nie zawarły „separatystycznych” umów na dostawy specyfiku. Stało się tak może dlatego, że część naszej opinii publicznej politykę Warszawy wobec Brukseli traktuje w kategoriach wiary, a nie racjonalnej oceny sytuacji i ochrony własnych interesów.



Otwieranie biznesów – rozpacz czy samowolka?



Czasem demonstracyjnie, z udziałem mediów, a czasem konspiracyjnie, z zapraszaniem wtajemniczonych gości, za których ręczył ktoś inny – otwarcie setek lokali gastronomicznych i klubów w Polsce jest czasem aktem desperacji, a czasem ignorancji i lekkomyślności



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Mimo hucznych zapowiedzi i entuzjazmu opozycji niewielu przedsiębiorców zdecydowało się oznaczyć swoje lokale na Interaktywnej Mapie Wolnego Biznesu, na której uczestnicy akcji „otwieraMY” mieli pokazywać swoją aktywność. W samej Warszawie otworzono kilkadziesiąt miejsc, a na mapie widnieje ich tylko sześć. Powodów, które popchnęły właścicieli lokali do złamania obostrzeń, jest tyle, ilu przedsiębiorców. „Niektórzy właściciele kawiarni po prostu oszukiwali skarbowkę” – mówi jeden z nich, który skorzystał z pomocy państwowej i prowadzi sprzedaż jedynie na wynos. „Jeśli ktoś uczciwie rejestrował przychody, to przysługuje mu korzystna pomoc z tarczy, a jeśli kombinowało się z zatrudnianiem kogoś na czarno czy świadczeniem usług w szarej strefie, to teraz zgrywa bohatera wolności i męczennika obostrzeń” – komentuje.

Nie można jednak wszystkich restauratorów oceniać tak samo, bo w każdym indywidualnym przypadku decydowały inne czynniki: wysoki czynsz, specyfika lokalu (np. przynoszącego zyski tylko

w sezonie zimowym) czy to, że biznes założyło się niedawno i nie można wykazać wcześniejszych dochodów.

RATUJĄC RODZINNE BIZNESY

– Dorobek życia wielu ludzi jest niweczony i nie dziwny się tym, którzy desperacko próbują go ratować – mówi tygodnikowi „Sieci” Andrzej Sadowski, prezes Centrum im. Adama Smitha. Przedsiębiorcy nie strajkowali wiosną, gdy zamknięcie gospodarki było całkowite, a codziennie przybywało trzystu-czterystu zakażonych, zdecydowali się na otwarcie lokali zaś w styczniu, gdy obostrzenia są łagodniejsze, a zakażeń ok. 5 tys. dziennie. Dlaczego? – Wielu właścicieli straciło wiarę w sens rządowych decyzji, a takie pomysły jak zamykanie lasów, nie pomagały w budowaniu wiarygodności władz – twierdzi Sadowski. Wbrew pozorom przy zamykaniu lasów nie chodziło o same spacerki, ale o zmniejszenie mobilności społecznej: bo wówczas zapełniał się transport publiczny, który jest miejscem transmisji wirusa. Podobnie ze strajkiem kobiet – o ile ktoś może twierdzić, że na świeżym powietrzu nic mu nie grozi, o tyle już tłumy w tramwajach i autobusach są bardzo ryzykowne.

Jesienią rząd przedstawił strategię, która obróciła się przeciwko niemu. – W listopadzie przyjęto parametry i progi obostrzeń, luźno nazwane mapą drogową wychodzenia z obostrzeń – kontynuuje Sadowski i dodaje: – Władza wywróciła własną mapę i to od tego mo-

mentu kolejne deklaracje o zamykaniu lub otwieraniu gospodarki zaczęły wywoływać frustrację.

Chodzi o progi etapów zasad bezpieczeństwa: gdy średnia dzienna liczba zakażeń z siedmiu dni będzie mniejsza niż 9,4 tys., to Polska miała być ogłoszona strefą żółtą z luźniejszymi obostrzeniami. Przedsiębiorcy mieli punkt odniesienia, śledzili dane, ale mimo spadku nowych przypadków (3–5 tys. dziennie) dotychczasowy lockdown utrzymano.

Podobnie wypowiada się Adrian Szymczyk, właściciel pensjonatu w Karpaczu, który z uznaniem wyraża się o ratowaniu gospodarki podczas pierwszej fali. – Wiosną sytuacja przedsiębiorców była zupełnie inna – przekonuje. – Gdy tarcza pomocowa nie spełniała naszych oczekiwań, do rozmów włączył się prezydent, anulowano składki ZUS, a wraz z dofinansowaniami do wypłat pracowników i mikropożyczkami dało się przetrwać trudny okres – komentuje przedsiębiorca. Szymczyk przekonuje, że obostrzenia i warunki pomocy ze strony rządu z wiosny były bardziej klarowne niż obietnice sprzed paru miesięcy. – Od października żyjemy w niepewności, pogłębianej rozdźwiękiem pomiędzy zapewnieniami o pomocy finansowej, o której w mediach powtarza minister Gowin, a głosami naszego środowiska, z którego miazdząca większość



nie otrzymuje wsparcia z powodów biurokratycznych – a to ma niewłaściwe PKD, a to musi czekać, czy pomoże im Polski Fundusz Rozwoju – opowiada Szymczyk. Ale to nie koniec problemów, bo po szóstim listopada niektóre kody PKD, także ten dotyczący „obiektów noclegowych turystycznych i miejsc krótkotrwałego zakwaterowania”, nie zostały uwzględnione w tarczy pomocowej.

RZĄD PRÓBUJE NADAŻYĆ

Złość i poczucie bezradności zaczęły się kumulować i przeplatać z lękiem o przyszłość. Dla niektórych przedsiębiorców dom wypoczynkowy czy restauracja są jedynym źródłem utrzymania. – Nie byliśmy pewni napływających informacji – kontynuuje Szymczyk. – W pewnym momencie mieliśmy wrażenie, że odwoływanie sylwestra czy ograniczenie wyjazdów na ferie zimowe jest pomysłem rządu na przeczekanie problemu, który spada na głowy przedsiębiorców, że każą czekać do lutego, do wiosny, a potem się wszystko jakoś rozejdzie po kościach i rządzący nie będą chcieli do tego wracać – podsumowuje Szymczyk.

Pewnych wpadek nie dało się uniknąć, więc rząd stara się nadażyć z nowymi rozwiązaniami. – 15 stycznia uruchomiliśmy tarczę finansową PFR 2.0 dla mikro, ma-

łych i średnich firm – mówi tygodnikowi „Sieci” Piotr Müller, rzecznik prasowy rządu. – To element odbudowy naszego potencjału gospodarczego i nadzieja na szybki powrót do normalności. Łącznie już blisko 20 tys. firm dostało z tarczy 2.0 wsparcie w wysokości 3,1 mld zł. W ramach szeroko rozumianej gastronomii wsparcie otrzymało ok. 7 tys. firm. Pomoc uzyskało też prawie 1,5 tys. hoteli, blisko 1 tys. obiektów turystycznych i miejsc krótkiego zakwaterowania. Łączny strumień finansowego wsparcia wartości ponad 35 mld zł obejmuje pomoc dla mikro, małych, średnich oraz dużych firm – przekonuje minister. Dynamiczna rzeczywistość, nieprzewidywalny wirus i wolniejsze tempo dostarczania szczepionek przez koncerny farmaceutyczne zmuszają rząd do wprowadzania kolejnych projektów. – Pod koniec grudnia 2020 r. uruchomiliśmy także tarczę branżową. Rozporządzenie Rady Ministrów z 19 stycznia 2021 r. rozszerza ją od 1 lutego na kolejne branże oraz wydłuża instrumenty pomocowe o kolejne dwa miesiące. Wartość dodatkowego wsparcia to ok. 5 mld zł, które może objąć ok. 300 tys. przedsiębiorców – komentuje Müller.

Problem z samodzielną oceną skuteczności obostrzeń jest taki, że intuicja klóci się z faktami. W listopadzie magazyn „Nature” opublikował raport dotyczący modeli mobilności społecznej w czasie pandemii, z którego wynika, że największa transmisja koronawirusa jest właśnie w restauracjach z pełną obsługą, zarażanie się w klubach fitness zaś jest następne na liście. Słowem: lepiej zdawać się na rozwiązania instytucjonalne niż własną, choćby najbardziej przekonującą intuicję. Zwłaszcza przy bardziej brawurowych akcjach: w styczniu otwarto niektóre kluby i zorganizowano zabawy taneczne. W Olsztynie czy Rybniku starano się zachować pewne obostrzenia, wpuszczając mniej osób niż na przedcovidowych imprezach, ale w Warszawie zagrożenie totalnie zbagatelizowano. Zabawy zorganizowano w centrum miasta, na Żoliborzu i Pradze, a wszystko w aurze konspiracji. – O wydarzeniu dowiedziałem się pocztą pantoflową. Jak tam ktoś kogoś zaprasza, to ręczy za niego, za dyskrecję i zachowanie – powiedział tygodnikowi „Sieci” jeden z uczestników zabawy. – W razie kontroli

policii goście mają ustaloną wersję – będą zapewniać, że jest to plan teledysku, a oni są statystami – słyszymy w rozmowie. Na niektóre z tych imprez alkohol przynosi się samemu, na inne prowadzona jest zrzutka w internecie, choć pod inną nazwą. – Ludzie na imprezie zapewniali, że już przechorowali COVID-19 – mówi mieszkaniec Warszawy – ale nikt żadnych zaświadczeń lekarskich ani wyników testów nie przynosił.

Podczas dyskoteki nie sposób utrzymać któregośkolwiek z obostrzeń. Na nagraniu przesłanym przez widza telewizji wPolsce.pl widzimy imprezowiczów bawiących się w ścisisku i bez maseczek. Te bomby pandemiczne jeszcze się na nas zemszczą.

Świat nigdy nie przechodził takiej pandemii, która zamroziłaby mobilność społeczną, więc nie mamy dobrych wzorców ani sprawdzonych rozwiązań. Jednak w niektórych krajach dyscyplina społeczna jest większa. Do takich państw należy Hiszpania, która wiosną zeszłego roku przeżyła załamanie ochrony zdrowia, a dramatyczne nagrania lekarzy decydujących, dla kogo ma zabraknąć respiratora, obiegły cały świat. Ta nauczka wyrobiła zrozumienie dla obostrzeń, nawet tych wprowadzanych z naruszeniem prawa. Rząd ogłosił stan wyjątkowy wbrew konstytucji – prawo zezwalało wprowadzanie dwutygodniowego okresu zagrożenia, gdy w październiku ogłoszono go aż na sześć miesięcy. – Obostrzenia w Hiszpanii są dużo surowsze niż u nas, choć tam główne decyzje zapadają we wspólnotach autonomicznych – mówi tygodnikowi „Sieci” dr Bartosz Kaczorowski, historyk i politolog. Zamykanie części gospodarki czy godzina policyjna od 23 do 6 to tylko kilka przykładów. – Władze zamykają całe miasta, w których odnotowano wysoki poziom zakażeń koronawirusem. W Andaluzji, mocno dotkniętej pandemią, na rogatek miejscowości stoi policja i nie przepuszcza kierowców bez specjalnych dokumentów – mówi Kaczorowski. I dodaje: – Hiszpanie wiosną słabo sobie poradzili z wirusem i podziwiali szybkie i skuteczne rozwiązania w Polsce. Teraz nie popełniają starych błędów. Obyśmy w Polsce nie zachłysłni się sukcesami przetrwania pierwszej fali i nie musieli hiszpańskiej lekcji powtarzać w nadchodzących miesiącach. ▀



Zawiódł mnie słuch społeczny

Nie spodziewałam się, że mój wyjazd spotka się z tak ogromną krytyką społeczną. Nie doceniłam skali złości i rozżalenia wywołanych pandemią

Z Jadwigą Emilewicz, byłą wicepremier, rozmawia Dorota Łosiewicz

W wywiadzie dla jednego z portali przeprosiła pani za obecność w ferie zimowe na stoku. „Popełniłam błąd i bardzo za to przepraszam. Politykom wolno mniej, zwłaszcza w tak trudnej sytuacji jak pandemia”. Ale słowa te padły dopiero po dwóch tygodniach od opublikowania materiału z pani udziałem. Cemu pani tak długo czekała?

Jadwiga Emilewicz: To, co wydarzyło się po publikacji, było dla nas prawdziwym tsunami. Na trzy dni wyłączyłam telefon, a zdarzyło mi się to pierwszy raz w czasie pięciu lat pracy w administracji rządowej. Próbowałam wytłumaczyć dzieciom, co się dzieje. Jak już powiedziałam: popełniłam błąd. Nie spodziewałam się, że mój wyjazd spotka się z tak ogromną krytyką społeczną. Krytyka polityczna ma dla mnie mniejsze znaczenie niż ocena moich wyborców, bo to dla nich pracuję. Potrzebowałam dwóch tygodni, żeby pomyśleć, co dalej, co powinnam powiedzieć Polakom, a szczególnie tym, którzy mi zaufali. Czeakałam też, aż emocje nieco opadną. Mam wrażenie, że w ostatnich latach pracy w rządzie zapracowałam na dobrą reputację i przykro mi, że ją nadwerżyłam jednym nieroztropnym posunięciem.

Mówi pani, że zaskoczyła panią skala społecznych emocji. Pytanie, czy właściwie je pani odczytywała wcześniej? Ludzie są wykończeni obostrzeniami, tracą dorobek życia, dzieci nie mogły jechać na ferie, musiały zostać w domach. Polityk powinien chyba rozumieć, co się dzieje w społeczeństwie?

Niewłaściwie odczytałam nastroje. Nie doceniłam skali złości i rozżalenia wywołanych pandemią. Muszę się przyznać, że na chwilę straciłam słuch społeczny. Zdecydowanie bardziej był on wyostrzony wówczas, gdy stałam w pierwszej linii frontu, będąc w rządzie i aktywnie stawiając czoła zagrożeniu. Jako poseł w większym stopniu poświęciłam się rodzinie. Politycy zaczynają przegrywać, gdy przestają słyszeć wyborców. Jestem pewna, że ten zimny prysznic na początku roku będzie dla mnie tylko mobilizacją do pracy.

Miała pani odwagę, żeby stanąć przed światem i powiedzieć: „Przepraszam, źle zrobiłam”. Niewiele polityków stać na taką odwagę. Nawet gdy łamią prawo, nie przepraszają, raczej idą w zaparte. Myśli pani, że wyborcom to wystarczy?

Nie wiem. Chciałabym wierzyć, że na końcówkę ocenę złoży się nie tylko narcyjski błąd, lecz i całokształt pracy w ministerstwie czy nadchodzące lata w Sejmie. Mogę zapewnić, że przez trzy lata, które zostały do wyborów parlamentarnych, zrobię wszystko, by udowodnić, że zasługuję na zaufanie. Będę solidnie i uczciwie pracować na rzecz poprawy jakości życia nas wszystkich. Dlatego zresztą trafiłam do polityki.

Jednak opozycja domaga się, by złożyła pani mandat. Politycy PiS mówią o innych konsekwencjach politycznych, typu nagana. Rozważała pani rezygnację z mandatu?

Na pewno jest w polityce wiele osób, które nie życzą mi dobrze. Rolą opozycji jest nieustanne pojedynkowanie się z większością parlamentarną. Każda okazja jest dobra do ataku. Tym łatwiej, jeśli okazję podsuwa sam zainteresowany. Zdziwiłabym się, gdyby ktoś z opozycji stanął w mojej obronie. Moje zachowanie było niestosowne, szczególnie że premier nawoływał, by pomimo ferii pozostać w domach. Na pewno zasłużyłam na publiczny przegierz, pod którym zresztą mnie i moją rodzinę postawiono. Media obeszły się z nami bez taryfy ulgowej. I pewnie słusznie. Jednak muszę podkreślić, że nie złamałam prawa. Złożenie mandatu byłoby nieadekwatne do skali przewinienia.

Dostarczyła pani niestety argumentów tym, którzy uważają, że pandemia to ściema. Bo z jednej strony rząd wprowadza trudne do przyjęcia dla wielu restrykcje, z drugiej strony czołowy polityk obozu władzy pokazuje, że się z nimi nie liczy.

Jedyne, co mam na swoje usprawiedliwienie, to to, że nie obchodziłam prawa. Nasze dzieci są zawodnikami w klubie. Od lat jeżdżą na treningi i zgrupowania, biorą udział w zawodach. Jesienią tego roku nie uczestniczyły w zgrupowaniach, ponieważ klub, w związku z ograniczeniami, ich nie organizował. W rozporządzeniu z 21 grudnia zapisano, na jakich warunkach treningi mogą się odbywać. Gdy dowiedzieliśmy się, że taki trening będzie zorganizowany, to zapisaliśmy



synów na zgrupowanie, w którym uczestniczyły także inne dzieci.

Ale po co pani się, za przeproszeniem, „pchała” na ten stok?

Chciałabym przypomnieć tylko, że sama na nartach nie jeździłam. Gdybym mogła cofnąć czas, tobym nie pojechała ani nie wysłałam dzieci. Jako wicepremier nie miałam dużo czasu dla rodziny. Byłam weekendową mamą. Będąc posłem, mam go nieco więcej. Chciałam być przy dzieciach. Każdego dnia odprowadzaliśmy z mężem dzieci na stok, nie ukrywałam się ani nie udawałam, że mnie tam nie ma. Jeden z rodziców zapytał mnie, czy sama nie chciałabym pojeździć. Powiedziałam, że tylko brakuje mi zdjęcia na nartach [śmiech]. Wypożyczyliśmy z mężem, po raz pierwszy w życiu, skitury, czyli narty przystosowane zarówno do zjazdów, jak i podchodzenia. Podchodziliśmy w innym miejscu, nie korzystając ani razu z wyciągu przeznaczonego dla dzieci i zawodników ani ze stoków. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że te fakty nie mają żadnego znaczenia, bo samo zdjęcie moich dzieci na stoku, wśród tych, którzy nie mogli wyjechać, wywołało po prostu lawinę wściekłości.

Może nawet nie tylko to zdjęcie, lecz uzupełniająca je historia z licencjami.

To był mój kolejny błąd. Nie należało mówić, że o nie wystąpiliśmy. O licencje wystąpiliśmy z powodu zawodów, które odbywały się po zgrupowaniu. Zgodnie z rozporządzeniem licencje musi mieć klub, instruktorzy, a nie uczestnicy zgrupowania. Dzieci muszą być członkami klubu. Taka jest zresztą interpretacja mecenasa Ludwika Żukowskiego, prezesa Warszawskiego Okręgowego Związku Narciarskiego, który przygotował wykładnię zapisów w związku z publikacją rozporządzenia, a nie w związku z „dziećmi Emilewicz”. Nasze dzieci wszystkie te warunki wypełniały.

Rozbawił panią któryś z memów? Pojawiało się ich wiele.

To chyba jeszcze nie był moment, żeby się z tego śmiać. A poza tym, jak już wspominałam, miałam wyłączony telefon i nie zaglądałam do internetu. Musiałam się odciąć. Wiem, że memów było sporo. Później współpracownicy niektórzy mi podrzucali. Śmiać się za to potrafili synowie i to było dla mnie pocieszające. O ile politycy w naturalny sposób ponoszą konsekwencje swojego

zachowania, o tyle bolesne jest, gdy te konsekwencje przenoszą się na dzieci. W tym przypadku one nie zawiniły.

Rodzina nie ma dość pani zawodu?

Miewa. Polityka to ciągła jazda po bandzie. Wystawia na stałe ryzyko i poddaje jej aktorów codziennej ocenie. W pracy wciąż wspiera mnie rodzina. Dzieci, choć wielokrotnie sygnalizowały, że trudno, abym je rozumiała, kiedy ciągle nie ma mnie w domu – są wyrozumiałe. Ale i mąż, który jest pierwszym, niezwykle wymagającym recenzentem moich działań, pomaga w poukładaniu domowego życia. Zawsze staraliśmy się wspierać i to, dzięki Bogu, się nie zmienia.

Skoro o wsparciu pani mówi, to jakoś nie zauważyłam, żeby w Zjednoczonej Prawicy działała „doktryna Neumanna”, że działacze będą „bronić swoich jak niepodległości”. Pani nikt z obozu nie bronił. Wręcz przeciwnie.

Najwidoczniej uznano, że mi się należy. W surowych ocenach celowali szczególnie moi niedawni koledzy partyjni. Skłamałabym mówiąc, że nie było mi przykro. Trudno było mnie bronić. To też dowód na to, że w naszym obozie obowiązują wyższe standardy.

Wróćmy do społecznych nastrojów, bo one leżą, jak sądzę, u źródła skali reakcji na ten wyjazd. Polacy są sfrustrowani, zdecydowani na otwieranie biznesów mimo obostrzeń. Wolą płacić mandaty, niż czekać na pomoc państwa. Rozumie pani, dlaczego tak się dzieje?

Rozumiem strach, złość, niepewność jutra. Wielu z nas znalazło się w sytuacji krańcowej, ekstremalnej. To kryzys, którego nikt nie przewidział, a gdy się zaczął, nikt nie przypuszczał, jaka będzie jego skala. W wakacje myśleliśmy, że sytuacja się stabilizuje, że druga, jesienna fala nie będzie już tak groźna. Jesień okazała się znacznie groźniejsza, szczepionek nie ma w takiej liczbie, w jakiej zamawialiśmy. Mamy też zapowiedź trzeciej fali. Niestety na tę sytuację nigdzie na świecie nie ma gotowych odpowiedzi. Widzę złe emocje w Polsce, a z drugiej strony widzę, co dzieje się w Niemczech wprowadzających



nowe zaostżenia od stycznia do Wielkanocy, widzę Francję, która wprowadza godzinę policyjną, Norwegię zamykającą granice czy zaszczepiony pierwszą dawką Izrael, w którym pojawiają się nowe zachorowania. Wszędzie ludziom jest ciężko, ale tam społeczeństwa lepiej znoszą wprowadzany rygor. Nikt nie ma na dziś lepszego rozwiązania niż narzucenie redukcji kontaktów międzyludzkich. Apel rządzących z prośbą o cierpliwość wciąż pozostaje w mocy.

Może rząd niezbyt dobrze komunikuje się z Polakami i nie dość wyraźnie tłumaczy swoje decyzje i plany? Nie sądzę, by dla wszystkich było jasne, dlaczego nieczynne są siłownie, a może być czynny szwedzki duży market meblowy, gdzie koleżki sięgają połowy sklepu. Ludzie mają poczucie przypadkowości działań i decyzji.

Myszę, że stały kontakt ministrów Niedzielskiego, Dworczyka czy samego premiera ze społeczeństwem budzi wciąż zaufanie, że podejmowane decyzje mają racjonalne podstawy i przede wszystkim – kierują się naszym bezpieczeństwem. Temat siłowni często wraca. Jednak mamy głosy ekspertów i dużo publikacji naukowych ze świata, np. z „Nature”, które wskazują, że siłownie i kluby fitness to miejsca silnej transmisji wirusa. To nie jest arbitralna decyzja rządu. Ma uzasadnienie w danych. A jeśli chodzi o wspomniany sklep, to on już wiosną w sieci na całym świecie wprowadził tak wysokie restrykcje sanitarne, że był stawiany jako wzór dla innych. Nie działają tam punkty gastronomiczne czy place zabaw dla dzieci. Otwarte są zresztą wszystkie sieci z meblami, których Polska jest – przypomnijmy – drugim w Europie i trzecim na świecie – największym eksporterem.

Przed historią „z dziećmi Emilewicz” media donosiły, że miała pani wrócić do rządu. To już chyba nieaktualne?

Jesienna rekonstrukcja wyłoniła rząd w takim, a nie innym kształcie. To efekt decyzji, porozumień między koalicjami i strategicznej wizji, związanej

z redukcją liczby resortów. Zakończyłam więc pracę w rządzie. Nie czuję się dziś źle z tym, że jestem poza rządem. Będę dla niego silnym wsparciem w parlamencie. I tak zamierzam spędzić najbliższy czas.

Jak będzie wyglądało wychodzenie z popandemicznego kryzysu?

Nie wiemy, co nas jeszcze czeka. Jednak po tym ekstremalnie trudnym roku Polska gospodarka wciąż ma się całkiem dobrze. Mamy bardzo dobre dane dotyczące produkcji przemysłowej, eksportu, na koniec ubiegłego roku odnotowaliśmy niższe, niż zakładaliśmy wiosną, bezrobocie, drugie najniższe w UE. Mamy doskonałe dane dotyczące budownictwa mieszkaniowego.

W surowych ocenach celowali szczególnie moi niedawni koledzy partyjni. Skłamałabym mówiąc, że nie było mi przykro

wego. Udało się nawet przebić mitologizowane dane z epoki Gierka, na które często w rozmowach ze mną powoływał się Jarosław Kaczyński, nie rozumiejąc, dlaczego nie możemy osiągnąć poziomu 217 tys. mieszkań z 1980 r. I to się udało. Kryzysowy ubiegły rok to 222 tys. nowych mieszkań. Poza tym sektor IT w ogóle nie odczuł kryzysu, wręcz przeciwnie.

Premier zapowiada Nowy Polski Ład po pandemii. Jak on ma wyglądać?

Nazwa nawiązuje do New Dealu, czyli programu reform ekonomiczno-społecznych wprowadzonych w Stanach Zjednoczonych przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta po wielkim kryzysie lat 30. To nawiązanie, które ma mówić o skali wyzwania i zmianie paradygmatów. Domyślam się, że premier przedstawi nie tylko nowe projekty polityczne, lecz przede wszystkim

nowe podejście w polityce gospodarczej. Czekamy na szczegóły. Sądzę, że jednym z filarów będzie transformacja energetyczna. Pozornie dla ludzi temat odległy, ale ostatecznie sprowadza się do rachunku za prąd, który dostaje co miesiąc każdy Kowalski czy Nowak, a także każda firma w Polsce. Rachunek za energię elektryczną nie może konsumować naszych dochodów. Jeśli nie zainwestujemy w transformację energetyczną szybko, to za kilka czy kilkanaście lat będziemy tylko biorcami technologii, a nie ich twórcami. To wreszcie szansa na stworzenie nowych, dobrze płatnych miejsc pracy. To oferta przyszłości dla regionów górniczych. Koszt wydobycia węgla jest w Polsce coraz wyższy, a jego jakość nie jest najlepsza.

Bezpieczeństwo energetyczne to nie temat filmów science fiction, ale realna potrzeba. Fotowoltaikę już Polacy pokochali. Na dachach polskich domów w 2020 r. powstała elektrownia słoneczna o produkcji energii porównywalnej do tej wytwarzanej przez trzy węglowe bloki energetyczne 200 MW. Instalator PV to dziś jeden z najbardziej poszukiwanych pracowników na rynku. Konieczna jest też kontynuacja programu Czyste Powietrze. Tu chodzi o zdrowie nasze i naszych dzieci. Filarem Nowego Polskiego Ładu powinna być także polityka mieszkaniowa. Strona podaźowa ma się dobrze. Czas na program wspierający popyt. Dostępność mieszkań dla młodego pokolenia to warunek wolności.

Rząd przetrwa trzy lata czy będą wcześniejsze wybory?

Program obozu Zjednoczonej Prawicy cieszy się wciąż największym poparciem społecznym. Pewnie wiele osób, szczególnie w opozycji, kibicuje rozpadowi rządu. W minionej kadencji tematów trudnych także było немало, a mimo to koalicja przetrwała. Jej liderzy są politycznie rozsądni. Trudno mi wyobrazić sobie powody, dla których któryś z liderów miałby dążyć do rozpadu koalicji czy wcześniejszych wyborów. Mniejsi koalicjanci nie mają żadnej gwarancji uzyskania mandatów samodzielnie. Poza tym Polacy chcą stabilizacji w tych niepewnych czasach.



Uważam, że Brytyjczycy dokonali prawnego morderstwa

Byłem przekonany, że pan Sławomir zostanie natychmiast podłączony do aparatury podającej pokarm. Mieliśmy przecież orzeczenie prawomocne polskiego sądu i przyznany paszport dyplomatyczny. To były bardzo mocne argumenty. Okazało się niestety inaczej

**Z *Marcinem Warcholem*, wiceministrem sprawiedliwości,
pełnomocnikiem rządu ds. praw człowieka, rozmawia Edyta Hołdyńska**

Polak, który od 12 dni nie dostawał pokarmu, bo stwierdzono śmierć pnia jego mózgu, zmarł we wtorek 26 stycznia w szpitalu w Plymouth w Wielkiej Brytanii. Włączył się pan do walki o transport rodaka i podjęcie leczenia w kraju. Nie udało się. Czy strona polska zrobiła wszystko, co było w jej mocy?

Marcin Warchol: Gdy toczy się walka o życie człowieka, jeśli jest choć cień szansy, należy pójść nawet na koniec świata, by to życie uratować. Ruszyliśmy tą ścieżką, zaczęliśmy działać na różne sposoby. Na mój wniosek Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyznało immunitet dyplomatyczny naszemu rodakowi. Został tym samym wyjęty spod jurysdykcji sądu brytyjskiego i przekazany pod jurysdykcję sądów polskich.

Tu z kolei dzięki szybkiej reakcji prokuratora generalnego, pana ministra Zbigniewa Ziobry i prokuratury udało się uzyskać sądową zgodę na transport chorego do Polski. Gdyby udało się skutecznie przeprowadzić ostatnie posiedzenie w sądzie brytyjskim, na którym nam bardzo zależało, moglibyśmy zabrać pana Sławomira do kraju. Nie zdążyliśmy, zdecydowały godziny.

Skoro zabrakło godzin, to być może pomoc nadchodziła zbyt późno? Jak wyglądała współpraca na linii MS–MSZ–strona brytyjska?

Gdy poprosiłem prokuratora generalnego, to w trybie ekspresowym w piątek w godzinach wieczornych, cztery dni przed śmiercią, prokuratura wystąpiła z gotowym wnioskiem do polskiego

sądu. A Sąd Okręgowy w Warszawie błyskawicznie wydał prawomocne orzeczenie o zgodzie na transport Polaka do naszego kraju. Byłem cały czas w kontakcie z kierownictwem MSZ. Akceptowali wszystkie prośby o pomoc. Dziękuję panu ambasadorowi Arkademu Rzegockiemu z Londynu, który pomagał na miejscu. Kontaktowałem się także z brytyjskimi prawnikami rodziny pana Sławomira.

Jakie pisma sporządzono? Od początku, konkretnie.

Od soboty 23 stycznia nasz rodak był pod opieką konsularną. Od chwili, gdy notyfikowano status dyplomaty, był formalnie pod naszą jurysdykcją. W sobotę rano wystąpiłem do brytyjskiego ministra sprawiedliwości z prośbą o szybkie

wykonanie orzeczenia polskiego sądu zapadłego w piątek wieczorem. Wiem, że te pisma otrzymał i się z nimi zapoznał. Ale odpowiedź nie nadeszła do dzisiaj. Zadzwońm również od razu do szpitala w Plymouth, aby poinformować o wszystkich decyzjach. Niestety szpital odmówił rozmowy, wysłałem więc oficjalne pisma, ale nadal szpital nie reagował.

Niektórzy twierdzili, że w sprawie niewiele dało się zrobić.

Miałem nie próbować, bo się komuś zdawało, że to nie ma sensu? Machnąć ręką, zastanawiać się nad szansami? Dla mnie życie ludzkie ma wartość największą. Nie mogłem postąpić inaczej. Zdawałem sobie sprawę, że formalności związane z powrotem do Polski mogą potrwać, ale byłem przekonany, że pan Sławomir zostanie natychmiast podłączony do aparatury podającej pokarm. Mieliśmy przecież orzeczenie prawomocne polskiego sądu i przyznany paszport dyplomatyczny. To były bardzo mocne argumenty. A skoro brytyjski sąd był w stanie w ciągu czterech godzin spotkać się, żeby zablokować dostęp do pacjenta naszemu konsulowi, to wydawało się, że mógł równie szybko spotkać się i pozwolić choremu wrócić do kraju. Okazało się niestety inaczej.

Fot. Andrzej Wiktor



Zawiniła Wielka Brytania?

Uważam, że Wielka Brytania wybiórczo stosuje prawo międzynarodowe. Zlekceważyli naszą walkę o Polaka, zlekceważyli też walkę o życie malutkiego Alfiego Evansa, mimo że miał włoski paszport, a o jego transport do Włoch starał się sam papież. Ale zgodzili się na uratowanie pięcioletniej dziewczynki z Bangladeszu, akceptując wyrok islamskiego sądu.

Co było dalej?

Napisałem kolejne pismo do brytyjskiego resortu zdrowia z żądaniem natychmiastowego przyłączenia chorego do aparatury podtrzymującej życie. W ramach zabezpieczenia wykonania wyroku polskiego sądu. Minęła cała niedziela, odpowiedzi nie było. Od poniedziałkowego poranka dzwoniłm do Brytyjczyków, prosiłm o reakcję,

o rozmowę online. Także ambasador zapewniał, że naciska na brytyjskie władze. Bez skutku. Do wtorku się nie odezwali. Całkowicie zignorowali nasze wszystkie prośby, pisma, wszelkie działania. To niespotykane i nieakceptowalne zachowanie.

Dlaczego brytyjski sąd nie akceptował orzeczenia polskiego sądu?

Tamtejsi prawnicy, reprezentujący rodziny pacjentów w takich przypadkach, pracujący pro bono, z którymi byłem w stałym kontakcie, ostrzegli nas w poniedziałek, że brytyjski sąd może nie uznać wyroku polskiego sądu. Bo to by oznaczało, że Wielka Brytania przegrała, popełniła błąd. Tej nocy nie spałem, bo prawnicy starali się zorganizować nadzwyczajne posiedzenie sądu i spytali, czy zgodzę się zeznawać

jako świadek. Oczywiście się zgodziłem. Czekaliśmy na nocne posiedzenie online.

Ale był paszport dyplomatyczny, nie tylko decyzja sądu.

Właśnie! Prawnicy uważali, że to jest nasz as w rękawie. Na posiedzeniu sądu miałem potwierdzić, że jest paszport, nadany i notyfikowany. Od soboty nasz rodak był objęty naszą opieką. Jednak brytyjski rząd uznał, że potrzebna jest jeszcze zgoda strony brytyjskiej. Moim zdaniem prawo międzynarodowe tego nie wymaga. Wyłączne kompetencje do tego, by nadać komuś status dyplomaty, ma państwo, które ten status nadaje. To nie wymaga notyfikacji innych krajów. Ale Brytyjczycy niestety uznali inaczej i MSZ było zmuszone czekać na ich akceptację.

Dlaczego Brytyjczycy zwlekali z akceptacją?

Nie wiem, ale wydaje się to dość oczywiste, że to była ich demoniczna gra na czas. Pytali np., co pan Sławomir będzie robił i jakie będzie miał kompetencje. Chcieli oficjalnych decyzji, czy będzie stacjonował w ambasadzie, a może w konsulacie. A przecież prawo i orzecznictwo brytyjskich sądów jest takie, że nie potrzeba takiej zgody, co podkreślali eksperci brytyjscy reprezentujący rodzinę pana Sławomira.

To pokazało, pańskim zdaniem, słabość państwa polskiego?

Absolutnie nie. Wykorzystaliśmy każdą dostępną ścieżkę, a nawet niestandardowe posunięcia, których byłem inicjatorem, jak paszport dyplomatyczny czy działania naszej prokuratury. Niestety Wielka Brytania od stycznia przestała być członkiem Unii Europejskiej i to zdecydowanie utrudniło nam prawne działania. Uważam jednak, że to Brytyjczycy dokonali prawnego morderstwa.

Tamtejsi lekarze stwierdzili śmierć pnia mózgu i sąd orzekł o śmierci Polaka. Polscy lekarze również stwierdzili śmierć pnia mózgu, ale chcieli go leczyć.

Na podstawie tej samej dokumentacji medycznej sąd brytyjski i sąd polski podjęły inne decyzje. To najlepszy dowód, że nie powinniśmy się opierać tylko na opinii brytyjskich lekarzy. Znamy kilkadziesiąt przypadków z kliniki Budzik, że ludzie budzili się ze śpiączki. W przypadku naszego rodaka jednak nie było żadnej terapii, nie było nawet wody i pożywienia.

Czy przypadek pięciolatki z Bangladeszu znacznie różnił się, pod kątem medycznym, od polskiego przypadku?

Również chodziło o sztuczne podtrzymywanie jej życia. Pięciolatka została jednak ocalona. Wyrok islamskiego sądu, by ją przetransportować i leczyć w innym kraju, został wykonany przez Sąd Najwyższy Wielkiej Brytanii. Przetransportowano ją do szpitala w Genui i wyleczono. To pokazuje, że

można tam takie sprawy załatwić zgodnie z wyrokiem zagranicznego sądu. A Bangladesz przecież nawet nigdy nie był w Unii Europejskiej.

Czy brexit utrudnił uznanie orzeczenia polskiego sądu w Wielkiej Brytanii?

Utrudnił, ale nie uniemożliwił. Gdyby Wielka Brytania nadal była w Unii, wyrok polskiego sądu powinien być wykonany automatycznie. Skoro jednak pozwolono przetransportować pięciolatkę na podstawie wyroku islamskiego sądu, tym bardziej powinno się udać w przypadku Polaka.

Cywilizacja śmierci wygrała z cywilizacją życia bitwę, ale wojna trwa. Ostatecznie dobro zawsze zwycięża i wierzę, że w tym starciu prawo każdego człowieka do życia też zwycięży

Jakie znaczenie miało to, że w Wielkiej Brytanii trzeba zaprzeczyć, że wyraża się zgodę na transplantację organów po śmierci, a w Polsce należy taką wolę wyrazić?

Sędzia brytyjski tłumaczył decyzję o braku zgody na transport pana Sławomira dyskomfortem pacjenta. I tym, że on by sobie tego nie życzył. Domniemał zatem jego wolę. Czy jednak większym dyskomfortem nie jest pozbawienie go pokarmu i wody przez 12 dni? To było zabijanie człowieka w świetle prawa, na podstawie tylko widzimisię brytyjskiego sędziego.

Decyzją żony, osoby najbliższej w świetle prawa, można było jednak odłączyć Polaka od pokarmu.

Alé życie ludzkie nie jest w rękach żon. Życie moich dzieci nie jest w moich rękach. Życie ludzkie jest święte, nienaruszalne. Nie żona życie dała, by je odbierać. Gdyby tak było, nie mielibyśmy przepisu Kodeksu karnego karzącego

każdego, kto zabija, nawet jeśli zrobi to ze współczucia.

Kiedy członek rodziny jest ciężko chory, lekarze pytają rodzinę o zgodę na operację. Także na odłączenie pokarmu?

Nie! Odłączenie pokarmu to nie jest ratowanie życia. A przysięga Hipokratesa jest dla lekarzy fundamentalna. Treścią przysięgi składanej przez lekarzy jest ratowanie życia wszelkimi sposobami, nawet tymi niestandardowymi. Ratowaniem nie jest decyzja o odłączeniu człowieka od pokarmu i odmowa transportu w imię dyskomfortu. Lekarz pomaga nie tylko wtedy, gdy wszystko idzie ku dobru, ale kiedy jest też bardzo źle.

Czy organy zostaną mimo wszystko oddane do transplantacji?

To już decyzja strony brytyjskiej.

Będzie pan monitorował tę sprawę?

Dbanie o życie ludzkie, które jest wartością najwyższą, to moje zadanie jako pełnomocnika rządu ds. praw człowieka. To kolejna śmierć w państwie brytyjskim w podobnych okolicznościach. Takie sytuacje powinna unormować umowa międzynarodowa, musimy w to włączyć Europejski Trybunał Praw Człowieka. W tym przypadku niestety Strasburg umył ręce. Podobnie jak w sprawie małego Alfiego Evansa dwa lata temu, a także w sprawie Charliego Gardy. Najwyraźniej Trybunał nie chce się zajmować najważniejszym prawem człowieka, jakim jest prawo do życia. Ale ja jako pełnomocnik będę się tym zajmował, także na arenie międzynarodowej. Musimy stworzyć szybkie i skuteczne międzynarodowe procedury w takich sytuacjach, a nie tracić czas na biurokratyczne przepychanki. Obecne regulacje prawne, jak widać, zawodzą. Cywilizacja śmierci wygrała z cywilizacją życia bitwę, ale wojna trwa. Ostatecznie dobro zawsze zwycięża i wierzę, że w tym starciu prawo każdego człowieka do życia też zwycięży. Jesteśmy to winni panu Sławomirowi.

Pięć lat sporu o poczytalność

Chciał udowodnić, że życie ludzkie nie jest warte więcej niż życie komara. Pięć lat po makabrycznej zbrodni Kajetan P. został skazany na dożywocie. Jego proces pokazuje, że wprawdzie sąd wymierza karę, ale o winie rozstrzygają psychiatrzy. Niepokojące jest to, że opinie psychiatrów często wzajemnie się wykluczają



MAJA NARBUTT

Kiedy ogłaszano wyrok oskarżonego o zabójstwo lektorki języka włoskiego, Kajetana P. nie było na sali sądowej. Najwyraźniej nie chciał, by przetransportowano go do warszawskiego sądu. Dotychczas konwojowano go na rozprawy z aresztu śledczego w Poznaniu, przy zachowaniu szczególnych środków ostrożności, jak zwykle w przypadku więźniów o statusie szczególnie niebezpiecznych.

– Jestem zaskoczony wyrokiem. Spodziewałem się umorzenia sprawy. Chorego człowieka powinno się leczyć, a nie eliminować – mówi mi obrońca Kajetana P., mecenas Piotr Dałkowski.

To dość nieprecyzyjne sformułowanie. Trudno uznać zasądzoną karę dożywotniego więzienia, odbywaną w systemie terapeutycznym – czyli na specjalnym oddziale więziennym, gdzie osadzeni korzystają z opieki psychologa i psychiatry – za eliminację. Pewne jest za to jedno – obrona złoży apelację.

– Stawka tego procesu była wysoka. Gdyby Kajetana P. uznano za niepoczy-

talnego, w ogóle nie trafiłby do więzienia. Teraz rodzina ofiary może poczuć ulgę, że sprawa znalazła finał w postaci wyroku i najwyższego wymiaru kary. Ale i tak jej bliscy będą żyć w cieniu tragedii – mówi mecenas Rafał Carko, pełnomocnik rodziny zamordowanej lektorki.

To ze względu na rodzinę ofiary proces odbywał się za zamkniętymi drzwiami, z wyłączeniem jawności. Jak podkreśla mecenas Carko, chodziło o to, by gazety nie epatowały ujawnianymi na sali drastycznymi szczegółami zbrodni. Nie ulega wątpliwości, że byłby to rozpisany na odcinki długi serial medialny.

Stało się jednak inaczej – dziennikarze mogli tylko przez chwilę obserwować, jak Kajetan P., ubrany w czerwony więzienny uniform, przeznaczony dla więźniów szczególnie niebezpiecznych, przemierza w asyście konwojujących go funkcjonariuszy sądowy korytarz. Znikał w specjalnej sali, w której zazwyczaj sędzi się członków mafii i co najwyżej można się było dowiedzieć, kiedy będzie następna rozprawa.

Jednak sporo bulwersujących szczegółów i tak zostało ujawnionych opinii publicznej na samym początku, gdy w lutym 2016 r. 26-letni bibliotekarz i filolog klasyczny dokonał niezwykłego morderstwa.

Wszystko w tej sprawie było szokujące, począwszy od tego, że Kajetan P. swoją ofiarę wybrał przypadkowo, prze-

glądając ogłoszenia o nauce języków obcych. Trafił na ogłoszenie 30-letniej Katarzyny J., lektorki języka włoskiego. Umówił się na lekcję w jej mieszkaniu na warszawskiej Woli. Zaatakował, gdy odwróciła się od niego w przedpokoju. Potem zapakował do plecaka i torby rozczłonkowane tasakiem ciało. Taksówką przejechał pewien dystans, potem przesiadł się do innej. Nie stracił opanowania – kiedy taksówkarz zauważył, że z torby sączy się krew, Kajetan P. spokojnie wyjaśnił, że jest w niej tusza dzika.

Jednak jego plan się posypał. Jak opowiadał później śledczym, na klatce schodowej zauważyła go wychylająca się z drzwi wścibska sąsiadka. Zrozumiał, że musi uciekać. Usiłował zatrzeć ślady, podpalając torbę z ciałem. Ekipa tzw. łowców cieni zatrzymała go dopiero na Malcie.

– To była niemal narodowa sprawa. Wszyscy byli wstrząśnięci. Motywy Kajetana P. były niezwykle, najwyraźniej chciał zakosztować emocji, jakie daje zbrodnia. A przy tym od początku wszystko wskazywało na to, że był świadomy tego, co robi, potrafił wszystko zaplanować, łącznie z trasą ucieczki – mówi mi prof. Brunon Hołyst, legenda polskiej kryminalistyki.

Prof. Hołyst – rocznik 1930 – powiedział mi też kiedyś, że w całej swojej karierze nie spotkał zabójcy z równie pokrewną motywacją.

MROczne FASCYNACJE

Jesteśmy skłonni mierzyć innych swoją miarą. Kiedy przeciętny człowiek słyszy o potwornej zbrodni, myśli często, że jej sprawca musiał być chory psychicznie, bo przecież inaczej tego by nie zrobił.

Jak twierdzi znany psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocho, podobne myślenie spotyka się też czasem tam, gdzie nie powinno być na nie miejsca, czyli u psychiatrów, którzy wydają opinię o poczytalności oskarżonych.

– To oczywista bzdura. Nie można uważać, że to, iż ktoś dokonuje makabrycznych czynów, świadczy o chorobie psychicznej. Gdyby tak było, wszyscy terroryści tzw. Państwa Islamskiego odcinający głowy albo Ukraińcy mordujący na Wołyniu byłiby chorzy psychicznie – mówi mi dr Pobocho.



Fot. Wojciech Artymowicz/Esti News

Kajetan P. od początku chętnie opowiadał o tym, dlaczego zabił losowo wybraną ofiarę. Sprawiał wręcz wrażenie, że szczyci się swoją zbrodnią, co jest charakterystyczne dla tzw. narcystycznych zabójców.

Morderstwo miało być częścią jego planu samodoskonalenia, który zakładał wyzbycie się emocji. Twierdził, że chciał udowodnić, iż zabicie człowieka nie jest niczym więcej niż zabicie komara czy świni.

Szybko się też okazało, że miał szczególne mroczne pasje. Nie tylko sam mówił o fascynacji kanibalizmem, ale bardzo szybko na światło dzienne zaczynały wpływać dziwne fakty. Okazało się, że opublikował po łacinie wiersz „Uczta Hannibala Lectera” poświęcony mordercy kanibelowi, postaci znanej z książek i filmów. A kiedy był na stażu w tygodniku „Polityka”, obsesyjnie proponował redakcji tematy tekstów związane z kanibalizmem.

OSZCZĘDNA PROKURATURA

Było oczywiste, że sprawa Kajetana P. będzie się wiązała z ustaleniem jego poczytalności.

Niestety prokuratura popełniła błąd. W tak skomplikowanym przypadku na-

leżało zamówić ekspertyzę u niekwestionowanych autorytetów psychiatrycznych, z dużym doświadczeniem, co byłoby gwarancją, że diagnoza będzie rzetelna oraz trudna do podważenia. Tak się jednak nie stało. Zaslaniając się tajemnicą postępowania, Prokuratura Okręgowa w Warszawie nie chce ujawniać szczegółów diagnozy. Z moich informacji wynika jednak, że opracowana została dość niedbale i mało profesjonalnie.

– Młoda lekarzka z warszawskiego aresztu śledczego na Rakowieckiej zadanie obserwacji psychiatrycznej przerosło. Niektórzy psychiatrzy, zwłaszcza początkujący, mają też tendencję, żeby za wszelką cenę doszukać się w badanym choroby psychicznej. Tak jakby się obawiali, że jeśli jej nie znajdą, to będzie świadczyć o tym, że czegoś nie zauważyli i są kiepskimi psychiatrami. To zjawisko tzw. nadmiernej diagnozy – mówi dr Jerzy Pobocho.

Przyczyna, dla której prokuratura nawet w skomplikowanych sprawach idzie czasem po linii najmniejszego oporu i zamawia ekspertyzę zgodnie z rejonizacją, jest prozaiczna.

– Prokuratura to budżetówka i niekiedy chce zapłacić za ekspertyzę jak

najtaniej. Wybiera wtedy tych biegłych, którym może zapłacić mało – przyznaje prof. Piotr Kruszyński, znany karnista i adwokat.

Ta źle pojęta oszczędność ma często fatalne skutki. Okazuje się potem, że trzeba zamówić kolejną diagnozę, która może być znacząco odmienna.

– W swojej praktyce adwokackiej miałem przypadek, kiedy wydano na temat mojego klienta trzy kompletnie różne ekspertyzy. Uznano więc go za zupełnie niepoczytalnego, całkowicie poczytalnego i mającego poczytalność ograniczoną w stopniu znacznym. Sąd wybrał wariant pośredni – opowiada prof. Kruszyński.

SĄDOWA EWANGELIA

W przypadku Kajetana P. diagnozy także się różniły. Pierwsza, sporządzona w areszcie śledczym, zakładała jego całkowitą niepoczytalność. Stwierdzono, że cierpi na dziedziczną ciężką chorobę psychiczną. Wykluczało to w ogóle odpowiedzialność karną.

Kiedy rozmawiałam z ówczesnym rzecznikiem Prokuratury Okręgowej, przyznał, że prokuratura jest bardzo niezadowolona z diagnozy, bo w ogóle nie zawarto w niej odpowiedzi na zasadnicze pytania.

Drugą diagnozę zamówiono – zgodnie z moimi informacjami – w warszawskim Instytucie Psychiatrii i Neurologii. Ekspertami podobno kierował znany profesor psychiatrii, autor akademickiego podręcznika.

Wnioski były odmienne – Kajetan P. nie cierpi na żadną ciężką dziedziczną chorobę psychiczną. Ma jedynie zaburzenia psychiczne. W momencie popełnienia morderstwa jego poczytalność była znacznie ograniczona. Jednak nie była zniesiona, co oznacza, że rozumiał znaczenie swych czynów. Ta diagnoza oznaczała, że może ponieść odpowiedzialność karną.

Nie tylko w sprawie Kajetana P. wydano dwie sprzeczne, wykluczające się diagnozy. Podobnie stało się w przypadku Stefana W., zabójcy prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

Pokazuje to słabość systemu orzekania. Z jednej strony do opinii psychiatrów przykłada się w Polsce niezwykle

wagę. Jak ujmuje to dr Pobocho, „na sali sądowej opinie psychiatrów traktuje się jak ewangelię”. Z drugiej strony widać wyraźnie, że opinie psychiatryczne są bardzo subiektywne, co pokazuje, że psychiatria nie jest nauką ścisłą. To czy oskarżony zostaje uznany za poczytalnego, niekoniecznie zależy od jego zdrowia psychicznego, lecz od doboru ekspertów.

Odmienne opinie psychiatrów sprawiły, że proces Kajetana P. był trudny. Sąd znalazł się na grząskim gruncie domniemań i spekulacji. Tak jak można było się spodziewać, obrona wykorzystwała sprzeczności w diagnozach, twierdząc, że Kajetan P. jest jednak niepoczytalny i nie może ponosić odpowiedzialności karnej.

PRZECIĘTE SPEKULACJE

– Wyrok, który w końcu zapadł, jest bardzo dobry. Zbyt dużo dziwnych rzeczy działo się wokół tego procesu. Teraz pewne spekulacje zostaną przecięte. Odbywanie przez Kajetana P. kary w systemie terapeutycznym jest najlepszym rozwiązaniem. Będzie pod opieką psychiatrów i psychologów, którzy na tychmiast raportują, gdyby więzień miał poważne problemy i przechodził epizod psychotyczny – mówi mi dr Paweł Moczydłowski, kryminolog i były szef więziennictwa.

Jak opowiada, na oddziałach terapeutycznych znajdują się więźniowie cierpiący na silne nerwice, a także lekko opóźnieni umysłowo. Kajetan, P., który uważa się za jednostkę nieprzeciętną, wręcz stojącą na wyższym stopniu rozwoju niż inni, może być niezadowolony z takiego towarzystwa. Jednak będzie tam w znacznie lepszej sytuacji, niż gdyby znalazł się na zwykłym oddziale więziennym.

– Pogardzano by nim. Nie pozwolano by mu siedzieć przy jednym stole, padałyby teksty „bo mi jeszcze rękę odgryziesz”. To, co zrobił młodej kobiecie, byłoby odbierane bardzo źle. Więźniowie czują się niedocenianymi ryccerzami, mówiliby Kajetanowi P.: „Ty nie wiesz, co się robi z kobietą? Kobiety się nie zjada”. Dodając, co według nich się z nią robi – opowiada dr Moczydłowski.

Dziwne rzeczy i spekulacje wokół sprawy Kajetana P., o których wspominał były szef więziennictwa, dotyczyły przede wszystkim rzekomego związku przewlekłości procesu z jego koneksjami rodzinnymi.

Dość szybko opinia publiczna dowiedziała się, że Kajetan P. jest synem prokurator z Prokuratury Apelacyjnej w Poznaniu, oddelegowanej nawet w tamtym czasie do Prokuratury Generalnej. Niektórzy obawiali się, że pozycja matki sprawi, że Kajetanowi P. uda się uniknąć odpowiedzialności karnej i uważali, że odkładanie wyroku służy rozmoczeniu sprawy.

Gdyby sąd przychylił się do opinii, że sprawca makabrycznej zbrodni był niepoczytalny, trafiłby on do zamkniętego zakładu psychiatrycznego. Jego pobyt miałby być bezterminowy – ta formuła uspokaja społeczeństwo. Można sądzić, że nie ma większej różnicy czy ktoś izolowany jest za kratami strzeżonego zakładu psychiatrycznego, czy w więzieniu. Jednak różnica jest kolosalna. Bo z zakładu psychiatrycznego sprawca zabójstwa może u nas wyjść zaskakująco szybko.

– W Polsce chyba padł rekord na skalę światową. Dyrektor więzienia w Sztumie ciosami noża zabił znajdującego się na wózku inwalidzkim więźnia. Został uznany za całkowicie niepoczytalnego. Po pięciu miesiącach od zabójstwa był już na wolności, bo psychiatrzy uznali, że jest już całkowicie zdrowy i nikomu już nie zagraża – mówi mi jeden z moich rozmówców.

Usiłowałam kiedyś ustalić w Ministerstwie Sprawiedliwości, ilu sprawców zabójstw przebywa w szpitalach psychiatrycznych i jak długo trwa średni okres tzw. detencji sądowej. Dowiedziałam się, że nie ma takich statystyk.

ROLA HANNIBALA LECTERA

Bezpośrednio po zabójstwie dokonanym przez Kajetana P. na lektorze języka włoskiego pojawiła się pogłoska, że mógł już wcześniej dokonać innych zabójstw. Świadczyć o tym miały duże kości znalezione w wynajmowanym przez niego mieszkaniu, o czym szeroko rozpisywały się tabloidy. Jednak były to kości zwierzęce – Kajetan P. ćwiczył zadawanie ciosów tasakiem. To jeden

z argumentów, które mogą przemawiać za tym, że z premedytacją i starannie zaplanował swoje działania.

Ten element planowania i celowości podejmowanych działań jest w wypadku Kajetana P. uderzający. Także w przypadku jego ucieczki – najpierw błyskawicznie zdobył środki finansowe, występując o kredyt, a potem, chociaż dostał czerwoną notę Interpolu, udawało mu się przez dwa tygodnie uciekać przez całą Europę. Ta trasa świadczy też o zimnej kalkulacji. To był lepszy plan niż ucieczka do Ameryki Południowej czy Wielkiej Brytanii, co zwykle robią polscy przestępcy. Zamierzał dotrzeć do Tunezji, a potem być może wyruszyć dalej. Mógłby się ukryć na obszarach, gdzie nie dosięgnąłby go europejski wymiar sprawiedliwości, a nawet – jak sugerują niektórzy – jego umiejętność obcinania głów byłaby doceniona.

Kiedy na Malcie dopadli go „łowcy cieni”, zaskoczony poddał się potulnie i nie stawiał oporu. Ale kiedy miano go już zapakować do wojskowej cennicy i przewieźć do kraju, z wyszczerzonymi zębami nieoczekiwanie rzucił się na policjanta i go ugryzł. Tak jakby chciał wcielić się w rolę swego ulubionego bohater literackiego, Hannibala Lectera, psychopatycznego mordercy i kanibala.

– Chyba już wtedy chciał, by uznano go za niepoczytalnego. Ale przedobrził w swych wysiłkach. Podobnie jak wtedy, gdy zaatakował prowadzącą obserwację psycholog, co nawet w wypadku chorych psychicznie praktycznie się nie zdarza – mówi jeden z moich rozmówców.

Agresywne zachowanie Kajetana P. zostało najwyraźniej uznane przez sąd za celową manipulację, bo napaść na funkcjonariusza została odnotowana w sentencji wyroku.

To jednak nie jest definitywny koniec tej historii. – Nie ma wątpliwości, że obrona wniesie nie tylko apelację, ale po uprawomocnieniu wyroku także kasację – mówi prof. Kruszyński.

Długo nie będziemy mogli więc zapomnieć o zbrodni Kajetana P. Przerażającej nie tylko dlatego, że była tak drastyczna. Ale także dlatego, że ofiara została wybrana losowo, co dowodzi, że są sytuacje, których zupełnie nie można przewidzieć.

Nie jesteśmy trawożercami

Każdy biolog, każdy lekarz rozumie, iż jesteśmy wszystkożercami, bo tak mamy zbudowany układ pokarmowy. Oznacza to, że nie możemy wyeliminować z diety białek zwierzęcych ani mięsa, ponieważ to w dłuższym czasie może się odbić na naszym zdrowiu

Z dr. Grzegorzem Chocianem, prezesem Fundacji Konstruktywnej Ekologii „Ecoprobono”, rozmawia Aleksandra Jakubowska

David Attenborough twierdzi, że musimy zmienić naszą dietę, bo planeta nie może utrzymać miliardów mięsożerców. Jak będziemy zmieniać tę dietę? Zakazując hodowli bydła, trzody chlewnej, sprzedaży produktów odzwierzęcych?

Grzegorz Chocian: Bardzo szanuję Davida Attenborougha za jego ogromny dorobek w zakresie propagowania zagadnień przyrodniczych, pamiętam jego fantastyczne filmy, natomiast najpierw zastanowiłbym się, jak duża część produkcji rolnej jest marnotrawiona i wyrzucana, choćby w imię tego, by utrzymywać odpowiednią cenę produktu na półce. To są setki tysięcy ton np. mięsa, które jest wyrzucane, topione w morzach, utylizowane. Gdyby dostosować produkcję do bieżącego zapotrzebowania, a także wprowadzić jej optymalną dystrybucję, mogłoby się okazać, że przy obecnej ilości żywności jesteśmy w stanie wykarmić znacznie większą populację.

Mniej więcej rok temu spore poruszenie wywołała dyskusja w Parlamencie Europejskim, podczas której aktywiści zielonych przedstawili pomysł wprowadzenia podatku od mięsa. Oczywiście nowe podatki to suwerenna decyzja państw członkowskich, ale zakusy, by sprawić, że mięso stanie się towarem

luksusowym albo wręcz niedostępnym, ciągle są obecne w kręgach lewicowych.



Tak, pamiętam te skandaliczne porównania, pokazywanie krów w obozowych pasiakach i myślę, że to, co się dzieje, czyli kierunek obrany przez ruchy zielonych – tak je nazwę, bo to

niekoniernie są ruchy ekologiczne – jest przykładem ich porażki. Otóż prowadzona przez całe lata ich tzw. edukacja ekologiczna poniosła klęskę, dlatego że muszą się uciekać do zakazów i nakazów, czyli podejścia totalitarnego, żeby osiągnąć swoje cele. Nie są w stanie przekonać ludzi do tego, że są trawożercami. Mówię to dość mocno dlatego, że każdy biolog, każdy lekarz rozumie, iż jesteśmy wszystkożercami, bo tak mamy zbudowany układ pokarmowy. Oznacza to, że nie możemy wyeliminować z diety białek zwierzęcych ani mięsa, ponieważ to w dłuższym czasie może się odbić na naszym zdrowiu. Czym innym jest sytuacja, kiedy ktoś z wyboru, już jako osoba dorosła, dojrzała, ogranicza spożycie mięsa, to może być wręcz dobre dla zdrowia, ale odgórne nakazy i zakazy tego typu są głupie i absolutnie niefizjologiczne. Ludzie instynktownie się bronią przed taką ekotyranją, która narzuca nam obowiązki zupełnie niezgodne z naszą naturą.

Ale z drugiej strony półki z produktami wegetariańskimi i wegańskimi zajmują w marketach coraz więcej miejsca, przybywa zdeklarowanych wegetarian i wegan. W Polsce to już ponad 3 mln osób. Czyli jednak ta edukacja przynosi jakieś rezultaty.

Tak, i nie mam nic przeciwko temu, sam chętnie korzystam z produktów z tych półek, co nie oznacza, że chcę zakazywać ludziom korzystania z innych towarów. Wydaje mi się, że tutaj nie chodzi o altruistyczne podejście do spraw ochrony przyrody, tylko o to, żeby sprawić, aby produkcja wegetariańska była bardziej konkurencyjna cenowo, i chce się to osiągnąć nie poprzez obniżenie kosztów jej wytwarzania, tylko przez podwyższenie kosztów produkcji dotychczasowej. Jest to rynkowa manipulacja, a nie ekologia. Już takie przeżyliśmy, kiedy na unijnym rynku podobno było za dużo cukru i wprowadzono limity jego produkcji. Po przejściu polskiego rynku cukru z limitów zrezygnowano. O limitach produkcji mleka też pamiętamy.



Argumenty podnoszone przez zwolenników takiego odgórnego regulowania tego, co mamy jeść, a czego nie możemy, są następujące – mięso szkodzi, zwierzęta cierpią, a emisja gazów do atmosfery jest w przypadku hodowli zwierząt większa niż całego transportu drogowego.

Jestem dość dużym sceptykiem odnośnie do tego, dlaczego następują zmiany klimatu i jaki wpływ na te zmiany ma człowiek, zwłaszcza emisja CO₂. Wszelkie argumenty, również zmierzające do zakazu produkcji mięsa, powiązane z CO₂ są po prostu mocno naciągane. Także te dowodzące, jak podobno olbrzymie ilości wody są zużywane przy tej produkcji. Na przykład podnosi się, że wyprodukowanie kilograma wołowiny wymaga 15 tys. litrów wody, ale po odjęciu wody „zielonej”, czyli opadowej, już tylko 1 tys. litrów. Przemilcza się, że wyprodukowanie wegetariańskiego awokado to jest zużycie 600 l wody na kilogram. Ba, przemilcza się, że chów tak zwany przemysłowy zużywa o 5 tys. litrów na kilogram wody mniej niż pastwiskowy. Ci, którzy mówią o zużywaniu zasobów planety i że ona tego nie wytrzyma, zapominają na przykład, że zużycie wody do produkcji zwierzęcej to nie jest to, co krowa czy świnia wypije, tylko również, ile wody zużywamy na wyprodukowanie paszy. Mieszkam na północnym wschodzie Polski i obserwuję zagłębie mleczarskie w dolinach Biebrzy, Narwi, Bugu. Nie przypominam sobie zraszania wodą łąk. A to w ten sposób się odbywa w bardzo wielu krajach zachodnich w celu podwyższenia produkcji trawy, czyli paszy. Tam rzeczywiście to wpływa na ogromne zużycie wody, w Polsce to są wyjątki, ale liczy się średnią statystyczną UE i obarcza odpowiedzialnością za jej „marnotrawienie” wszystkie kraje. Polska produkcja jest bardziej naturalna i przez to ekologiczna.

Ruchami, które najbardziej promują te ograniczenia, choćby w Parlamencie Europejskim, są organizacje pozarządowe, związane z zielonymi i socjalistami. Jest to swego rodzaju zielona ideologia. Często jednak za ideologią stoją różnego rodzaju grupy interesów. Trudno nie podejrzewać, że jednak w tle jest walka o rynek.

Też tak mi się wydaje. Sądzę, że za kilka lat, kiedy dzięki wejściu na ścieżkę ograniczania produkcji tradycyjnej ceny mięsa będą kosmicznie wysokie, objawią się już w pełni producenci sztucznego białka, sztucznego kotleta i powiedzą, że koszty produkcji są właściwie takie same, a w związku z powyższym należy zakazać zupełnie zabijania zwierząt, i będziemy od tej chwili produkować wyłącznie białko z próbówki. I wtedy oni staną się jedynymi dostawcami tego sztucznie wytworzonego mięsa. Finansowane przez Billa Gatesa prace nad opracowaniem technologii przemysłowego uzyskiwania sztucznego białka z próbówki są bardzo zaawansowane. Jeżeli inwestuje się tak ogromne pieniądze w nowe rozwiązania technologiczne, to także inwestuje się w lobbuing na rzecz tego rozwiązania, bo kiedyś trzeba na tym zacząć zarabiać, a żeby zarabiać, trzeba do tego przygotować rynek. I pewnie dlatego już od jakiegoś czasu pojawiają się te alarmistyczne głosy na temat braku możliwości dalszej tradycyjnej produkcji mięsa. Zatem jeszcze raz zapytam – ile tysięcy ton mięsa dziennie niszczymy?



Fot. archiwum prywatne

20 lat Unia Europejska negocjowała umowę handlową z krajami Ameryki Południowej, podpisano ją w ubiegłym roku i ma wejść w życie w ciągu dwóch lat. Parlament Europejski i państwa członkowskie w swoich parlamentach muszą tę umowę ratyfikować, ale wiele z nich wyraża obawę, że zalew żywności z Ameryki Południowej, wielkiego producenta przede wszystkim mięsa, sprawi, że europejska hodowla stanie się nieopłacalna. Odbije się to na rolnikach, ale i całych gospodarstwach, a brak surowych norm sanitarnych może sprawić, że dostaniemy żywność niskiej jakości.

To są realne obawy, producenci mięsa w Polsce potrafią to bardzo dokładnie wyliczyć i wskazują na bardzo nieczystą grę z tym porozumieniem między UE a krajami Mercosur, czyli Argentyną, Brazylią, Paragwajem i Urugwajem. Widzę tutaj podobny scenariusz, jaki się zrealizował w przypadku CO₂, zresztą te same środowiska promują tę umowę handlową z krajami Ameryki Południowej. Otóż handel emisjami CO₂ nie spowodował ich ograniczenia,

tylko przeniesienie produkcji przemysłowej, generalnie do Azji, a głównie do Chin. Oni tam ten dwutlenek węgla emitują, a my w Europie mówimy, że jesteśmy ekopoprawni, chociaż bierzemy całą produkcję stamtąd. A przecież atmosfera jest tak samo zatrutowana, bez względu na to, czy CO₂ ulatnia się w Europie czy w Chinach. Mur chiński nie dzieli atmosfery nad kontynentami. Z mięsem może być bardzo podobna sytuacja. W Europie mamy wszystkiego zakazać, a później to, co zakazane, będziemy sprowadzać z Ameryki Południowej, gdzie norm przewidzianych u nas dla żywności się nie stosuje. Po raz kolejny podwójne standardy, po raz kolejny przygotowywanie rynku dla innych producentów. Mówiąc o mięsie z próbówki, miałem na myśli tę dalszą przyszłość, która być może nastąpi, ale w krótszej perspektywie może się okazać, że Europa szeroko otworzy drzwi na produkcję mięsa z Ameryki Południowej. Jest to bardzo nieodpowiedzialne, bo przecież zniszczenie przemysłu w Europie sprawiło, że staliśmy się zależni od producentów z innych kontynentów. Za chwilę możemy stracić suwerenność żywnościową, co jest absurdalne i bardzo niebezpieczne, gdyby nastąpił kryzys, który doprowadziłby na przykład do zerwania łańcucha dostaw.

Kryzys covidowy uświadomił nam, jak ważna jest samowystarczalność w produkcji żywności, przecież przez pewien czas granice były zamknięte. Jednak Polacy braku jedzenia nie odczuli.

Jest to ogromny sukces Polski. Pamiętam, jak rok temu, w czasie pierwszej fali covidowej, rzuciliśmy się do sklepów, kupując najróżniejsze przetwory i wolno psujące się towary, półki rzeczywiście stawały się puste. Pamiętam wypowiedź ministra rolnictwa, który powiedział: „Spokojnie, mamy ogromne zasoby, ogromne rezerwy, proszę nie wpadać w panikę”. I rzeczywiście w ciągu tygodnia wszystkie półki znowu były zapełnione. To jest mądre, by mieć swoją produkcję, a także eksportować i na niej zarabiać, a Polska jest w tej chwili dużym eksporterem żywności, więc może znowu komuś się nie podoba, że mamy dużą nadwyżkę w obrotach w obszarze produkcji rolnej i chce nam się tę śrubę dokręcić poprzez ideologię ochrony klimatu, ochronę matki Ziemi. Jeszcze raz powtórzę – najpierw sprawdźmy, jak dużo żywności niszczy my w celu zachowania jej wysokiej ceny?

W żywotnym interesie naszego kraju jest zatem, aby nie ulec tym ideologicznym naciskom. Wspomniał pan o Billu Gatesie. Setki klimatologów protestuje przeciwko jego projektowi Sun Rays Eclipse. Amerykański

miliarder zamierza sztucznie „zaciemnić” Słońce aerozolami, aby zatrzymać globalne ocieplenie. Naukowcy alarmują, że będzie to miało znacznie bardziej katastrofalne konsekwencje dla planety, niż kiedykolwiek mogłoby to spowodować globalne ocieplenie.

Tym samym Bill Gates przyznaje, że to jednak nie krowy ani ludzie emitują zbyt wiele CO₂, tylko że jednak Słońce ma wpływ na ocieplenie klimatu. Kiedy człowiek podejmuje jakieś działanie mogące mieć wpływ na otoczenie, na przykład buduje wielką fabrykę, musi dokonać oceny oddziaływania tego przedsięwzięcia na środowisko. I ta ocena dotyczy musi etapu produkcji, funkcjonowania, a później likwidacji. W jaki sposób Bill Gates zamierza to zneutralizować, gdyby się okazało, że nie miał racji? Naukowcy, którzy mówią, że może to być nieodwracalne, mają rację. Kiedy te chemikalia zostaną wyrzucone w powietrze, pozostaną tam na czas nieokreślony i nie można ich będzie usunąć, co doprowadzi do kryzysu klimatycznego na skalę niewyobrażalną. Przypomnijmy sobie choćby serię erupcji wulkanu na Islandii

w 2010 r., kiedy to powstała chmura pyłu sparaliżowała ruch lotniczy nad Europą na kilka dni. Tego, co chce nam zafundować Gates, nawet nie ma co porównywać z tamtymi wydarzeniami. Wtedy pyły opadły. Zbyt daleko próbujemy ingerować w naturę, a to zawsze obraca się przeciwko człowiekowi.

Mamy przykłady, że za działalnością niektórych organizacji promujących tak zwany zielony ład stoją interesy gospodarcze, korporacyjne czy też polityczne. Nie mogę się doczekać uchwalenia i wejścia w życie regulacji, które zapowiedział były minister środowiska Michał Woś, żeby się dowiedzieć, jak i przez kogo te organizacje są finansowane. Pewnie służby skarbowe to wiedzą, tylko należałoby o tym otwarcie powie-

dziedzić i zmusić te organizacje do bardziej otwartego raportowania. Poza kwestią wiedzy o tym, jak to jest finansowane, bo przecież tego nie zmienimy ani nie zakazemy, powinna się pojawić odpowiedzialność organizacji za podejmowane działania. Tak jak każdy z nas odpowiada za słowa, za swoją aktywność, mamy OC od wypadków samochodowych, tak samo organizacja, jeśli podejmuje jakieś działania i są one bardzo brzemienne w skutkach, bo na przykład wpływają na przepisy prawa albo mają zdolność zatrzymania inwestycji, to powinny mieć wykupione bardzo wysokie polisy odpowiedzialności cywilnej na wypadek, gdyby się raczyły pomylić. Bo jeśli zablokują na przykład inwestycje za miliard złotych, to niech odpowiadają za to, jeśli działały w złej wierze albo na zewnętrzne zlecenie konkurencyjnej firmy, czy wręcz w interesie obcego państwa.

Kto trzymał parasol nad Wołominem

Sześciu byłych urzędników Komisji Nadzoru Finansowego, z których większość nadal pełni ważne funkcje publiczne, zostało postawionych w stan oskarżenia w sprawie potężnej afery SKOK Wołomin. Sprawa tamtejszej spółdzielczej kasy przez długie lata kwitła tuż pod nosem polityków i urzędników Platformy Obywatelskiej. Czy w końcu znajdzie swój prawny finał? Czy odpowiedzialni za działalność wołomińskiej grupy przestępczej byli chronieni przez urzędników państwowych? To poważne pytania, które pokażą prawdziwy obraz państwa zarządzanego przez Donalda Tuska i Ewę Kopacz



PIOTR FILIPCZYK

Akt oskarżenia dotyczy byłych urzędników Komisji Nadzoru Finansowego (KNF), którzy zajmowali się spółdzielczymi kasami oszczędnościowo-kredytowymi. Andrzej J., były przewodniczący, i Wojciech K., były wiceszef KNF, oskarżeni są o niedopełnienie obowiązków służbowych w celu osiągnięcia korzyści majątkowej – poinformowały służby prasowe Prokuratury Regionalnej w Szczecinie. Z informacji od śledczych wynikało także, że w sprawie pojawił się poboczny wątek korupcyjny. Według nich chodziło o żądanie korzyści majątkowej z powoływaniem się na wpływ w KNF, aby opóźnić ustanowienie zarządcy komisarycznego.

KNF BIERZE SIĘ ZA SKOK

Już w 2012 r. w gronie urzędników państwowych rozpowszechniona była informacja, że w SKOK Wołomin zdomowała się groźna grupa przestępcza wywodząca się z ludzi powiązanych



W 2015 r. media obiegly zdjęcia wciąż jeszcze urzędującego prezydenta z Piotrem P. i Mariuszem G. – kluczowymi postaciami SKOK Wołomin. Oprócz Komorowskiego gośćmi na spotkaniach organizowanych przez wołomiński SKOK byli m.in. Dariusz Rosati czy Lech Wałęsa

Fot. Agnieszka

ze służbami PRL. Dokumenty, które miały potwierdzać tę teorię, złożyła Krajowa SKOK – instytucja zrzeszająca spółdzielcze kasy. Rząd PO-PSL znowelizowaną ustawą o SKOK odebrał wówczas Kasie Krajowej prawo do realnego nadzorowania tego sektora w Polsce i przekazał je KNF mającej sprawować pieczę nad całym rynkiem finansowym.

Już wówczas media, instytucje i autorytety prawa mówiły o wielu nieprawidłowościach i wątpliwościach dotyczących zmian wdrażanych przez polityków Platformy Obywatelskiej. Jednak administracja PO bez wahania

zmierzała w kierunku przyjęcia stworzonych przez siebie przepisów.

KONTROWERSYJNA USTAWA

Ustawę o SKOK pisali politycy Platformy – często związani z sektorem bankowym, czyli konkurencją spółdzielczych kas, na czele ze Sławomirem Neumannem i Jakubem Szulcem. Nowe przepisy wzbudziły tak potężne kontrowersje, że prezydent Lech Kaczyński skierował je do Trybunału Konstytucyjnego (TK) z 72 zastrzeżeniami. Był to największy wniosek w historii TK.

Po katastrofie smoleńskiej i objęciu władzy przez Bronisława Komorowskiego wycofał on z TK wniosek swojego poprzednika, choć było to wydarzenie bez precedensu. Komorowski z 72 wniesionych zarzutów zostawił zaledwie dwa. I tylko do nich odniósł się TK pod przewodnictwem Andrzeja Rzeplińskiego.

Kiedy Krajowa SKOK zwróciła się do kancelarii Bronisława Komorowskiego z pytaniem o podstawy wycofania wniosku, otrzymała kuriozalną wręcz odpowiedź, że nastąpiło ono na podstawie ekspertyz, „po których nie zachował się żaden materialny substrat”. Nie pomogła zatem interwencja prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie pomogły protesty międzynarodowych organizacji spółdzielczych. Nadzór nad SKOK trafił w ręce KNF.

WSZYSTKIE BIZNESY SZEFA KNF

Komisją Nadzoru Finansowego zarządzał wówczas wszechwładny Andrzej Walenty J., który zaczął karierę jeszcze w czasach Polski Ludowej. Jego droga zawodowa rozpoczęła się wzorcowo. Po studiach na Wydziale Prawa i Administracji UW w 1982 r. natychmiast trafił do Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej, gdzie spędził dziewięć lat. Jak młody absolwent prawa zdobył tak dobrą posadę ministerialną, to zagadka, ale J. nie chce mówić o swojej przeszłości ani nie komentuje pytań o oświadczenia lustracyjne.

Z ministerstwa J. przeszedł do NBP. Odpowiadał za rozwiązywanie sytuacji banków znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji. Następnie rozwinął skrzydła i do 2011 r. pełnił funkcję zastępcy Hanny Gronkiewicz-Waltz. J. dał pokaz swoich możliwości i wslawił się szeroko komentowanym w mediach usunięciem warszawskich kupców z Kupieckich Domów Towarowych. Przez centrum stolicy przetoczyły się wówczas regularne bitwy, podczas których poszkodowanych zostało ponad 100 osób.

Z biura prezydent stolicy przechodzi do Komisji Nadzoru Finansowego.

Potrzebuje pieniędzy, bo już w 2011 r., przed objęciem stanowiska w KNF ma – wspólnie z pracującą w NBP żoną – ponad 1,2 mln zł długu i zaledwie niecałe 10 tys. zł oszczędności. Nadzorca wkracza zatem do sektora bankowego z kolosalnym, jak na polskie warunki, zadłużeniem wobec banków, które zamierza wkrótce nadzorować.

Efekty prac KNF pod kierownictwem Andrzeja J. do dziś zadziwiają wielu polityków. Komisja niechlubnie zabyła wówczas nie tylko dewastację sektora SKOK, ale także – zdaniem wielu mediów – lekceważeniem spraw frankowiczów i „nabitych w polisolokaty”.

– Problem kredytów we frankach dotyczy kilkuset tysięcy ludzi, którzy z dnia na dzień muszą znaleźć w do-

W 2015 r. media obiegly zdjęcia wciąż jeszcze urzędującego prezydenta z Piotrem P. i Mariuszem G. – kluczowymi postaciami SKOK Wołomin. Oprócz Komorowskiego gośćmi na spotkaniach organizowanych przez wołomiński SKOK byli m.in. Dariusz Rosati czy Lech Wałęsa

bowym budżecie ogromne środki na spłatę zawyżonych rat. W sytuacji, gdy poszkodowani są obywatele Polski, niewyobrażalny jest brak zaangażowania instytucji centralnych w poszukiwanie właściwych rozwiązań – komentował działania KNF w 2015 r. senator Grzegorz Bierecki, zasiadający wówczas w senackiej komisji budżetu i finansów publicznych. – Środowisko polityczne czy związany z nim KNF nie zwracają uwagi na problem dotyczący przeszło pół miliona Polaków – mówił Bierecki.

KNF NADAJE

W 2014 r., a zatem w czasie, gdy Komisja nie podjęła jeszcze żadnych poważnych działań związanych ze SKOK Wołomin, KNF publikuje materiał dotyczący powiązań osobowych i kapitałowych w sektorze SKOK. Wydaje też raport omawiający proces likwidacji Fundacji na rzecz Polskich Związków Kredytowych i przekazania jej majątku nowemu podmiotowi – Spółdzielczemu Instytutowi Naukowemu. Proces przekazania majątku FPZK odbył się zgodnie z wolą fundatora tego podmiotu (była nim Światowa Rada Unii Kredytowych), a sama Fundacja nigdy nie podlegała KNF. Do dziś oficjalnie nie wiadomo zatem, dlaczego Komisja zdecydowała się wydać tego typu dokument, który wkrótce staje się dla lewicowych mediów podstawą potężnych ataków na twórców sektora SKOK i na działające w nim instytucje.

Raport – według słów przedstawicieli KNF – miał trafić do „najważniejszych osób w państwie”. Tajemnicą poliszylną pozostaje zatem, w jaki sposób jego elektroniczna wersja, w formie edytowalnej, znalazła się na serwerach tygodnika „Polityka”, do którego pisywała m.in. Bianka Mikołajewska, prywatnie związana z Piotrem Niemczykiem, byłym człowiekiem służb.

Przed publikacją raportu osoby związane z Platformą Obywatelską zrywają swoje związki ze SKOK. Konto w największej polskiej kasie zamyka premier Ewa Kopacz. Z członkostwa w Radzie Naukowej SIN rezygnuje Małgorzata Gersdorf.

ZNISZCZYĆ KANDYDATÓW

Wszystko – w przypadku trudno wierzyć – dzieje się tuż przed rokiem 2015 i wyborami prezydenckimi oraz parlamentarnymi, kiedy Grzegorz Bierecki – senator PiS – poważnie rozważany jest w strukturach partii jako kandydat na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Po rozpętaniu medialnej nagonki Bierecki nie zostaje kandydatem i wraz

z całym swym zapleczem wspiera Andrzeja Dudę. Jednak i Duda nie ma łatwo. Lewicowe media usiłują połączyć go z oczernianymi w tym czasie spółdzielczymi kasami jako bliskiego współpracownika Lecha Kaczyńskiego. W Sejmie powołana zostaje nawet specjalna podkomisja ds. SKOK (tylko podkomisja, bo politycy PO nie mogli powołać komisji do zajęcia się sprawą prywatnego podmiotu), w której bryluje – miotając oskarżenia – Marcin Świąciecki. Coraz głośniejsze mówi się wręcz o korupcji politycznej. – Nie poparłem komisji śledczej w sprawie SKOK, choć byłem do tego namawiany przez Platformę, która twierdziła, że skorzystam na tym politycznie przed wyborami – powiedział nieopatrznie w wywiadzie w „Rzeczpospolitej” 6 lipca 2015 r. Janusz Piechociński (PSL).

Agresywne lewicowe media ciągle jednak milczą o SKOK Wołomin i powiązaniach prowadzących wprost do prominentnych polityków PO.

WĄTEK PRO CIVILI

W 2012 r. Kasa Krajowa informowała KNF o ludziach z Fundacji Pro Civili, zrzeszającej byłych oficerów WSI, którzy działali w SKOK Wołomin. – Celem Fundacji Pro Civili było wyludzenie pieniędzy, grupą dowodzili zaś ludzie WSI. Piotr P. działał jako pracownik WAT, więc wiele działalności Pro Civili było ukierunkowanych na wyludzenia z uczelni pieniędzy, np. na programy komputerowe. Łącznie wyludzone 400 mln zł, które trafiły na Cypr – mówił poseł Bartosz Kownacki w 2015 r.

Dodał, że fundacja zajmowała się m.in. wystawianiem fałszywych faktur i innych dokumentów, które potem stanowiły podstawę do wyludzenia kredytów z banków. Poseł przypomniał, że wszystko działo się za czasów, gdy szefem MON, a więc i nadzorującym WSI, był Bronisław Komorowski. W 2015 r. media obieły zdjęcia wciąż jeszcze urzędującego prezydenta z Piotrem P. i Mariuszem G. – kluczowymi

postaciami SKOK Wołomin. Oprócz Komorowskiego gościmi na spotkaniach organizowanych przez wołomiński SKOK byli m.in. Dariusz Rosati czy Lech Wałęsa.

W toku późniejszego śledztwa prokuratura ustaliła, że w SKOK Wołomin działała zorganizowana grupa przestępcza. Otwartym do dziś pytaniem pozostaje, dlaczego Komisja

Prokuratura ustaliła, że w SKOK Wołomin działała zorganizowana grupa przestępcza. Otwartym do dziś pytaniem pozostaje, dlaczego KNF dopiero dwa lata po doniesieniach, jakie otrzymała od Kasy Krajowej, zdecydowała się na ustanowienie w wołomińskiej kasie zarządu komisarycznego

Nadzoru Finansowego dopiero dwa lata po doniesieniach, jakie otrzymała od Kasy Krajowej, zdecydowała się na ustanowienie w wołomińskiej kasie zarządu komisarycznego. Kto pozwolił na tak długą i szkodliwą w skutkach działalność organizacji o charakterze mafijnym?

MEDIA LEWICY MUREM ZA SWOIMI

Wątek SKOK Wołomin, dziś popularny w mediach, nie zyskał wcześniej rozgłosu. Za czasów PO-PSL był skrętnie pomijany i zamiatany pod dywan. Oskarżenia medialne miotane były tylko wobec twórców polskiego ruchu SKOK – tych samych, którzy próbowali uświadamiać KNF, że sprawę SKOK Wołomin należy rozwiązać jak najszybciej. Komisja nie paliła

się jednak do ustanowienia nadzoru nad wołomińskim SKOK. Zamiast tego publikowała kolejne doniesienia i raporty mówiące o rzekomych nieprawidłowościach w innych spółdzielczych kasach. Emitowała, a być może też przemyciała do mediów, materiały mające szkalować jedną z odnóg polskiego sektora finansowego oraz związanych z nią ludzi.

Medialny, administracyjny i polityczny system represji zorganizował potężną nagonkę na jednego z twórców SKOK – senatora PiS Grzegorza Biereckiego, oraz na jego współpracowników, m.in. profesorów Andrzeja Jedlińskiego i Henryka Ciocha. Dwaj ostatni zmarli w trakcie medialnej burzy, która raz za razem rzucała gromy na ich nazwiska i dokonania.

KTO CZERPAŁ KORZYŚCI ZE SKOK WOŁOMIN

Zatrzymanie urzędników to nowy wątek w sprawie SKOK Wołomin – wskazujący na to, że urzędnicy Komisji Nadzoru Finansowego mogli nie dopełnić obowiązków w sprawie spółdzielczej kasy z Wołomina oraz czerpać korzyści majątkowe z relacji z działającymi tam ludźmi, wyjaśnia coraz więcej.

Jeśli nad wołomińską grupą przestępczą – za czasów PO-PSL – został rozpostarty urzędniczy parasol, to nikogo nie będą mogły już dziwić podejmowane przed laty działania KNF zmierzające do odwrócenia uwagi od tego SKOK. Nie będą już zaskakiwały sensacyjne doniesienia lewicowych mediów, które uparcie szkalowały sektor SKOK i zbywały milczeniem brak woli urzędniczej do opanowania grupy przestępczej w SKOK Wołomin. Przystaną w końcu dziwić ataki na twórców sektora SKOK – być może były one inspirowane przez polityczno-medialną machinę Platformy Obywatelskiej.

Nie przestanie dziwić tylko to, że spośród sześciu oskarżonych urzędników czterech nadal pełni ważne funkcje publiczne. Jeden z nich wciąż nadzoruje spółdzielcze kasy z ramienia BFG w procesach sanacyjnych. 

*Mniejszości seksualne,
rasowe i etniczne
– teraz nadszedł
ich czas.*

*Bo inaczej – jak
twierdzą demokraci
– nie da się zbudować*

*prawdziwie
sprawiedliwego
społeczeństwa.*

*Nowej wielkiej
Ameryki będącej
inspiracją dla całego
postępowego
świata*

Biden Rewolucja

Twarzą nowej ekipy w Białym Domu stała się tydzień temu transseksualna Rachel Levine, wyznaczona przez prezydenta Bidena na stanowisko zastępcy sekretarza zdrowia. Levine, która w 2011 r. przeszła zmianę płci, wcześniej nazywała się Richard i była żonatym mężczyzną mającym dwojkę dzieci.

Dr Levine jest – jak zapewniają media – uznaną lekarką, kierującą wcześniej służbą zdrowia w Pensylwanii i cieszącą się tam ponadpartyjnym poparciem. Jednak – jak się zdaje – to nie kwalifikacje dr Levine przesądziły o jej awansie do Waszyngtonu, lecz przynależność do mniejszości seksualnych. Głównym celem postawionym sobie przez administrację prezydenta Bidena jest bowiem



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„wyrównanie szans” wszystkich grup społecznych, przy czym ten egalitaryzm ma wyraźnie ideologiczny i obyczajowy przechyl. Świadczą o tym zresztą kolejne nominacje.

NOWE ROZDANIE

Obok transpłciowej Rachel Levine – przedstawianej z dumą jako „histo-

ryczna kandydatka” – są jeszcze inni, równie „historyczni”, debiutanci i debiutantki. Na przykład sekretarz zasobów wewnętrznych Deb Haaland, pierwsza rdzenna Amerykanka (kolonialne słowo Indianka jest niepoprawne) na tak wysokim stanowisku. Albo Katherine Tai – prawniczka urodzona w rodzinie imigrantów z Tajwanu – która ma odpowiadać m.in. za handel z Chinami. Nie wykluczone, że Tai, mówiąca płynnie po mandaryńsku, bez większych problemów dogada się z rywalami zza Pacyfiku.

Do kompletu można dorzucić jeszcze liczną grupę polityków pochodzenia latynoskiego oraz zdeklarowanego geja Pete’a Buttigiega, który został wyznaczony na sekretarza transportu. Oczywiście nie można zapominać o Kamali



Harris, wiceprezydent USA, która jest nie tylko pierwszą kobietą na tym stanowisku, lecz również pierwszą Afroamerykanką i pierwszą Hinduską.

W kontekście nowego rozdania warto zwrócić uwagę na nowego sekretarza obrony. Lloyd Austin to emerytowany czterogwiazdkowy generał, jeden z wielu w amerykańskiej armii. Austin ma jednak tę przewagę, że jest czarnoskóry. To z tego powodu pospieszenie się go z emerytury pomimo przepisu (naruszonego wcześniej także przez Donalda Trumpa, gdy mianował Jamesa Mattisa) mówiącego, że były wojskowy może stanąć na czele resortu obrony dopiero po upływie siedmiu lat od zakończenia kariery w wojsku. Chodzi oczywiście o zagwarantowanie cywilnej kontroli nad armią. Tymczasem Austin zdjął mundur raptem cztery lata temu i zatrudnił się w zbrojeniowym koncernie Raytheon. Zdominowany przez polityczną poprawność Kongres USA uznał to jednak za nieistotną przeszkodę i wydał zezwolenie na objęcie obowiązków przez czarnoskórego kandydata. Zwłaszcza że Austin dobrze rozumie ducha czasów i na samym starcie politycznej kariery zapowiedział, że jego głównym celem będzie walka z rasizmem i ekstremizmem w szeregach armii. Oczywiście „ekstremizm” jest tu synonimem konserwatywnych poglądów.

Niewątpliwie więc kandydatura Austina jest historyczna. Nie tylko dlatego, że jest on pierwszym Afroamerykaninem stojącym na czele Pentagonu, ale również dlatego, że zamierza być – jeśli okaże się konsekwentny – pierwszym politykiem w amerykańskich siłach zbrojnych trypiącym niewłaściwe poglądy żołnierzy. W nowej administracji (nie tylko w wojsku) nie będzie już bowiem miejsca dla wyznawców dawnego porządku. Jeśli tacy pozostaną, to będą musieli szybko podporządkować się nowym regułom. W przeciwnym razie zostaną wymieceni przez liberalną miotłę.

POSTĘPOWI DEMOKRACI

Wymiana kadr to jedynie wstęp do nowej rewolucyjnej polityki. Amerykańscy demokraci – w odróżnieniu choćby od naszej antypisowskiej opozycji – przy-

gotowali bowiem cały pakiet zmian, które zamierzają wprowadzić po objęciu władzy.

Program demokratów, przyjęty w sierpniu 2020 r., jest – na pierwszy rzut oka – piękną, optymistyczną wizją przedstawiającą Amerykę jako kraj równych szans dla każdego. Demokraci odwołują się tu do korzeni, do symboli bliskich wszystkim Amerykanom, takich choćby jak „amerykański sen”. Dotychczas ten mit (zresztą nieprawdziwy – jak każdy) opierał się na założeniu, że dzięki ciężkiej pracy każdy może dotrzeć na sam szczyt. Teraz liberałowie dokonują jego reinterpretacji i wskazują, że był on udziałem jedynie uprzywilejowanych grup, przede wszystkim białych mężczyzn. Chodzi więc o to, aby „amerykański sen” stał się szansą naprawdę dla wszystkich – bez względu na ich płeć, kolor skóry, pochodzenie czy orientację seksualną. W rezultacie w dokumentach programowych demokratów aż roi się od postulatów wyrównywania szans dla wszelkich mniejszości. Przy czym owo wyrównywanie szans jest czymś więcej niż tylko usuwaniem kulturowych i instytucjonalnych przeszkód. To także forma wyrównania rachunków z przeszłości. Również w sferze językowej i symbolicznej.

Demokraci, jak wynika z ich programu, silnie wchłonęli progresywną agendę domagającą się zmiany tożsamości całego społeczeństwa. Feministki, homoseksualiści, Afroamerykanie, rdzenni Amerykanie – teraz nadszedł ich czas. To te grupy mają zająć miejsce białej patriarchalnej rodziny. Ich uprzywilejowanie ma być uzasadnione dawnymi – prawdziwymi i wyimaginowanymi – krzywdami. Inaczej – twierdzą demokraci – nie da się zbudować prawdziwie sprawiedliwego społeczeństwa. Nowej wielkiej Ameryki będącej inspiracją dla całego postępowego świata.

PRIORYTETY BIDENA

Ekipa Bidena chce jak najszybciej odciąć się od przeszłości reprezentowanej przez Trumpa. Nowy prezydent chce nie tylko odwrócić decyzje swojego poprzednika, lecz również dogonić, a być może i przegonić postępowy peleton, który uciekł Ameryce w ciągu ostatnich czterech lat, gdy Trump zasiadał w Białym Domu.

Szczególnymi względami demokratów cieszą się mniejszości seksualne. Wskazuje na to nie tylko liczba zmianek o prawach społeczności LGBT+ w dokumentach programowych partii (pojawiają się nawet przy okazji mowy o funduszach dla osób starszych, gdzie podkreśla się, że nie mogą być z nich wykluczeni „seniorzy LGBT”), ale również pomysł, aby nowa ekipa rozpoczęła swoje urzędowanie w Białym Domu od skrupulatnego przeglądu przepisów federalnych dotyczących płci, który miałby zostać zwieńczony wydaniem tzw. ustawy o równości. Ten przegląd już się zaczął, o czym świadczą najnowsze zarządzenia prezydenta poszerzające prawa osób transpłciowych. Zgodnie z pierwszym z nich uczniowie płci męskiej, którzy zadeklarują, że są kobietami, będą mogli startować w kobiecych zawodach sportowych, korzystać z damskich szatni i łazienek itp. To samo – tyle że w przeciwną stronę – będzie dotyczyć dziewcząt, które zdecydują, że są chłopcami.

Drugie zarządzenie znosi z kolei zakaz służby wojskowej osób transpłciowych, wprowadzony w 2017 r. przez Donalda Trumpa. Nowa administracja argumentuje, że wszyscy Amerykanie są równi, dlatego nikt nie może być dyskryminowany z powodu swojej orientacji. Jest to zresztą bardzo ładnie przedstawione. Mówi się bowiem o tym, że w wolnym kraju nie wolno źle traktować osoby na podstawie tego, kogo i jak ona kocha. Zatem – tak jak nas przekonują zwolennicy „tęczowej rewolucji” – nie o ideologię tu chodzi, lecz o wyższe uczucia.

Ameryka Bidena zamierza walczyć o wolność wyrażania tych uczuć – niechym Związek Radziecki o pokój – na wszystkich frontach i na całym świecie. Świadczy o tym zapewnienie demokratów, że wsparcie dla praw społeczności LGBT+ będzie odąd jednym z priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej. Nowa ekipa deklaruje również, że osoby prześladowane z powodu swojej orientacji seksualnej będą mogły liczyć na ułatwienia w przyznaniu im azylu w Stanach Zjednoczonych.

Biorąc przy tym pod uwagę to, że wspomniany już nowy sekretarz obrony Lloyd Austin zapowiada skoncentrowanie uwagi Pentagonu na Azji, oznaczać to

może zapowiedzieć sporej rewolucji w amerykańskich relacjach ze światem.

KRYTERIUM RASOWE

Oczywiście nowa polityka Bidena to nie tylko sprawy związane z LGBT+, choć przedstawiciele tej społeczności z pewnością mogą czuć się wyróżnieni. Równość szans – zdaniem demokratów – obejmuje bowiem wszystkie pozostałe mniejszości.

Demokraci zastanawiali się podczas lipcowej debaty programowej w 2020 r., co należy zrobić, aby mniejszości rasowe i etniczne (Afroamerykanie, Latynosi i rdzenni Amerykanie) żyły w Ameryce na podobnym poziomie co białe rodziny. I doszli do wniosku – o czym pisałem już w poprzednim numerze „Sieci” – że jedną z metod „wyrównywania szans” powinno być skierowanie pomocy finansowej wyłącznie do biznesów należących do przedstawicieli mniejszości. Inaczej mówiąc, o wsparciu udzielanym przez państwo decydowałoby kryterium rasowe. Jednak zarzut dyskryminacji rasowej – tyle że à rebours – odbija się od pomysłodawców jak echo od ściany. Wyjaśniają bowiem oni, że uprzywilejowanie ofiar 250 lat „niewolnictwa” jest dziś całkowicie usprawiedliwione.

Demokraci, którzy mniej lub bardziej otwarcie wspierali niedawne zamieszki na tle rasowym (bo ich skutki uderzały w politykę Trumpa), deklarują teraz, że hasło „Black Lives Matter” pozostaje jednym z fundamentów ich polityki społecznej. I nie chodzi tu tylko o różne formy wsparcia dla czarnej społeczności, ale również o walkę z tzw. instytucjonalnym rasizmem, a więc sytuacjami, w których osoba wywodząca się z mniejszości jest z tego powodu traktowana gorzej niż inne.

Szczególne znaczenie ma to w przypadku policji, która – jak pamiętamy – była oskarżana o brutalność wobec czarnych i Latynosów, co stało się zresztą jedną z przyczyn zeszłorocznych zamieszek.

Lokalna policja – według zapowiedzi demokratów – ma być w przyszłości silniej podporządkowana władzom federalnym, zwłaszcza w kwestii przestrzegania

standardów. Należy się więc spodziewać, że policjanci w obawie przed konsekwencjami będą – podobnie jak zdarza się to w Europie – powstrzymywali się od wielu interwencji, jeśli potencjalnym przestępcą jest osoba ciemnoskóra.

Jednocześnie demokraci chcą ograniczyć prawo do posiadania broni, przeliczając część odpowiedzialności za jej bezprawne użycie na producentów i handlarzy.

Krytycy tych pomysłów zwracają uwagę na to, że mogą się one okazać pierwszym krokiem do centralizacji państwa i ograniczenia samodzielności władz stanowych.

Najnowsze zarządzenia prezydenta poszerzają prawa osób transpłciowych. Np. uczniowie płci męskiej, którzy zadeklarują, że są kobietami, będą mogli startować w kobiecych zawodach sportowych, korzystać z damskich szatni i łazienek itp.

DROGA DO SZCZĘŚCIA

Zarysowana przez demokratów wizja przyszłej Ameryki została oczywiście postawiona w ostrym kontraście do okresu prezydentury Donalda Trumpa. Przeciętny odbiorca ma uwierzyć, że to Trump i jego zwolennicy stali na drodze do powszechnego szczęścia każdego obywatela, a po wybuchu pandemii zepchnęli Amerykę na skraj katastrofy. Sugestywność tego obrazu, pamięć o masowych zamieszkach, gwałtownym skoku bezrobocia i – co za tym idzie – niepewność jutra, sprawiły, że wielu wyborców zatęskniło za zmianą.

Zwłaszcza że w ofercie nowej ekipy znalazło się kilka propozycji skierowanych do ogółu społeczeństwa, w tym do grup najbardziej dotkniętych kryzysem. Demokraci obiecują m.in., że będą się

starali zmienić dotychczasowy rynek pracy – zwiększyć stabilność zatrudnienia i zmienić charakter amerykańskiej gospodarki, dając pierwszeństwo wysokopłatnej pracy w branży technologicznej.

To właśnie ta branża najbardziej wspierała kandydaturę Bidena i teraz oczekuje od prezydenta rewanzu. Nowa administracja, która zapowiedziała już powrót do paryskiego porozumienia klimatycznego, chce więc zainwestować duże środki publiczne w produkcję nowoczesnych rozwiązań ekologicznych. Mówi się np. o wymianie całej floty szkolnych autobusów na nowoczesne pojazdy elektryczne oraz o rozbudowie farm wiatrowych. To właśnie

nie tutaj pojawiłyby się nowe miejsca pracy. Jednak konkretny technologiczny wolałyby zatrudnić znacznie tańszych imigrantów, więc – obok obietnic składanych bezrobotnym Amerykanom – demokraci planują też rozluźnienie zaostrej za rządów Trumpa polityki imigracyjnej.

Z punktu widzenia przeciętnych obywateli istotna może być również ulga podatkowa na każde dziecko wynosząca 250–300 dol. oraz planowane ułatwienia w dostępie do służby zdrowia i edukacji. Ale i tutaj znalazła się zapowiedź wprowadzenia nowych standardów w publicznej edukacji (w domyśle zgodnych z ogólną wizją postępowego społeczeństwa), a także zagwarantowania pełnych „praw reprodukcyjnych” – jak eufemistycznie określa się aborcję.

Rewolucyjna wizja postępowej Ameryki, jaką zarysowali demokraci, może jednak napotkać opór. Nie tylko ze strony wyrzuconych na margines i wyśmiewanych zwolenników Trumpa, lecz również – znacznie poważniejszy – ze strony Sądu Najwyższego, w którym przewagę mają dziś sędziowie o konserwatywnych poglądach.

Ale i tu demokraci są dobrej myśli. Rozważa się bowiem reformę Sądu Najwyższego i poszerzenie jego składu o nowych sędziów. Dzięki temu zwolennicy postępowej rewolucji mogliby zyskać w nim większość, nie czekając na to, aż zwolnią się dotychczasowe miejsca. Zdominowany przez demokratów Kongres nie byłby raczej poważną przeszkodą dla tych planów.

Spod stołu



Krzysztof Czabański: *Czy jest sens rozmawiać o „okrągłym stole”, skoro tyle było o nim relacji na bieżąco?*

Krzysztof Wyszkowski: Szum informacyjny służył ukryciu tego, co ważne. Propaganda oficjalna specjalnie mąciła odbiorcom w głowie, prasa niezależna nie miała praktycznie dostępu do stołu i jej relacje też nie ukazywały istoty sprawy.

Rzecznicy Solidarności wiele rzeczy ukrywali. Przede wszystkim nie ujawniono, w jaki sposób doszło do „okrągłego stołu”. Nie było przecież tak, że X plenum KC PZPR coś postanowiło i rozpoczęły się rozmowy. Końców porozumienia został zbudowany wcześniej. „Okrągły stół” był właściwie teatrem odgrywanym na użytek publiczny.

Kto zawierał to poufne porozumienie?

[...] W grę wchodzi kilka osób: Mazowiecki, Geremek, Stelmachowski, Wielowieyski, Michnik, Kuroń. Jaka była rola każdego z nich – nie wiem. W każdej fazie rozmów mogła być inna, z tym że w miarę upływu czasu – w moim odczuciu – na czoło wysuwali się Geremek, Kuroń i Michnik.

Publikujemy fragmenty rozmowy z Krzysztofem Wyszkowskim (na zdj.), współzałożycielem WZZ, uczestnikiem strajków w Stoczni Gdańskiej w 1980 i 1988 r., którą przeprowadził Krzysztof Czabański. Wywiad ukazał się w paryskiej „Kulturze” w 1989 r.



Kiedy zaczął się proces poufnego porozumienia?

Władze ostrożnie szukały kontaktu. Wydaje się, że sam proces rozpoczął się w lipcu 1988 r. (Mazowiecki nie uczestniczył chyba jeszcze w tym wszystkim). Strajki sierpniowe postawiły ten dialog w trudnej sytuacji. Władze wycofały się, stwierdzając, że powrócą do rozmów, ale bez pistoletu strajkowego.

Udział Wałęsy w strajku zablokował przygotowane wcześniej spotkanie z Kiszczakiem. Żadna z osób uwikłanych w rozmowy z władzami nie brała bezpośredniego udziału w akcji strajkowej. Uważali, że fala jest zbyt słaba, by przełamać opór władzy, należy zatem strajki szybko zakończyć. Powstał konflikt między tą grupą a strajkującymi, którzy uważali, że strajk jest silny, może

trwać bardzo długo i może przynieść przełamanie. Wałęsa i grupa doradcza (Borusewicz, Kaczyński, Merkel, ja) zażądała spotkania z Kiszczakiem podczas strajku, ze strajkującym Wałęsą. Kiedy po wizycie Geremka w stoczni okazało się, że nie ustąpimy, władza poszła na ustępstwo. Kiszczak spotkał się z Wałęsą strajkującym, co było naszym olbrzymim zwycięstwem. Po powrocie Wałęsa powiedział, że będzie „okrągły stół”. Przedstawił zręby projektu, który dość dobrze pokrył się z tym, co podpisano osiem miesięcy później. [...]

A poufne rozmowy?

Powołanie w grudniu 1988 r. Komitetu Obywatelskiego było dowodem, że proces jest zaawansowany. KO stał się nadbudową ruchu, mającą trzymać ten ruch „w ryzach”. Ukuto formułę, że budowanie „od dołu” (do czego zawsze dążyli strajkujący) zastąpi się budowaniem „od góry” – odpowiednia elita Solidarności i opozycji będzie od góry kształtować organy związku, blokujące i racjonalizujące spontaniczne tendencje. [...]

Jak reagowali na nie członkowie Komitetu Obywatelskiego?

Wielu miało świadomość, że są kukiełkami. Godzili się z tym, wierząc, że jest to teatr pożyteczny, a poza tym byli kukłami nie pierwszy raz w życiu. [...]

Są dowody na zawarciu kontraktu przed stołem?

Wystarczy stenogram z przebiegu posiedzeń. Od początku powołano się na wcześniejsze, przedstolewe ustalenia. Pojawiały się również kwestie nowe, niespodziewane [...], ostatecznie jednak opozycja ustąpiła z większości spraw – poza legalizacją

Fot. Wojtek Lasak/East News

– a strona rządowa przeprowadziła w całości to, co prezentowała jako pakiet. Łącznie z prezydentem umówionym wcześniej, podanym na „stole politycznym” na początku rozmów. Wraz z ordynacją wyborczą do Sejmu. Zaproponowano nawet, by prezydenta wybrał obecny Sejm, a „okrągły stół” miałby go wskazać. Nasza strona w panice zaapelowała o wycofanie tej propozycji na parę tygodni. Reykowski, wycofując projekt, powiedział: „Rozumiem, że nie ma sporu o »czy«, tylko »kiedy«. Michnik z Hallem gwałtownie potakiwali głowami. [...]”

Skoro wszystko ustalono wcześniej, dlaczego „stół” trwał tak długo?

Mógł trwać, ile chciał. Tam nie było żadnego niepokoju, że coś się przedłuży. Trudności były, oczywiście, ale nie takie, by mogły rzeczywiście zagrozić kontraktowi. Porozumienie wypracowali ludzie kompetentni, później rzecz została podzielona na wiele zespołów, gdzie dominowało gadulstwo. „Okrągły stół” był dziwolągiem, więc wyszły na jaw wszystkie jego braki. Negocjatorzy niewprowadzeni w meritum polityczne zauważali w trakcie rozmów, że wszystko jest pisane palcem na wodzie. Chcieli zaczepić się o konkrety, ale władza zajmowała twarde stanowisko. Usiłowano więc zapisywać choćby jakieś szczegóły, by nie wyjść z piaskiem w rękach. [...]”

Co w czasie rozmów zaszokowało Cię najbardziej?

Kwestia prezydenta. Nie byłem wprowadzony we wcześniejsze ustalenia. Zająłem się tą sprawą i szybko okazało się, że strona rządowa ma dobrze przemyślaną koncepcję. Zapytałem nieco prowokacyjnie Reykowskiego, jak sobie wyobraża to, że marszałek Jaruzelski zostanie zaakceptowany przez naród jako prezydent, ojciec narodu? Odpowiedział, że bardzo dobrze sobie to wyobraża. Jaruzelski jest popularny, w badaniach opinii publicznej zaraz po Glempie, a Piłsudski też był kontrowersyjny. Nie obawia się – zapytałem – że sprawa

prezydentury jest rafą, o którą rozbije się „okrągły stół”? „Nie ma takich obaw” – odpowiedział. Później zaskakiwały mnie ciągle rosnące kompetencje prezydenta. Temu wszystkiemu towarzyszyło ukrywanie faktu, że tym prezydentem będzie Jaruzelski. W sprawozdaniach strony społecznej jego nazwisko nie padło ani razu. A zwyczajna uczciwość wymagała jasnego postawienia sprawy. W tej kombinacji politycznej 13 grudnia zostanie zinterpretowany jako zamach majowy. Stan wojenny jako sanacja, uśmierzenie anarchii

Kościec porozumienia został zbudowany wcześniej. Wydaje się, że sam proces rozpoczął się w lipcu 1988 r. „Okrągły stół” był teatrem odgrywanym na użytek publiczny

i powstrzymanie rozpadu państwa, które było bezrządne... Jaruzelski będzie ojcem narodu, który uratował państwo, a opozycja potwierdziła ten fakt przy „okrągłym stole” – ustalając dla niego specjalny urząd.

Czy Solidarność musiała podpisać ustalenia poszczególnych stolików, by uzyskać legalizację?

Tu była pułapka. Chciano pozalać różne sprawy, a władza wciągnęła nas w pozorne rozmowy o państwie – stworzono pozory obszernej, dwumiesięcznej debaty nad stanem państwa. Ustepliwość strony społecznej wyniknęła z istoty przyjętej metody. Reiff ostrzegał przed tym otwarciem na posiedzeniu „stołu politycznego”, mówiąc o niebezpieczeństwie zbliżania się do komunistów, że jeszcze dotychczas nikt, kto się zbliżał, nie uniknął wchłonięcia, szczególnie gdy zbliżał się metodą poufnych negocjacji, utrzymując swą bazę w nieświa-

domości, a czasami wprowadzając ją w błąd.

Czy można było nie zawierać tego przedstołowego kontraktu?

Uważam, że tak. Władza rozumie, że nie ma wiele czasu. Geremek przy stole mówił: „Zegar bije tylko dla jednej strony – dla władzy”. [...] Gdyby Solidarność opierała się wpisywaniu w system, uzyskałaby sytuację, w której władza sama chodziłaby za związkiem, by przyjął legalizację. Rachunek byłby wówczas o wiele jaśniejszy. Komuniści nie mogą już dalej rządzić sami. Muszą zgodzić się na Solidarność, ratuje ich tylko koalicja. Historycznie biorąc, powinno było dojść do porozumienia. Należało jednak spokojnie czekać, a nie ulegać presji władzy.

Jak wytłumaczyć, że tak liczne grono godnych osób reprezentujące Solidarność dało sobą – jak twierdzisz – manipulować przez Geremka, Kuronia, Michnika?

Dobrano ludzi niepolitycznych: Trzeciakowski, Kozłowski, Grabka, Kuratowska, Strzembosz, Regulski... To ludzie, którzy w dobrej wierze przyjęli – tak, jak im to powiedziano – oszałamiające perspektywy procesu, który został przez „okrągły stół” zapoczątkowany. Wyobraź to sobie. Zbiera się ich i mówi: widzicie państwo, strajki nie pomogły, wieloletnia walka nic nie dała, a my tu tyle załatwiliśmy. Zaufajcie nam, ponieważ dokonaliśmy rzeczy, wydawało się, niemożliwych. A jeżeli poprowadzimy sprawy mądrze, kompetentnie i w zespole będziemy mieli wzajemnie do siebie zaufanie, to pójdziemy tak daleko, jak nikomu się jeszcze pół roku wcześniej nie śniło. Znana teza. Wszystko to firmuje Lech Wałęsa, więc ci ludzie dobrej woli dostali swoją działkę i uznali, że muszą wszystkie siły oddać sprawie, na której się znają. To taka typowa pułapka bolszewicka, kiedy wynajmuje się speców od problemów. Ci robią swoje i wylatują na śmietnik albo stają się funkcjonariuszami grupy (jeśli zaakceptowali ducha neobolszewizmu).

Strzembosz właśnie zrobił, co do niego należało, a następnie, budząc się z ręką w nocniku, zaprotestował. Temu „ustawianiu” sprzyjał brak łączności, informacji międzystolikowej, rezygnacja z myślenia o całości. Wszyscy drążyli tylko własny problem, myśląc, że gdzieś tam na górze ci wielcy spece czuwają nad całym przedsięwzięciem.

Ipilnowali?

Można to i tak nazwać. Ale jeszcze jedno ważne spostrzeżenie. Przy wszystkich stolikach – poza politycznym – władze zachowały się właściwie tak samo, to był jeden schemat. Władza jest aparatem hierarchicznym i oni realizowali jedną dyrektywę. Po prostu rzecz przebiegała rutynowo we wszystkich stolikach. Przychodziła na posiedzenie ekipa władzy i mówiła: wspaniale, wreszcie rozmawiamy, mamy tylko jeden cel – dobro państwa i narodu, razem wypracujemy sposoby, scenariusz wyprowadzenia kraju z kryzysu, upadku. Strona społeczna składała podobną deklarację i dodawała np. przy stoliku o samorządzie lokalnym, że konieczne jest uczynienie samorządów lokalnych w pełni autentycznymi. Od tego startowano. Wszyscy byli ucieszeni. [...] Władza była ucieszona, gdyż dawno, od IX Plenum, albo od X Zjazdu, albo z innej jeszcze okazji, chciała – jak twierdziła – podobnych przemian. W miarę pracy okazywało się, że uzyskiwano masę waty i żadnych poważnych konkretów. Strona społeczna próbowała walczyć. Wreszcie robiono protokół rozbieżności i na tym się kończyło. Władza przy każdym stoliku umiejętnie podsycala nadzieję, że może coś się uda załatwić, żaden zaś ze szczególnych stolików nie czuł się w prawie, by zerwać rozmowy. Nawet biedna młodzież miała nasadzonego na sobie Andrzeja Celińskiego, który sam przejął obowiązek walki z Millerem, dzięki czemu pozbawił swoją delegację prawa głosu i wpłatał ich w podpisanie zupełnie absurdu – porozumienia. Oni, oczywiście, płakali, że uważają ten stolik za niepotrzebny dziwoląg, no ale co z tego. Podpisali, co trzeba. [...]

Czy obie strony równie silnie obawiały się „buntu mas”?

Porozumiano się w ogólnej atmosferze obawy przed „rewolucją”, która zniszczyłaby Polskę, pieriestrojkę, a cały świat pograżyła w mrokach zimnej wojny. Mówiono także, że rozsądni muszą się porozumieć, gdyż na rynku rośnie znaczenie radykalnych. Ekstremiści się tuczą. Trzeba zatem ich blokować i to zadanie władza wzięła na siebie (bijąc młodzież w Krakowie, stosując represje wobec KPN itd.), przy milczeniu strony solidarnościowej. Ale – właśnie. Poufna umowa spowodowała, że Solidarność nie mogła się odwołać do własnego zaplecza, powiedzieć, że władze oszukują, że postępują wbrew umowie itd. Istniała groźba, że władze wskażą wówczas inne elementy poufnych uzgodnień. Władza okrutnie to wykorzystała. [...]

Ale przecież może to być skutek korzystny. Sensowne pokierowanie społeczeństwem zamiast ślepego wybuchu.

Oczywiście – i to trzeba mocno podkreślić – nasi negocjatorzy zawarli porozumienie nie przeciw społeczeństwu, lecz w jego interesie. Tak jak go sobie wyobrażali. To jest cały dramat „okrągłego stołu”: ludzie, którzy zawarli ten kontrakt, zaliczają się do najbardziej patriotycznych przedstawicieli niezależnego społeczeństwa. Oni chcieli dobrze.

Można zatem tylko zastanawiać się, czy metoda, jaką przyjęli, okaże się skuteczna i jak ją oceniamy.

Uważam, że z bolszewikami należy walczyć przy użyciu metod demokratycznych. Zawsze należy bardzo dbać o kontakt z własnym zapleczem, ze społeczeństwem. Próba tworzenia partii wewnętrznej, oddzielenia wtajemniczonych od niewtajemniczonych, później odpowiednia polityka kadrowa itd. wkleła w bolszewizm. Pojawiają się wtedy dwa bolszewizmy: zły bolszewizm władzy i dobry neobolszewizm opozycji.

Ludzi nie jest tak łatwo oszukać.

Właśnie. Byłem przerażony szumem propagandowym wokół „stołu”, sądziłem, że wszyscy dadzą się oszukać.

Widziałem z bliska to, co robiono przy stole, ale inni? Okazuje się, że nic takiego nie nastąpiło. Ci, co byli daleko i nie mieli żadnych szczegółowych informacji, nie rozmawiali z Reykowskim i Geremkiem, wiedzieli równie dobrze jak ja, co się dzieje. Ludzie mają wystarczające doświadczenie. To skutecznie immunizuje wobec bolszewizmu. [...] Najbardziej jednak przygnębiała w czasie stołu atmosfera podsycana przez tamtą stronę i ochocho podtrzymywana przez naszą: oto tutaj spotkała się koalicja sił rozsądku. A ci, którzy nie są reprezentowani, są nierozsądni. Może nie to, że nie są patriotami, ale nie rozumieją dobrze dobra Polski. Oczywiście chodzi o odróżnienie od innych, nielewicowych tendencji politycznych, ale rzecz jest też poważniejsza. Mianowicie – i tu się to łączy z duchem bolszewizmu także w naszej ekipie – wytworzyła się taka atmosfera, że władza, która z natury rzeczy – jako władza namiestnicza – jest elitarną strukturą, rozmawia z elitą społeczeństwa, która zdaje sobie sprawę z tego, że społeczeństwo jest nieodpowiedzialne, niedojrzałe. Przy „okrągłym stole” złożono wiele tego typu deklaracji. Wałęsa gdzieś powiedział, że Polacy jeszcze nie dojrzeliby do demokracji. Michnik napisał, że przed Polską stoją różne rodzaje zagrożeń, m.in. zagrożenie iraniizacją. W ogóle używano wielu tego typu określeń. Sama formuła poufnych uzgodnień narzucała atmosferę. Dbano, by nic nie „przeciekło” do społeczeństwa, które może „nierozumnie zareagować”. Przywódcy Solidarności powoływali się na strajki jako źródło siły społecznej, a tymczasem rozmowy przebiegały w zupełnie innym duchu – musimy nie dopuścić do spontanicznych reakcji, nie możemy zdać się na swobodnie wyrażoną opinię publiczną. To był element zmowy przeciwko społeczeństwu. Nasza strona działała na zasadzie: zrobić coś dla niemądrego, niedojrzałego narodu, ale warunkiem powodzenia działań jest, żeby naród się nic wtrącał. Ponieważ jednak on nie potrafi się nie wtrącać, gdy coś wie, więc lepiej, by nic nie wiedział. Według starej tezy: dla Polaków można czasem coś zrobić,

z Polakami – nigdy. Ta atmosfera była dla mnie istotnym, głębokim sprzeniewierzeniem się idei Solidarności. Wydawało się, że po sierpniu 1980 r. w tym kraju nie ma nikogo, szczególnie po stronie społecznej, kto by się odważył myśleć, że społeczeństwo polskie jest niedojrzałe, że nie jest w stanie zrozumieć i zaakceptować kompromisów, konsensusów, tego wszystkiego, co nazywa się polityką realną. To odstępstwo od dobrej wiedzy o Polakach było dla mnie czymś może najbardziej przygnębiającym w czasie „stołu”.

Kto faktycznie podejmował decyzje?

Najważniejszy był Geremek. O wszystkim decydowali Michnik, Kuroń i Geremek, w pewnej fazie Mazowiecki. Ta grupa używała za zasłonę to Frasyniuka, to Bujaka, to Gila (przy ich akceptacji), którzy politycznie nie mieli nic do powiedzenia. Charakterystycznym skutkiem tej dominacji dysydentów, byłych komunistów, stał się przypadek z harcerzami Rzeczypospolitej. Kiedy dyskutowano tę kwestię, Kuroń powiedział, że ma dobre i złe doświadczenia z harcerstwem, że rozbijał je kiedyś jako komunista, tworząc czerwone harcerstwo – i nauczony tym doświadczeniem jest przeciwny dzieleniu. Było to tak absurdalne, że jedynie fakt, że mówił to znany z absurdów politycznych człowiek, tłumaczył tę wypowiedź. Władza podchwyciła tę kwestię, zapytała, czy może wypowiedź Kuronia potraktować jako opinię strony opozycyjno-solidarnościowej. Na to Geremek powiedział, że w każdym razie można uznać, że nasza strona jest przeciwna dzieleniu młodzieży – i oczywiście harcerstwo Rzeczypospolitej padło.

To dobry przykład skutków dominującej roli ludzi niereprezentatywnych dla związku i społeczeństwa. Ci ludzie zmienili poglądy, ale nie zmienili metod uprawiania polityki. Te, które stosują, są bolszewickie. Ten nastrój koalicji lewicy, kiedy Geremek oświadcza, że ma nadzieję, iż słowo „socjalizm” odzyska swój blask. Wspólna władzy i „opozycji stołowej” obawa przed zagrożeniem populi-

styczno-nacjonalistycznym, przed zdziçałym społeczeństwem, które czyha tylko, by ten kraj rozwalić, były oburzające. Dziwiła obecność Olka Halla, który słuchał spokojnie tego wszystkiego, uznając widocznie, że w tym procesie (na który nie ma żadnego wpływu) uchowa na boku swojego prosiaczka.

Udział ludzi nienależących do jaćejki – Halla, Króla – a biorących udział w tej farsie, uważam za szczególnie nieodpowiedzialny politycznie. Głównie dlatego, że wszystkie inne osoby, mające krytyczne zdanie o „stole”, przesunęło to automatycznie na pozycje niekonstruktynne – niezrozumienia interesu narodowego i racji stanu. Obecna ekipa kierownictwa Solidarności dzięki „przyklejeniu się” do władzy stała się monopolistą w związku, zdobyła wyjątkową pozycję. Tym ludziom wydaje się – być może – że uratowali kraj. Kuroń, Geremek, Michnik, nawet Hall wielokrotnie mówili, że czeka nas rewolucja, a na to nie możemy sobie pozwolić, musimy zastosować model ewolucyjny, a ten model to właśnie to, co uzgadniamy. Między rewolucją a ewolucją jednak, taką, jaką tutaj przygotowano, jest jeszcze wiele stopni pośrednich. Strajki są małymi rewolucjami i okazują się bardzo skuteczne: rezygnacja z nich na rzecz ciągłej, spokojnej ewolucji jest iluzją. Myślę, że krzyczenie o rewolucji, wojnie domowej i innych kataklizmach, które pogrążą Polskę na kilkadziesiąt lat, było samousprawiedliwianiem się. Można było twardo czekać, nic rezygnując z porozumienia.

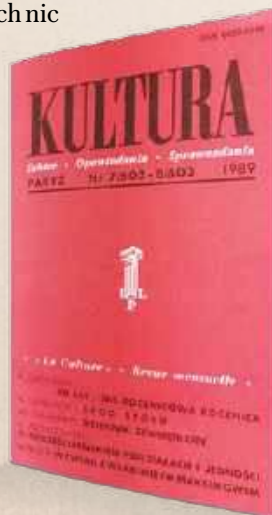
Z grupy ludzi niemających nic do powiedzenia wybijał się jedynie Siła-Nowicki, który parokrotnie dramatycznie zabierał głos, ostrzegając i krytykując znowę. Ale nie miało to żadnego znaczenia.

Może całość pertraktacji z natury rzeczy wymaga poufności, działań zakulisowych? Może działacze Solidarności nie byli figurantami?

Bujak, Lis i inni nie mają własnego oblicza politycznego ani żadnego znaczenia. To są ludzie dyspozycyjni – i wszyscy, łącznie z nimi, o tym wiedzą. Zachowują się biernie, dostosowują do wymagań. Zapytałem jednego z takich figurantów po którymś spotkaniu w Magdalence: „Co sądzisz o ustaleniach o prezydencie?” „Zachowałem się tak, jakbym złożył votum separaturne w stosunku do tych decyzji”. „A złożyłeś?” „Nie. Przecież jesteśmy zespołem”. Itd., itp. Człowiek, który odważyłby się zaprotestować, byłby wykluczony i okrzykany jako nielojalny wobec zespołu negocjującego. A tu otwierały się podwoje wielkiego świata. Milczeli albo wycofywali się. Inny z jeżdżących do Magdalence powiedział mi, że niemal wpadł pod stół, kiedy usłyszał, o czym się tam mówi. Ale nie zaprotestował, obawiając się wykluczenia. [...]

Rozgłoszenie zachodnie skrzętnie pomijały sprawy niewygodne, które mogłyby wyrzucić „okrągły stół”.

To prawda, że Europie szczerze zależy na pozytywnych przemianach w Polsce. Jednak nie będzie ona dbała w szczegółach o autentyczność tego procesu. To jest zadanie Polaków. Więc jeżeli Polacy godzą się na pozorne zmiany, to tym lepiej. Oby tylko szybciej. A przecież to zainteresowanie Europy należało przekuwać na presję na władzę. Oczywiście na stronie społecznej spoczywa odpowiedzialność polityczna, zwłaszcza w tym sensie, że nie można dopuścić do wojny domowej, ale poniżej tego punktu jest jeszcze wielkie pole, które oddano Europie i ZSSR do dyspozycji, nie wykorzystując go. Przykładem jest Piłsudski, który ponad oklaski świata przedkładał interes narodowy. To, że Wałęsie prezentowano szablę i grano jakąś muzykę w Paryżu, nie jest wskaźnikiem poważnego traktowania Polski przez Mitterranda. Należy unikać pozorów i zgody na pozory. [...]



K

ULTURY

Aktor? Muzyk?
Reżyser? Malarz?
Przede wszystkim
artysta. W serialu HBO
„Malowanie z Johnem”
filtrem dla jego
twórczych i życiowych
doświadczeń są obrazy.
Kim jest John Lurie?

Od jazzu do obrazów



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Jest w tym projekcie zarazem bohaterem i odtwórcą głównej roli, autorem ścieżki dźwiękowej, komentatorem i reżyserem. Produkcję serialu „Malowanie z Johnem” (który na kanale HBO można oglądać od 4 lutego) oznaczono na rok 2021. John Lurie wchodzi w ten czas z własną plastyczną wizją, muzyką i refleksją.

Znad akwareli, które tworzy w domowej pracowni, dzieli się zarówno uwagami dotyczącymi doskonalenia technik malowania, jak i rozważaniami na temat ludzkiej kondycji – zderzenia artysty i człowieka z przełomowymi doświadczeniami życia, ale też wyzwaniem dnia codziennego.

Każdy z odcinków z osobną (jak i całość projektu) jest zachętą do indywidualnej kreacji, otwarcia się na tworzenie i niekalkulowaną dziecięcą radość.

Z NOWOJORSKIEJ BOHEMY

Urodził się 14 grudnia 1952 r. w Minneapolis. Jako 22-latek trafił do Nowego Jorku, występował na ulicach i w klubach, wiążąc się z ówczesną sceną podziemia muzycznego. W 1978 r. założył z bratem jazzową grupę The Lounge Lizards. Przez dwie dekady tworzył w niej i grał (włączając swoje solo na saksofonie). W tym czasie dorobił się 22 płyt i stworzył muzykę do ponad 20 filmów, m.in. obrazów Jima Jarmuscha, takich jak „Inaczej niż w raju”, „Poza prawem” (w których stanął również przed kamerą) czy „Mystery Train”.

W pierwszej połowie lat 90. zdobył popularność jako twórca i bohater serialu „Fishing with John”. Nie znając się na łowieniu ryb, oddał się tej pasji, namawiając do niej również swoich sławnych przyjaciół. Poza Jarmuschem m.in. Willema Dafoe, Matta Dillona i Dennisa Hoppera.

Gdy zniknął nagle ze sceny i ekranu, pojawiło się wiele spekulacji doty-



czących przyczyn jego nieobecności. Wkrótce się okazało, że rezygnował z muzyki i aktorstwa z powodu choroby – wyjątkowo ciężko przechodzonej boreliozy. Zajął się malarstwem, a właściwie – jak podkreślał w wypowiedziach – powrócił do uprawiania tej dziedziny sztuki, którą interesował się już wcześniej.

ZACHĘTA DO MALOWANIA

W latach 90. jako muzyk wystąpił dwukrotnie w warszawskiej Sali Kongresowej. W połowie 2015 r. ponownie odwiedził stolicę Polski. Tym razem w związku z wystawą otwartą w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki zatytułowaną „Próbuję myśleć. Proszę, bądź cicho”.

Zaprezentował na niej swoje malarzkie prace (ale z towarzyszeniem programu muzycznego). W materiałach Zachęty poświęconych ekspozycji pojawiła się m.in. taka charakterystyka malarzkiej twórczości Luriego.

„W malarstwie tym (...) można odnaleźć znaną nam postać artysty, operującą ironicznym, absurdalnym, a czasem wisielczym humorem. Jego twórczość malarską łączy estetyczne podobieństwo z muzyką – oparta na improwizacji i spontaniczności, jest jednocześnie prowokacyjna i niepokojąca (...). Czuje się jednak, że to sztuka bardzo osobista, że pod barwną, zabawną powierzchnią i prowokacyjnym żartem kryje się inny ton – przesycony humanizmem zadumy, szczerzej i bardzo poważnej. Utrwalony w zbiorowej pamięci wizerunek Johna Lurie – dandysa związanego nierozzerwalnie z Nowym Jorkiem –

wyduje się klócić z jego malarstwem, w którym to kondycja ludzka i natura, a nie miasto znajdują się na pierwszym planie”.

DOTRZEĆ DO SEDNA

Po raz pierwszy Lurie wystawił publicznie swoje obrazy w 2004 r. Od tamtej pory był zapraszany do wielu cenionych galerii na świecie. Jego prace włączyło do swojej kolekcji m.in. nowojorskie Museum of Modern Art.

Sześć lat temu, w rozmowie przeprowadzonej dla Zachęty, stwierdził: „Gdybym nie zajmował się wcześniej muzyką, dużo więcej czasu zajęłoby mi dotarcie do sedna tego, co robię w malarstwie. Do sposobu rozróżniania, co jest w pracy prawdziwe. Dzięki temu można też stać się odważniejszym. Nie bać się podjęcia pewnej gry i traktowania malarstwa z rodzajem kontrolowanego zaniedbania. Czasem pracuję z akwarelami w ten sposób, że używam dużo wody – wtedy rzeczy dzieją się przypadkowo. Przez to, że tak długo grałem muzykę improwizowaną, potrafię uchwycić coś, co pojawia się tylko na chwilę. Stałem się biegły w łapaniu rzeczy w locie”.

Pytany o „doświadczenie w obszarze sztuk wizualnych”, odpowiedział: „Jak większość ludzi zacząłem [rysować] w wieku dwóch lat i [...] nigdy nie przestałem. [Gdy] zachorowałem na zaawansowaną postać boreliozy w 2002 r. i przez lata byłem uwięziony w mieszkaniu [...] znów zacząłem malować. Ale zajęło to kilka lat [...] zanim malowanie stało się tym, czym wcześniej była dla mnie muzyka”.

Smaki Johna Lurie’go na str. 74

Epidemia COVID-19 spowolniła rozwój Twojej firmy?
Grozi Ci utrata płynności finansowej?
Pojawiły się problemy z wypłatą wynagrodzeń dla Twoich pracowników?

W ofercie **Agencji Rozwoju Przemysłu S.A.** w ramach **Tarczy Antykryzysowej** znajdziesz szereg instrumentów finansowych, które pomogą przywrócić Twojej firmie stabilność:

- pożyczkę obrotową na finansowanie deficytu w kapitale obrotowym z karencją w spłacie;
- pożyczkę obrotową na finansowanie wynagrodzeń w segmencie MŚP z karencją w spłacie;
- refinansowanie umów leasingów środków transportu ciężkiego i autobusów z karencją w spłacie;
- leasing zwrotny i odtworzeniowy maszyn i urządzeń z karencją w spłacie - #MASZYNERIA.

Szczegóły na: <https://www.arp-tarcza.pl/>

Twoją firmę czeka żmudny proces restrukturyzacji?
Boisz się utraty płynności finansowej?
A może nie wiesz od czego zacząć?

Skorzystaj z koordynowanego przez **Agencję Rozwoju Przemysłu S.A.** programu pomocy publicznej **Polityka Nowej Szansy**. W ramach współpracy możesz liczyć na:

- ratowanie Twojego przedsiębiorstwa;
- tymczasowe wsparcie restrukturyzacyjne;
- pomoc w restrukturyzacji.

Szczegóły na: <https://www.arp.pl/uslugi-finansowe/polityka-nowej-szansy>



Grupówka z twinkami

Do 2015 r., przez 17 lat, jeździłem po Polsce z wykładami, gdyż moje wyraziste poglądy nie pozwalały na wyżywienie ośmioosobowej rodziny – często nie było dla mnie pracy w branży. Jeździłem również do liceów, dawałem rekolekcje, przekonywałem m.in. do zdroworozsądkowych zachowań w sprawach takich jak współżycie przedmażeńskie czy nienaturalności aktywności homoseksualnej. W dużych miastach – zapamiętałem Poznań i Wrocław – najczęściej w dobrych i bardzo dobrych liceach spotykałem się z potężnym oporem. W dyskusjach celowały dziewczyny, które skrajnie emocjonalnie broniły lewicowych poglądów na te sprawy. Dziś te dziewczyny na ulicach chwala się aborcjami, wyrzucając z siebie zakumulowany gniew, nie wiedząc, ponieważ ich ideologia wyklucza naukę, że jest to przejaw autoagresji, będącej częścią syndromu poaborcyjnego.

W rozmowach z kapłanami pojawiał się też wątek homoseksualny. Szczególnie uderzyła mnie wypowiedź kapelana najlepszego liceum w Poznaniu. Mówił on, że modne są w nim poliamoryczne zachowania starszych uczniów, w tym biseksualizm. Chłopcy szpanują tym, że na jednej imprezie łądają w łóżku z dziewczyną, a tydzień później z chłopakiem.

Przypomniało mi się o tym, gdy przeczytałem w materiałach poznańskiej Grupy Stonewall takie oto wyznanie: „To jest naprawdę grupówka na poziomie, w pięknym apartamencie. Wielki salon z kanapą, gdzie w różnych konfiguracjach chłopcy uprawiają seks. Jest duży przeszklony prysznic, więc ci, którzy akurat chcą się umyć, są widoczni dla reszty uczestników. Te grupówki mają zresztą różną tematykę. Raz na przykład są same twinki”.

„Twink” to w języku ideologii i propagandy LGBT młody, kilkunastoletni chłopiec.

„Problemem dla niektórych może być raczej to, że Poznań to miasto średniej wielkości, z dużą, ale jednak skończoną liczbą gejów. – Miałem kolegę, który miał zwyczaj umawiać się na trzy randki dziennie w niewielkich odstępach czasu i po jakimś czasie stwierdził, że musi poszerzyć pole działania o resztę Polski, bo w Poznaniu to już wszystkich zaliczył”.

Seks grupowy pod wpływem narkotyków i alkoholu jest powszechnym standardem w środowisku LGBT – powiedział kilka miesięcy temu w jednym z wywiadów były prezes Stonewall Arkadiusz Kluk.

Grupa Stonewall to największa w Poznaniu i Wielkopolsce organizacja lobująca na rzecz ideologii LGBT, która zajmuje się m.in. „edukacją” seksualną. Lobbyści wydali właśnie, za pieniądze z budżetu miasta, broszurę pt. „Poznań w kolorach tęczy”. Publikacja otwarcie opisuje orgie homoseksualne z udziałem młodych chłopców.

W połowie 2020 r. Grupa Stonewall otrzymała od Urzędu Miasta Poznań kolejne dofinansowanie ze środków publicznych na projekt pt. Stonewall TV, w którego ramach na YouTube tworzone są poradniki do „edukacji” seksualnej. W ramach tego cyklu powstały m.in. poradniki na temat: „Czy seks analny musi boleć?”, „Jak zrobić lewatywę przed seksem analnym?”, „Jak zadebiutować w seksie męsko-męskim?”.

Dlaczego homoseksualiści tak usilnie walczą o dostęp do młodzieży? Dzieje się tak, ponieważ nie istnieje gen homoseksualizmu. Przeprowadzono międzynarodowe badania, które objęły analizą genetyczną blisko 0,5 mln osób – ich wynik jest negatywny.



ROBERT TEKIELI

Gerard van den Aardweg, terapeuta i naukowiec od dziesięcioleci badający naturę homoseksualizmu, tłumaczy, że pożądanie osób tej samej płci jest dość złożoną chorobą: „Pod względem emocjonalnym homoseksualni mężczyźni i kobiety są sfrustrowanymi nastolatkami z kompleksem niższości. Kierują się egocentrycznymi, erotycznymi, infantylnymi tęsknotami za sympatią, przyjaźnią osób tej samej płci, ale z poczuciem, że one nie mogą być spełnione.

Im bardziej oddają się swoim fantazjom, tym bardziej karmią swój kompleks niższości oraz związaną z nim tendencję do użalania się nad sobą i popadania w uzależnienie od swoich niespełnionych namiętności. W efekcie ich seksualność staje się niedojrzała i obsesyjna. Jest to w istocie neurotyczna fiksacja na punkcie niedojrzalej miłości własnej.

Im bardziej człowiek oddaje się takim fantazjom i iluzorycznym uczuciom, tym bardziej koncentruje się na sobie samym, popada w samolubstwo i tym mniej ma zdolności, by naprawdę kochać innych”.

Tendencja homoseksualna ma zatem charakter neurotyczno-psychiatryczny, nie – genetyczny, a wprowadzona w praktykę prowadzi do uzależnienia.

Z nieistnienia genu homoseksualizmu wyciągnięto wnioski. Wobec skończonej liczby gejów „edukatorzy seksualni” muszą werbować nowych wśród młodzieży. Nabieranie doświadczenia w gejowskim seksie analnym – to właśnie jeden z celów tak zwanej edukacji seksualnej, która forsowana jest obecnie w Polsce. Oni nie kryją już swoich zamiarów. Co powinniśmy z tym zrobić?



którzy przeszli już granicę śmierci. Film otrzymał dwa Oscary za najlepszą piosenkę i w kategorii najlepszy długometrażowy film animowany. „Coco” nie był przez jakiś czas dostępny na HBO, ale serwis go znów przywrócił, więc obejrzymy ten obraz, w którym główny bohater musi wybierać między przywiązaniem do rodziny a życiową pasją. Tym bardziej że ma on zupełnie niebajkowe, nieoczywiste zakończenie.



Zobaczmy Trwają prace nad czwartą częścią „*Matrixa*”. W roli Neo zobaczymy Keanu Reevesa. Powróci również Carrie-Anne Moss jako Trinity. Premiera filmu zaplanowana jest na 21 marca. Studio filmowe Warner Bros. zapowiada, że nowa część „*Matrixa*” trafi zarówno do kin, jak i na platformę streamingową HBO Max.

Wkrótce również, i to na tej samej platformie, będzie premiera filmu „*Godzilla kontra Kong*”. Zagrają m.in. Alexander Skarsgård („*Tarzan: Legenda*”), Millie Bobby Brown („*Stranger Things*”), „*Enola Holmes*”) i Rebecca Hall („*Vicky Cristina Barcelona*”). Data premiery w Polsce według Warner Bros. została ustalona na 17 marca.

Netflix za to szykuje pierwszą z zapowiadanych wielu produkcji w uniwersum Andrzeja Sapkowskiego. „*The Witcher: Blood Origin*” będzie historią umiejscowioną 1,2 tys. lat przed Geralem z Rivii. Zobaczymy świat w erze elfów oraz historię pierwszego wiedźmina. Główną rolę otrzymała Jodie Turner-Smith („*Nightflyers*”). Andrzej Sapkowski pełni funkcję konsultanta kreatywnego



Warte Inny film wart zobaczenia, tym razem na HBO, to „*Coco*”, prawdziwy hit Disneya i studia Pixar, być może największy ostatnich lat. Miał premierę już w 2017 r., jednak nie cierpimy na nadmiar produkcji, które mogą bawić zarówno dzieci, jak i dorosłych. Ciekawe jest, że „*Coco*” opowiada historię o świecie duchów w sposób nietoksyczny. To rzadkość w dzisiejszych postnewage'owych czasach, gdzie odgrzewane opowieści o dawnych wierzeniach przybierane są prawie zawsze w okultystyczną otoczkę. Film pokazuje świat zmarłych widziany oczami dziecka, Miguela, w perspektywie wierzeń Meksykanów. Jest to wzruszająca opowieść o sile rodzinnej miłości dla każdego, również tych,

Robert Tekieli
Polskie Radio



Po co wam ten Zachód?



Internet/telewizja

Przyszliśmy tu, by was obro-
nić. Po ch... wam ten Za-
chód? Tyle nas łączy. Jeste-
śmy braćmi. Jednej wiary. Puścilibyś
swojego najmłodszego syna samego do
lasu? Nie, bo wilki by go zjadły. I my
was nie puścimy. Bo was kochamy. Ko-
chamy na zabój. Nie puścimy". Słowa
rosyjskiego generała, pijącego wódkę
przy gruzińskim stole we wsi Shindisi,
mówią wszystko o rosyjskim imperiali-
zmie. Mówią wszystko o rosyjskiej pro-
pagandzie usprawiedliwiającej ataki na
takie kraje jak Ukraina czy Gruzja. „Po co
wam ten Zachód, skoro jesteście naszymi
braćmi?” – to oficjalna wykładnia diabel-
skiej przewrotności Władimira Putina.

Shindisi to wioska niedaleko Tbilisi,
gdzie w 2008 r. mieszkańcy zaopieko-
wali się rannymi żołnierzami gruziń-
skiej armii. Z 22-osobowego oddziału,
który stoczył bitwę z rosyjskim agre-
sorem nieopodal wioski, przeżyło
tylko pięciu żołnierzy. O tym jest film
Dito Tsintsadzego, który w 2019 r. wy-
grał Warszawski Festiwal Filmowy.
W końcu trafiła do dystrybucji. Szkoda,
że wciąż jest to dzieło tak słabo znane
i na razie dostępne tylko na jednej plat-
formie streamingowej.

Nie tylko dlatego, że „Shindisi” to
kawał świetnie nakręconego kina

wojennego. Trwająca prawie 20 min
bitwa Gruzinów z Rosjanami nie ustę-
puje naszpikowanym dolarami scenom
bitewnym z kina hollywoodzkiego. Ba,
ten film ma nad nimi przewagę, bo
Tsintsadze rezygnuje z trików w postaci
teledyskowego montażu i nadmiaru
efektów specjalnych. Jest surowo, bru-
talnie, a śmierć jest namacalna. Bez pu-
dru, zbędnego patosu, ale też estetyzacji
przemocy, tak modnej w dzisiejszym
kinie wojennym. Gruzini film przy-
pomina też znakomity zeszłoroczny
netflixowy „Mosul”, który zabrał nas
wprost do irackich ruin. O wiele waż-
niejsze jednak w „Shindisi” jest to, co
dzieje się po bitwie, gdy kilku rannych
żołnierzy trafia do pobliskiej wioski, co
chwila patrolowanej przez Rosjan.

Tsintsadze kreśli obraz społeczności,
mieszając z sobą postacie prawdziwe
i fikcyjne, które mają symbolizować
opór Gruzinów wobec rosyjskiej agre-
sjii, o której świat szybko zapomniał.
Nie rezygnuje przy tym z osobistego
wymiaru filmu. Jednego z żołnierzy
gra przyjaciel poległego żołnierza
z bitwy niedaleko wioski. Poruszający
jest wątek umierającej na raka kobiety
i opiekującego się nią mężczyzny. Biorą
ślub, na którym pojawiają się rosyjscy
okupanci. Muszą z nimi pić wódkę przy

jednym stole. Muszą ich przyjąć, czego
wymaga gruzińska gościnność. W klu-
czowej scenie weselnej postępowanie
mieszkańców wsi ma jednak drugie dno.
Razem z duchowieństwem realizują
plan wywiezienia rannych żołnierzy
z oblężonej przez Rosjan miejscowości.
Tsintsadze pewnie trzyma reżyserskie
lejce nie tylko w scenach batalistycz-
nych. Umiejętnie buduje i potem pod-
trzymuje napięcie, rozciągając je mię-
dzy obrazem rosyjskiej okupacji i ukazanie,
czym jest „gruzińska dusza”. Robi to
wszystko bez napuszenia czy ideologi-
zacji. Jego film ma często wymiar para-
dokumentalny, a jednocześnie reżyser
nigdy nie traci poczucia swojej misji. On
chce światu przypomnieć o tym, co się
dzieje w Gruzji 11 lat po agresji putinow-
skiej Rosji. Od tego czasu zajęto Krym
i część Ukrainy. W imię pytania: „Po co
wam ten Zachód?”.

„Shindisi” dowodzi, że niepotrzebne
są wielkie hollywoodzkie produkcje, by
opowiadać światu o własnych proble-
mach. W 2010 r. Gruzini współfinan-
sowali film „5 dni wojny”. Wynajęto
fachurę od kina akcji Renny’ego Har-
lina („Szklana pułapka 2”, „Na krawę-
dzi”), obsadzono gasnące, ale wciąż
znaczące gwiazdy, jak Andy Garcia
i Val Kilmer. Efekt? Film dostał słabe
recenzje i został zupełnie niezauwa-
żony w USA. Harlin, choć urodził się
w Finlandii i wie, czym jest zagrożenie
rosyjskim imperializmem, nakręcił
przeciętny film sensacyjny, w którym
gruzińska wojna była tłem do uni-
wersalnej opowieści o trudach pracy
reportera wojennego. Tsintsadze wie
natomiast, jakie struny pociągnąć, by
pokazać światu istotę rosyjskiej agresji
i specyfikę gruzińskiego oporu. Jest to
wiarygodne od pierwszej do ostatniej
minuty filmu. Najmocniejsza bomba
emocjonalna czeka nas przy końco-
wych napisach, gdy widzimy orygi-
nalny obraz z kamery VHS. Nakręcony
przez jednego z żołnierzy, który kilka
godzin później poległ z towarzyszami
od ruskich kul. Dzięki niemu ten su-
rowy i paradokumentalny film nabiera
metafizycznego ukąszenia.

„SHINDISI” DOSTĘPNY NA HBO GO

Piękno na amerykańskich bagnach



VoD

Niecierpliwie czekam na premierę kinową „Amatorów” Iwony Siekierzyńskiej. Film ma znakomitą obsadę na czele z Wojciechem Solarzem, Anną Dymną czy Małgorzatą Zajączkowską, ale to aktorzy z teatru BRO grają w nim pierwsze skrzypce. Są to aktorzy z zespołem Downa. W niepełnosprawnych ludzi wcielają się niepełnosprawni. Nie grają. Są sobą i przepelniają ekran swoją energią. To bardzo ważne, że są pokazani jako ważna część naszego społeczeństwa. Inkluzywnej wspólnoty (o ile ta pozwoli im się urodzić), która przyjmuje niepełnosprawnych ludzi do swojego grona. Siekierzyńska nie jest pierwsza w pokazaniu, że życie osoby z zespołem Downa jest wartościowe. Również dla najbliższego otoczenia i wspólnoty.

W zeszłym roku przemknął trochę niezauważony u nas film „Sokół z masłem orzechowym”. Teraz można go w końcu zobaczyć w serwisach VOD. Tematyka zespołu Downa w kinie się pojawiała wcześniej („Ósmy dzień”, „Girlfriend”, „Ja też”), ale dopiero za sprawą obrazu z czołowym rozrabiaką Hollywood Shia LaBeoufem w głównej roli temat ten tak mocno wybrzmiał.

Zak (Zack Gottsagen) ma jedno marzenie. Chce osobiście poznać dawną gwiazdę wrestlingu o wdzięcznej ksywce Redneck z Salt Water (Thomas Haden Church). Codziennie ogląda jego walki na kasetach VHS. Zak ma zespół Downa. Porzucany przez rodziców, mieszka w domu starców. Nigdzie indziej opieka społeczna nie znalazła dla niego miejsca. Jego jedynym przyjacielem jest Carl (Bruce Dern), który pomaga mu pomyślowo uciec z ośrodka. Zak ukrywa się na łodzi Tylera (Shia LaBeouf). Ten ucieka przed zemstą brutalnych rybaków, którym przez brak pozwolenia na połów skorupiaków kradł sieci. Tak zaczyna się historia dwójki outsiderów, których tropem będą podążać nie tylko pragnący krwi rybacy, lecz także opiekująca się Zakiem wolontariuszka Eleanor (Dakota Johnson).

„Sokół z masłem orzechowym” to archetypiczne kino drogi, zbudowane ze wszystkich żelaznych elementów gatunku. Nieufność musi się przerodzić w przyjaźń, a w sercach nastąpić przemiana. Dlaczego więc film Tylera Nilsona i Michaela Schwartza nie drażni schematycznością? Dlatego, że jest to kino szczere. Ta podnosząca na duchu historia nie jest grana

na ani jednej wyrachowanej nucie. Ba, dobry duch tego filmu wyszedł podobno poza ekran. LaBeouf przekonywał w wywiadach, że Zak zmienił jego podejście do świata i własnego życia. Nie wiem, czy tak jest, bo dziś LeBeouf jest oskarżany o przemoc wobec swojej partnerki. Niemniej jednak zawodowo poszedł w ciekawe rejony, zapoczątkowane w „Nimfomance” Larsa von Triera. Nie zobaczymy go już w „Transformers”, ale właśnie w mocnym społecznym kinie jak „Sokół...” czy dostępnym od kilkunastu dni na Netflixie wstrząsającym filmie „Części kobiety”. Ważne jest jednak to, że w „Sokole...” nie skupiamy się tak mocno na roli LeBeoufa. Dlaczego? Ano dlatego, że Zack Gottsagen to aktor z zespołem Downa.

Nie jest więc „Sokół z masłem orzechowym” drugim „Rain Manem”, „Moją lewą stopą” tudzież polskim „Chce się żyć”, gdzie niepełnosprawnego gra pełnosprawny aktor. Zak jest rozbijający w swojej roli. Jest wiarygodny, szczery i potrafi oddać zarówno smutek chłopaka, jak i jego radość życia. Z LaBeoufem tworzą magnetyczny duet. Nie tylko doskonale się dopełniają, lecz dzięki ekranowej chemii wyciągają najlepsze elementy z postaci.

Jest to opowieść o życiu z piętnem inności. Jest to też uniwersalna opowieść o pędzie ku wolności i potrzebie rozwinięcia skrzydeł. Zak ucieka z klatki, gdzie ma opiekę systemu, bo nie chce być wiecznie traktowany jako wymagający specjalnej troski „przygłup”. Tyler pokazuje mu, na czym polega życie w drodze, gdzie nic poza poczuciem wolności się nie liczy. Pokazuje mu też, że inność nie oznacza bycia gorszym. Drobnym cwaniaczek sam też potrzebuje przemiany. Rozrywa go strata bliskiej osoby i wyrzuty sumienia. Spokój ducha dostaje, trafiając na Zaka. Również Eleanor dostrzega, że wybawienie często leży daleko poza ciasnymi ramami biurokratyzowanej pomocy.

Nie przez przypadek akcja filmu rozgrywa się na głębokim południu USA. Skwar, bagna, gospel i country kierują opowieść na tory bardziej społeczne. Do tego pojawia się wątek oczyszczającej z winy wody i ślepiec mówiący o Jezusie. Istota głębokiego Południa. Piękna to opowieść. Zbyt mało jest takich dziś w kinie.

**„SOKÓŁ Z MASŁEM ORZECHEWYM”
DOSTĘPNY W SERWISACH VOD**

Niezrozumiałe i nieuzasadnione ograniczenia nie są skuteczne

Wprowadzane w czasie epidemii COVID-19 zakazy, obostrzenia i przepisy muszą być dla obywateli zrozumiałe – tylko to gwarantuje bowiem ich przestrzeganie. Nawet jeśli mamy zamknąć się w domach, jak na wiosnę 2020 r., musimy wiedzieć, na jakiej podstawie rząd wprowadza takie zasady. Tak brzmi jeden z wniosków debaty „Gazety Bankowej”, w której eksperci podzielili się swoimi spostrzeżeniami na temat skutków lockdownu

Wiemy, że ze skutkami społecznej i gospodarczej kwarantanny będziemy się mierzyć przez wiele lat. Gdy mówimy o zdrowiu – problemy związane z brakiem ruchu, aktywności fizycznej dotkną nas i wpłyną też na gospodarkę. Jak? O tym m.in. dyskutowali uczestnicy debaty zatytułowanej „Jak zadbać o zdrowie społeczeństwa w czasach pandemii?”. W dyskusji wzięli udział wiceminister Sławomir Gadomski (podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia), dr hab. n. med. Mariusz Gujski (dziedzinca Wydziału Nauk o Zdrowiu, Warszawski Uniwersytet Medyczny), dr Małgorzata Gałązka-Sobotka (dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia, dziedzinca CKP Uczelni Łazarskiego), dr hab. n. o zdr. Grzegorz Juszczak (dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny) oraz dr hab. Ernest Kuchar (specjalista chorób zakaźnych, lekarz sportowy).

Czas pandemii to sprawdzian dla ochrony zdrowia i zdrowia publicznego. Czy po zamknięciu Polaków w domach możemy się spodziewać wzrostu liczby zachorowań na choroby cywilizacyjne, takie jak otyłość, cukrzyca czy depresja? Izolacja społeczna, zmiana trybu życia, niemożność prowadzenia normalnej aktywności fizycznej (zamknięte obiekty sportowo-rekreacyjne, w tym popularne wśród Polaków siłownie i kluby fitness) to wszystko może prowadzić do znacznego pogorszenia zdrowia Polaków. Z jednej strony resort zdrowia stawia na profilaktykę i edukację w zakresie zdrowego trybu życia, z drugiej mamy wciąż zamknięte obiekty sportowo-rekreacyjne, od dostępności których zależy zdrowie Polaków. Programy prowadzone permanentnie przez Ministerstwo Zdrowia wskazują na to, że cukrzyca, choroby nowotworowe, dieta są w obszarze stałego zainteresowania ochrony zdrowia. Czy należą do nich również ruch i aktywność fizyczna?

– W czasie, gdy resort zdrowia zajmuje się gigantycznymi wyzwaniami związanymi ze skutkami pandemii, temat tej debaty może wydać się banalny. Nic bardziej mylnego. Wydaje mi się, że zbyt często zapominamy o rzeczach fundamentalnych, związanych z ruchem, zdrową dietą, unikaniem czyn-

ników ryzyka. Choć mówimy o tym powszechnie i notorycznie, ciągle ten przekaz nie jest słyszalny tak, jak byśmy tego oczekiwali

– mówił minister Sławomir Gadomski. – Oczywiście czas pandemii utrudnia aktywność fizyczną – to proste powiedzieć, że teraz jest trudniej. Ale chciałbym postawić taką tezę, że może to właśnie najlepszy czas, żeby skierować naszą uwagę na najmłodszych. Widzimy, że odsetek dzieci i młodzieży z nadwagą i otyłością w czasie pandemii niepokojąco wzrósł, niektóre badania mówią nawet o 5–10 proc. wzrostu średniej masy ciała. Straciliśmy, jak dorośli, wiele rozrywek, wiele możliwości spędzania czasu poza domem... Przenieśmy tę aktywność na czas spędzany z dziećmi. Mam nadzieję, że rodzice, dorośli wykorzystają ten czas na aktywność wspólnie z najmłodszymi, abyśmy zachowali pewien balans.

Minister Gadomski jako dobre „zachęty” do takiej edukacyjnej pracy z najmłodszymi wymieniał programy prowadzone przez resort zdrowia. To choćby Narodowy Program Zdrowia, Narodowa Strategia Onkologiczna, która bardzo silnie akcentuje właśnie edukację prozdrowotną, zdrowie odżywianie, zdrowy tryb życia... To także zmiany w przepisach służące twardej profilaktyce – zwiększenie akcyzy i tzw. podatek cukrowy.

– Bardzo wierzę, że w najbliższych latach Ministerstwo Zdrowia skieruje swoją aktywność na obszar zdrowia, a nie chorób. Bardzo bym chciał, by było to ministerstwo zdrowia, a nie jedynie chorób i leczenia – mówił wiceminister zdrowia.

Czy możemy się spodziewać, że wkrótce ruch będzie zapisywany przez lekarzy na receptach? Może to czas, żeby jasno powiedzieć – ruch to nie rozrywka, to obowiązek.

– Aktywność fizyczna i styl życia będą w największym stopniu decydowały o możliwości zachowania kapitału



zdrowia, z którym większość z nas się rodzi... Potrafimy doskonale zadbać w życiu o inne „kapitały”, jesteśmy w wielu dziedzinach doskonałymi inwestorami, ale w przypadku zdrowia nie zdajemy egzaminu – mówiła dr Małgorzata Gałązka-Sobotka.

– Nie ma wątpliwości, że to my jesteśmy menedżerami zdrowia. Choć narzekamy, że słabość naszego zdrowia to efekt gorzej zorganizowanego systemu ochrony zdrowia, dowody naukowe pokazują, że w największym stopniu o naszym zdrowiu decydujemy my sami i nasze wybory. Znaczenie mają oczywiście także uwarunkowania społeczno-ekonomiczne, np. wykształcenie, miejsce zamieszkania, dochód, którym dysponujemy. Nie ma też wątpliwości co do tego, że instytucje, polityka państwa mogą nam w tym pomóc, wzmacniać szanse na skuteczne dbanie o zdrowie i niwelowanie różnic. Warto wspomnieć, że oprócz aktywności fizycznej i zdrowego trybu życia oraz odżywiania znaczenie ma choćby jakość środowiska, jakość powietrza. Jak ważny jest to element, czujemy wszyscy, oddychając w Warszawie...

Dr Gałązka-Sobotka zwracała uwagę, że wciąż myślimy o aktywności dość „życzeniowo”. Wiara w to, że zamknięcie w domach spowoduje wzrost aktywności całych rodzin, jest takim właśnie życzeniem. Z danych Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH wynika, że aktywność fizyczna Polaków znacząco spadła, u kobiet o 29,8 proc., u mężczyzn aż o 39,1 proc., co spowodowało wzrost masy ciała o prawie 29 proc. u kobiet i prawie 27,6 proc. u mężczyzn. Zapewne jeszcze chwilę przed pandemią mogliśmy wierzyć, że Polaków udało się zarazić modą na sport, ale niestety epidemiczne restrykcje ograniczyły naszą aktywność.

– O tym, że nie zdajemy egzaminu, świadczyć mogą podstawy programowe nauczania, które nie zostały zmienione w czasie nauki zdalnej, nie wprowadzono żadnych zmian w wytycznych dla zajęć wychowania fizycznego, nie zaaktywizowano dzieci, które zasiadły przed komputerami na długie godziny. Nie ma żadnej inicjatywy ze strony szkół, żeby zachęcać dzieci i młodzież choćby do prostych ćwiczeń rozciągających – mówiła dr Gałązka-Sobotka. – Być może stałym elementem programów telewizyjnych i radiowych powinny być poranne pasma ćwiczeń dla seniorów, a nowym narzędziem pracy z uczniami specjalne aplikacje stymulujące aktywność dzieci i młodzieży? Jeśli jesteśmy zdeterminowani, by nie kumulować problemów zdrowotnych w czasie pandemii, nie odkładać problemów na potem, w wielu obszarach moglibyśmy zrobić znacznie więcej.

Może zatem w ramach koronawirusowego zamknięcia czas na poranną gimnastykę w radiu, w pasmach telewizji śniadaniowych, promocję aktywności fizycznej w każdych warunkach, a nie tylko tych optymalnych? Brak ruchu przełoży się bowiem na realne straty w gospodarce. Jak szacuje Polski Instytut Ekonomiczny, bezpośrednie koszty gospodarcze



braku aktywności fizycznej Polaków wynoszą 7 mld zł rocznie (6 mld ze względu na absencje pracownicze i niemal 1 mld jako koszt publicznego systemu ochrony zdrowia). Gdyby co druga osoba, która dotychczas była bierna fizycznie, zaczęła regularnie uprawiać sport, przeżyłoby się to na mniejszej liczby zawałów o 11 tys., liczby zachorowań na raka jelita grubego 2,2 tys.

– Zawsze z działaniami profilaktycznymi, prozdrowotnymi mieliśmy pod górę. Ostatni rok pokazał jednak, że wiele sukcesów, które udało nam się osiągnąć, możemy stracić. Obserwujemy od kilku lat niepokojący trend wyhamowania rosnącej długości życia. Pandemia wpłynęła na te dane jeszcze wyraźniej – mówił dyrektor NIZP Grzegorz Juszczuk. – Zarządzanie zdrowiem to zawsze sztuka wyboru – z jednej strony chcielibyśmy, żeby aktywność fizyczna przynajmniej nie malała, byśmy „planowali długie życie”, prowadzili działania prozdrowotne, z drugiej – musieliśmy wprowadzić lockdown.

To wpłynęło na wiele niekorzystnych wskaźników, zmieniło nasze zachowania. Widzimy, że w 2020 r. wzrosła liczba palących tytoń, rosło też spożycie alkoholu, tytość deklarowana to wzrost o 27 proc., a mamy niemal stu procentowy spadek deklaracji dotyczących aktywności fizycznej powyżej 150 min tygodniowo. Mamy potężną zmianę w zachowaniach zdrowotnych, która będzie miała długofalowe konsekwencje.

Dr Juszczuk podkreślał też znaczenie ograniczenia dostępu do miejsc, które aktywność fizyczną łączyły z aktywnością społeczną. Dla wielu osób kluby fitness, ośrodki sportowe – jak pokazują badania – były wyjątkowym motywatorem do podjęcia regularnych ćwiczeń. I choć, jak mówi dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego, w sposób oczywisty nie było możliwości znalezienia pośrednich rozwiązań w czasie lockdownu, to poza apelowaniem o aktywność fizyczną trzeba jak najszybciej tworzyć takie warunki, które motywują do jej podjęcia. Także edukować, choćby na lekcjach wychowania fizycznego mówić o zdrowiu, o dbaniu o naszą aktywność, o odpowiedni styl życia.

– Chcemy żyć długo, ale to trzeba zaplanować, podejmując indywidualne i zbiorowe decyzje, mające wpływ także na nasze otoczenie, na takie warunki, które sprzyjać będą aktywności fizycznej i postawom prozdrowotnym – powiedział dyrektor Juszczuk.

– Obserwujemy w Polsce mimo wszystko dość pozytywne trendy w promocji zdrowego stylu życia. Dyskutowałbym z czarnym scenariuszem przedstawianym przez wielu ekspertów. Widzę wielką przemianę w aktywności sportowej, w sporcie amatorskim, widzimy coraz więcej miejsc do aktywności, rozbudowują się ścieżki rowerowe – mówił wiceminister Gadomski. – Promują to kampanie promocyjne i środki finansowe, które trafiają do klubów i organizatorów



aktywności. Chciałbym wlać nieco optymizmu – nie szukamy wymówek, nawet jeśli to postawa życzeniowa, wierzę, że nauczymy się spędzać czas inaczej. Dlatego rozmawiamy o możliwości uruchomienia wehikułów aktywności fizycznej, choć – co naturalne, jako resort zdrowia nieco studzimy zamiary zbyt szybkiego powrotu do normalności.

Uczestnicy debaty mieli nieco mniej optymistyczne zdanie na temat możliwości promocji aktywności.

– Lockdown niezwykle utrudnia możliwości realizowania misji zdrowotnej w społeczeństwie – konstatował Ma-

riusz Gujski. – Cała gama chorób ma podłoże w stylu życia, który przekłada się bezpośrednio na stan zdrowia. O ile nasze zdrowie jest niewątpliwie w naszych rękach, o tyle należy zadać również pytanie o rolę państwa w tym zakresie: na ile należycie państwo tę swoją rolę realizuje? Oczywiście, chcielibyśmy, by Ministerstwo Zdrowia zajmowało się przede wszystkim

zarządzaniem zdrowiem, a nie zarządzaniem chorobami. Oczywiście pewne kroki są już podejmowane. Jednak wymuszona pandemią izolacja, samotność, zamknięcie w czterech ścianach mają też wymierne skutki dla zdrowia psychicznego. Jeśli decyzje rządowe dotyczące kwarantanny i izolacji są – jak słyszemy – poparte rzetelnymi analizami, to chciałbym poznać te analizy, które doprowadziły do zamknięcia lasów na wiosnę. Pytam, dlaczego dziś zamknięte są restauracje. Rozumiem ostrożność i odpowiedzialność, ale zamykając np. kluby fitness, mordujemy osiągnięte przez lata wyniki w budowaniu powszechnej aktywności fizycznej Polaków. Nie jestem przekonany, że decyzje zero-jedynkowe są jedynymi możliwymi. Nie znam wspomnianych analiz, za to znam takie badania, które pokazują, że kluby sportowe, fitness, siłownie przy implementacji określonych warunków sanitarnych nie stanowią zagrożenia COVID-19.

Niezrozumiała dla uczestników debaty była też decyzja o zakazie poruszania się dzieci i młodzieży bez opieki dorosłych przed godz. 16.00. Z jakiegoś powodu rządzący prawdopodobnie uznali, że spotkania dzieci i młodzieży po 16.00 są mniej szkodliwe niż te przed 16.00. Społeczeństwo ma prawo poznać uzasadnienie każdej decyzji.

– Kiedy ludzie rozumieli pewne zasady, a wystarczy tu przypomnieć pierwszy lockdown wiosną 2020 r., chętnie się do nich stosowali. Regulacje, które są niezrozumiałe, których nie da się logicznie obronić, doprowadzają do pewnego buntu społecznego, który właśnie obserwujemy – mówił Mariusz Gujski. – Dlatego tak istotna jest rola państwa, nie tylko w koordynowaniu, lecz także w skutecznej komunikacji i obronie tych postanowień.

Proces podejmowania decyzji dotyczących ograniczeń w pandemii jest złożony, bierze w nim udział wiele instytucji, także Rada Medyczna ds. COVID-19 przy premierze, Rządowy Zespół ds. Zarządzania Kryzysowego, opinie przygo-

towuje też Główny Inspektor Sanitarny, ale – jak podkreślali rozmówcy – wciąż brakuje uzasadnienia, które przywoływać będzie całą linię argumentacji.

– Z ruchem nie jest tak, że się nadrobi zaległości. Nie da się nadgonić rocznej nieaktywności. Tak jak z jedzeniem – nie można się najeść na zapas. Regularny wysiłek fizyczny jest po prostu niezbędny dla zdrowia. Aktywność fizyczna nie wzrośnie, jeśli zamknięte będą obiekty sportowe, siłownie i kluby fitness. Do aktywności fizycznej trzeba stworzyć warunki i należy być w ich promowaniu konsekwentnym. Podkreślam – zamknięcie

obiektów sportowych było tragedią z punktu widzenia stanu zdrowia Polaków – mówił dr hab. Ernest Kuchar, specjalista chorób zakaźnych, lekarz sportowy. – Do tej decyzji doprowadziły, moim zdaniem, pewne błędy metodologiczne. Po pierwsze – kult danych z Zachodu. Cytowano uparcie badanie z magazynu „Nature”, oparte na analizie lokalizacji telefonów komórkowych w USA, gdzie funkcjonujące bez większych zmian od kilkudziesięciu lat siłownie są bardzo często ciasnymi, niewentylowanymi pomieszczeniami. Mamy w Polsce znacznie lepsze warunki, ponieważ czerpiemy swoją „rentę z zacofania” – obiekty sportowe w Polsce są nowe, kilkuletnie. Dlatego nie można amerykańskich danych epidemiologicznych bezrefleksyjnie odnosić bezpośrednio do Polski. Po drugie, powoływano się na ekspertów. Ale proszę zwrócić uwagę, że byli to eksperci od chorób zakaźnych, a nie chorób cywilizacyjnych. Sam uczestniczyłem w komisji opiniującej m.in. otwarcie obiektów sportowych, w której większość stanowiły osoby, które o potrzebie dostępu do siłowni mówiły z ironicznym uśmieszkiem. Gdy zasugerowałem, że w takim razie trzeba też ograniczyć działalność salonów piękności i fryzjerów – pozostali byli oburzeni. To potem nazywane jest „obiektywną opinią ekspertów”. Skoro chodzę do fryzjera – to musi być otwarty, a na siłownię nie chodzę...

Aktywność fizyczna przynosi dowiedzione, znaczne korzyści zdrowotne, które zdaniem dr. Ernesta Kuchara powinny być wzięte pod uwagę przy podejmowaniu decyzji. Choć otwarcie siłowni wiąże się z pewnym ryzykiem, warto przeprowadzić bilans korzyści do ryzyka, bo niepotrzebnie zapłacimy za pandemię ogromną cenę, nie tylko finansową, ale też zdrowotną.

– Uważam za nieśpójne otwarcie galerii handlowych, a zamknięcie siłowni. Pytam, na czym nam zależy? Czy na pewno na zdrowiu? Ocena sytuacji przed podjęciem decyzji nie była, moim zdaniem, przeprowadzona tak, że wyważono poszczególne ryzyka. Nie znam tych argumentacji. Dlatego moim zdaniem pozostaje niezrozumiała i zgadzam się z opinią, że niezrozumiałe, nieuzasadnione przepisy nie są potem przez obywateli przestrzegane – mówił dr Ernest Kuchar.

Debatę prowadził Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”





GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest sponsorem strategicznym polskiej piłki ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie reprezentacje Polski kobiet i mężczyzn, reprezentacje młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski kobiet i mężczyzn.



W karaibskim tyglu



Nowojorski dandys, jazzowy saksofonista, aktor wyrosły z niezależnego wielkometrażowego kina (piszemy o nim w materiale otwierającym w tym wydaniu dział kultury) od blisko dwóch dekad dzieli swoje życie między Nowy Jork i karaibską wyspę. A właściwie większość czasu spędza dziś nie w urbanistycznej dżungli, lecz wśród natury. Malarstwo, którym się teraz zajmuje, właśnie z tego otoczenia czerpie najwięcej (zwłaszcza jeśli chodzi o kolorystykę), ale nie tylko ono.

Karaiby to nasycone słońcem barwy i taka też jest intensywność smakowo-kolorystyczna tamtejszej kuchni. Dodajmy – wymieszanej i doprawionej – w tyglu wielu nacji, kultur i kulinarnych tradycji.

Karaiby kojarzą się smakowo głównie ze świeżością potraw, pikanterią przypraw i słodczą tropikalnych owoców. Ale też ze wspomnianą wcześniej usankcjonowaną na przestrzeni wieków wielokulturowością, wieloetnicznością, z wymieszaniem obyczajów rdzennych mieszkańców – Indian – z wpływami afrykańskimi, europejskimi, azjatyckimi i amerykańskimi.

Przy czym region liczący 7 tys. wysp, wysepek i raf koralowych na Morzu Karaibskim oraz sąsiadujących wybrzeżach to tak wielkie bogactwo i różnorodność dań oraz smaków, że – co podkreślają jej znawcy – o kuchni karaibskiej można mówić wyłącznie w dużym uogólnieniu.

Z pewnością jednak w kuchni tej nie brak owoców morza oraz ryb, a także płodów tamtejszej ziemi: manioku, batatów, plantanów (słodkich ziemniaków przypominających banany), kokosów, tamandrynowców. Bardzo ważne są owoce: banany, mango, marakuja, pigwa, papaja, ananas, melon, granat, breadfruit (owoc chlebowy), starfruit (gwiezdny owoc).

Karaibska kuchnia to również przyprawę. Dania doprawiane na ostro chili, „łagodzone” są często gałką muszkatołową, curry i imbirem. W mieszkankach ziół stosowanych np. do marynat znaleźć można m.in. kolendrę, gorczycę, kurkumę, kumin, pieprz, imbir, goździki czy kozieradkę.

Powszechnie stosowany ryż często przybiera formę purée na mleku kokosowym, podobnie zresztą jak wszelkie warzywa bulwiaste.

Kubańska odmiana kuchni karaibskiej stawia na fasolę łączoną z ryżem i wieprzowiną. W narodowym daniu moros y cristianos (w dosłownym tłumaczeniu „maurowie i chrześcijanie”) tych pierwszych symbolizuje czarna fasola, drugich – ryż. Ulubiona przyprawa Kubańczyków – czosnek – jest głównym składnikiem m.in. aromatycznej pasty sofrito.

Odsłona jamajska – słodko-kwaśna – często sięga po owoce i warzywa (niektóre potrawy składają się tylko z nich). Charakterystyczny smak mięsa to efekt peklowania w przyprawie jerk (połącze-

nie gałki muszkatołowej, pieprzu, tymianku, ziela angielskiego, cynamonu, cebuli i czosnku z olejem i sokiem z cytrusów). Jak na całych Karaibach, do wielu dań serwuje się tu też ryż z czarną fasolą.

Portorykańskie smaki kojarzą się m.in. z: mofongo (purée z plantanów, z czosnkiem, oliwą i chrupkim boczkiem; podawane w formie kulek jako dodatek do pieczonego mięsa), empanadillas – pierożkami nadziewanymi serem i mięsem z homara, oraz asapo – pikantnym gulaszem pomidorowym z ryżem i mięsem.

Kuchnia Trynidadu ma mocne indyjskie akcenty. Najpopularniejszym daniem jest curry z krewetek (wspomina o nim John Lurie w swoim najnowszym serialowym projekcie). Kulinarnych fanów ma również sahiana (obtaczane w cieście i smażone na głębokim tłuszczu liście kolokazji, podawane z sosem z tamaryndowca). Z kolei przysmakiem Tobago są kraby podawane z placuszkami. Do ciast i chlebów dodaje się tu banany lub kassawę (starte na mączkę bulwy manioku jadalnego), a także cukier trzcinowy. Większość dań, jak przystało na potrawy karaibskie, doprawiana jest mlekiem kokosowym.

Jolanta Gajda-Zadworna

Curry z krewetek z mlekiem kokosowym (przepis ze strony karaibskiesmaki.com)

Składniki: 300 g mrożonych krewetek, 1 puszka mleka kokosowego, 1 pomidor, 1 mała cebula, 2 ząbki czosnku, pół garści posiekanej świeżej kolendry, kawałek papryczki scotch bonnett (opcjonalnie), 2 łyżki łagodnego proszku curry, 1/2 łyżeczki kurkumy, sól do smaku, 2 łyżki oleju (rzepakowego lub kokosowego)

Sposób przygotowania: Siekamy cebulę, czosnek i kolendrę. Wrzucamy na olej, podsmażamy na niewielkim ogniu. Wrzucamy proszek curry i kurkumę. Chwilę smażymy. Na to wrzucamy posiekanego pomidora. Smażymy, aż pomidor trochę zmięknie. Wlewamy mleko kokosowe lub proszek kokosowy. Mieszamy do zagotowania. Gotujemy przez ok. 10 min. Wrzucamy krewetki. Gotujemy przez kolejne 5 min, dolewamy troszkę wody, jeśli sos za bardzo wyparował. Podajemy z ryżem lub roti, z dodatkiem smażonej okry.





Zapiekanki na ostro i słodko

ANNA MONICKA

Nie możemy się ostatnio zgrać w rodzinie z ilością zakupów. To pewnie efekt zamknięcia i stanów depresyjnych, do których przyczynia się jeszcze dodatkowo brak słońca. Raz się na jedzenie dosłownie rzucamy, raz nie chce nam się nawet zwlec sprzed komputerów do kuchni. W efekcie poszło nam sporo chleba i bułek. Mamy na szczęście zaprzyjaźnioną stadninę, do której je zawożymy, ale czasem czerstwe pieczywo da się jeszcze reanimować. Wystarczy odczekać, aż rodzina zgłodnieje, i zaproponować zapiekanki. To idealny sposób, żeby coś starego i mało atrakcyjnego zamienić w pyszne śniadanie lub podwieczerek.

Moje chlebki są zazwyczaj dość dietetyczne – liźnięte tylko masłem. Na nim układam dużo cebulki, jakąś dobrą wędlinę (dla córki i męża, bo jednak czasem domagają się mięsa), plaster sera (mimolette złociste rzadzi) i koniecznie pomidor. Po pieczeniu dochodzą jeszcze ogórki, ukiszone kwiaty kopru, płatki marynowanego czosnku oraz ostra pasta paprykowa, które specjalnie kupuję w tajskiej knajpce, żeby nadać wytrawnym tostom charakter antibakteryjny i wirusobójczy.

Bo robię też słodkie – gdy zeschnie nam chałka lub ciasto drożdżowe – takie niepierwszej już świeżości kromki można zamienić w rewelacyjny podwieczerek. Mam znajomych, którzy specjalnie kupują słodkie pieczywo, żeby je następnie postarzyć i zamienić w tosty francuskie z owocami, lodami, bitą śmietaną. Brzmi nieźle, prawda? Kromki trzeba namoczyć w jajku z mlekiem i odrobiną miodu i usmażyć na klarowanym maśle z obu stron na złoto. A potem naładować na nie, co komu w duszy gra – dżem malinowy, galaretkę agrestową, konfiturę z wiśni, przecierany mus morelowy. Danie ma tylko jedną wadę – jest bardzo syćące. Więc niech ten podwieczerek nie będzie zbyt późny, żeby jeszcze wystarczyło czasu na porządny spacer przed snem. O kolacji można już tego dnia zapomnieć.

Fot. archiwum autorki



WILCZYM OKIEM

Leszczyna

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Spośród 15 gatunków leszczyn, należących do rodzaju *Corylus*, w Polsce występuje jeden rodzimy gatunek: leszczyna pospolita *Corylus avellana*. Krzew ten, przybierający niekiedy formę niedużego drzewa, daje wiele pożytków. Bogate w tłuszcze orzechy laskowe, te brązowe i zaokrąglone (podługne, bordowe pochodzą od leszczyny tureckiej, gatunku azjatyckiego i południowo-europejskiego) są tylko niektórymi z korzyści, jakich dzięki obecności leszczyny doświadczają ludzie i zwierzęta.

Leszczyna jest ważnym gatunkiem skrajów lasu i jego podszytu; znakomicie udaje się także na plantacjach (*coryletum* – łac. „gaj leszczynowy”). Leszczyna dobrze ocienia glebę, spowalniając parowanie, a także zasila ją żyzną, dobrze rozkładającą się ściółką z opadających liści. Daje liczne odrośla z korzeni i pnia, również po przycięciu, np. w celu pozyskania tyczek do uprawy fasoli lub na opał.

Węgiel drzewny z drewna leszczynowego nadaje się do produkcji wysokiej jakości prochu myśliwskiego, a także jako węgiel rysunkowy.

Warto się przyjrzeć leszczynie bliżej. Kwitnie niekiedy już w lutym, będąc jednym z pierwszych zwiastunów wiosny, zapowiadającym, że przyroda zaczyna się budzić, chociaż wszystko wokół wskazywałoby jeszcze na zimę. Pewnego dnia pozornie martwe kotki, czyli kwiaty męskie, czekające w uśpieniu od zeszłej jesieni, zaczynają szybko rosnać, a kiedy się je potrafi, rozsiewają obfity żółty pyłek. Jeżeli wówczas przypatry się gałązkom z bliska, można dostrzec także czekające na zapylenie malutkie kwiaty żeńskie, mające postać jakby czerwonych pędzelków, niewiele większych od główki zapalki. To one przekształcą się w zawiązki orzechów.

Leszczyna warta jest uwagi również z innego względu. Ponieważ jest ciepłolubna, wraz ze zmieniającym się klimatem jej udział w naszych lasach i zadrzewieniach może wzrosnąć. Rola ekologiczna leszczyny może więc stawać się coraz bardziej znacząca.

Ocieplenie mogłoby również sprawić, że optimum klimatyczne dla upraw leszczyny, mających obecnie w Polsce raczej marginalne znaczenie, objęłoby nasz kraj, stwarzając warunki dla rozpowszechnienia gospodarczego wykorzystania tego interesującego gatunku.

Fot. Shutterstock

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Giganci pod kontrolą

Odebranie urzędującemu prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi głosu w cyberprzestrzeni poprzez zablokowanie jego konta na Facebooku, Twitterze i YouTube gwałtownie przyspieszyło prace nad polskimi regulacjami prawnymi w sprawie zagwarantowania wolności słowa, równocześnie ograniczenia samowoli wielkich koncernów zarządzających internetowymi mediami. Na szczęście można już w Polsce kierować sprawą sądową przeciwko zagranicznym firmom działającym na naszym terytorium. To ważny dowód polskiej suwerenności w egzekwowaniu prawa. Ale potrzebny jest kolejny krok, czyli ustawa zabraniająca blokowania czy usuwania kont internetowych, gdy prezentowane na nich treści są zgodne z polskim prawem.

Nie będzie np. możliwe blokowanie przez zagraniczne media społecznościowe działające na terenie Polski treści katolickich, jak miało to już miejsce, czy kwalifikowanie do usunięcia treści niewygodnych dla medialnego giganta, np. ze względu na tzw. mowę nienawiści. Oczywiście katalog tej mowy ustala arbitralnie właściciel koncernu, co w praktyce sprowadza się do stosowania cenzury i tym samym ograniczenia wolności słowa.

Obecnie trwają prace nad rządowym projektem ustawy gwarantującej przestrzeganie wolności obywatelskich w internecie. Nikt na terytorium Polski nie ma prawa ograniczać naszej wolności słowa. Dlatego warto przypominać art. 54 konstytucji – „Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji”. Tej wolności sprzeciwia się obecna praktyka internetowych gigantów. Nadużywają monopolistycznej pozycji, działają jak międzynarodowy kartel, potrafią sku-

tecnie blokować każdą, nawet mało znaczącą konkurencję. W ten sposób padł serwis społecznościowy Parler, którego aplikację przestały oferować Google i Apple, a inny gigant Amazon wyłączył jej serwery.

Na fundamentcie art. 54 konstytucji ma być zatem budowana nowa ustawa, którą szczególnie zainteresowane są środowiska prawnicze i dziennikarskie: Ordo Iuris, SDP, Centrum Monitoringu i Wolności Prasy przy SDP. Wskazują na pilną potrzebę ochrony wolności słowa w mediach społecznościowych i deklarują pomoc przy tworzeniu i upowszechnianiu założeń ustawy.

Rządowy projekt ma jednak też słabe strony. Idzie w kierunku znanych nam dobrze rozwiązań prawnych, różnych rad doradczych, konsultacyjnych itd. Przewiduje mianowicie powołanie przez Sejm pięcioosobowej Rady Wolności Słowa, która będzie stać na straży konstytucyjnej wolności słowa. Jej eksperci, wybrani na sześcioletnią kadencję kwalifikowaną większością 3/5 głosów, będą rozpatrywać odwołania użytkowników serwisów internetowych od nieuwzględnionych skarg na ich działalność. Ustawodawca podkreśla z uznaniem ponadpartyjny i pluralistyczny skład Rady. Pojawi się więc jeszcze jedna instytucja, której działanie będzie można porównać do skuteczności KRRiT, Rady Mediów Narodowych, Rzecznika Praw Obywatelskich, Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Najwyższej Izby Kontroli, prokuratury, kończąc na Trybunale Konstytucyjnym oraz sądach cywilnych i administracyjnych. Wszystkie te instytucje zobowiązane są chronić nasze wolności i w razie potrzeby interweniować. Nie muszą dodawać, jak jest w praktyce. A prze-

www.wojciechreszczyński.pl

cież mogłyby to robić i powinny powszechne sądy, ale jakie są, każdy widzi.

Cieszyć się czy smuć z tego, że od decyzji Rady Wolności Słowa będzie przysługiwała skarga do sądu? Zarówno Rada, jak i sąd za niedostosowanie się do decyzji czy wyroku będą mogły nakładać na serwisy społecznościowe kary administracyjne w wysokości od 50 tys. do 50 mln zł. I to jest jakiś konkret, ale przypomina mi się tu nałożenie przez KRRiT ponad miliona zł kary dla TVN i szybka rezygnacja z tego nałożenia. Do dziś nie wiadomo pod wpływem jakich czynników.

Nowością w ustawie będzie możliwość wniesienia pozwu, np. w przypadku ochrony dóbr osobistych, na podstawie adresu URL. Powinno to zmniejszyć anonimowość, a więc także bezkarność różnych hejterów w internecie. Należy zatem kibicować rządowi, gdyż planowana ustawa z pewnością daje nam więcej gwarancji wolności niż podobne regulacje np. w Niemczech, gdzie o usunięciu wpisu czy zablokowaniu konta ostatecznie decyduje minister sprawiedliwości.

Także prawne rozwiązania szykowane przez Unię Europejską idą w niekorzystnym dla nas kierunku. W ocenie ekspertów z Ordo Iuris nowe rozporządzenie o usługach cyfrowych może doprowadzić do ograniczenia wolności słowa oraz osłabienia kontroli i sankcji ze strony państw narodowych wobec internetowych potentatów. Dlatego nie zdziwię się, gdy rządowy projekt ustawy, nawet jeszcze nieprzyjętej przez Sejm, zostanie uznany przez UE za sprzeczny z prawem, zaskarżony do TSUE, oczywiście przy wielkim aplauzie naszej totalnej opozycji. /

Odpowiedzialność

Nie brakuje dzisiaj książek, publikacji, których tematem są myśli, rozważania, całe recepty podpowiadające nam, jak mamy żyć, czym się kierować i co jest najważniejsze. Mój syn, wielbiciel książek jak mało kto, od dzieciństwa zresztą, ma ogromną wiedzę, zazdroszczę mu i czasami pytam, co warto teraz przeczytać. Podsunął mi ostatnio niezwykłą książkę – Nicholas Taleb (1960), amerykański teoretyk rynku, inwestor, filozof i pisarz, obecnie profesor w Tandon School of Engineering Uniwersytetu Nowojorskiego, opublikował kolejną swoją pracę pod tytułem „Na własne ryzyko”. Autor jest obecnie w świecie zachodnim uważany za czołowego myśliciela, który potrafi w wyjątkowy sposób łączyć odwagę i erudycję, opierając się tak naprawdę na odwiecznych zasadach humanizmu, człowieczeństwa, wiary, wiedzy, prawdy itd. Książka jest zbiorem pewnego rodzaju felietonów, esejów połączonych jedną myślą, przesłaniem by ci, którzy podejmują decyzje, musieli odczuwać ich konsekwencje na własnej skórze. Taleb udowadnia, że jeśli ktoś czerpie korzyści ze swojego działania, to musi także ponosić ryzyko. Zajmuje się w tej książce „wykrywaniem kitu” wciskanego ludziom przez naukowców, polityków, którzy nie ponoszą z tego powodu żadnego ryzyka, nawet reputacyjnego. „Jeśli czerpiesz korzyści i obarczasz ryzykiem innych, a oni poniosą szkodę, musisz ponosić za to odpowiedzialność. Jeśli wypowiadasz opinie, w wyniku której ktoś podejmuje działanie, jesteś moralnie zobligowany do poniesienia konsekwencji jego działań”. Jednak autorowi w przypadku partycypacji w ryzyku chodzi głównie o sprawiedliwość, honor i poświęcenie – rzeczy, które dla człowieka mają wymiar egzystencjalny. „Osobista odpowiedzialność stosowana jako zasada, wszyscy ci, którzy nie potrafią albo nie chcą podejmować osobistego ryzyka, nigdy nie powinni być zaangażowani w podejmowanie decyzji. Idea osobistej odpowiedzialności jest wpisana w nasze dzieje” – ta myśl przewija się w zasadzie przez całą książkę. „Całe dziedziny, takie jak ekonomia i inne nauki społeczne, stają się szarlatanerią z powodu braku odpowiedzialności, czynnika łączącego je finalnie z ziemią. Jeśli w imię własnego zdania nie podejmujesz ryzyka, czyli nie stosujesz zasady odpowiedzialności, jesteś niczym” – puentuje autor.

Brak odpowiedzialności, wtedy wszystko wolno. Mamy tego wystarczające przykłady u nas w Polsce w ostatnich latach – Amber Gold i wiele innych tego typu tzw. piramid finansowych czy złodziejska reprivatyzacja Warszawy pod kierownictwem Hanny Gronkiewicz-Waltz. Nietrudno wskazać chociażby notariuszy, którzy na mafijnych interesach w III RP zbili fortuny, a teraz bezkarni kpią sobie z prawa i opluwają obecny rząd. Zresztą takich grup zawodowych, umocowanych na złodziejskich kłamliwych interesach, nie-



**Alina
Czerniakowska**

ponoszących odpowiedzialności za nic, a wręcz przeciwnie, szanowanych w celebryckim gronie, jest mnóstwo. Jednak najbardziej kulminacyjnym, dramatycznym brakiem odpowiedzialności jest Smoleńsk i nasza tragedia narodowa, rola w niej Tuska, a potem oddanie śledztwa Rosjanom...

Można by tak wyliczać wiele dziedzin zniszczonych przez brak odpowiedzialności za swoje czyny, zachowania, kłamstwa, barbarzyństwo, wbrew naszej tysiącletniej kulturze chrześcijańskiej. Właśnie o tym jest wspaniała książka, jeszcze wówczas profesora KUL, Karola Wojtyły „Miłość i odpowiedzialność”, o czym nie pamiętają i nie chcą wiedzieć dzisiejsi adwersarze papieża Polaka. „Musicie od siebie wymagać, nawet jakby inni od was nie wymagali. (...) Odpowiedzialność za własne czyny, bo za każdym czynem stoi konkretny człowiek, który ma imię i nazwisko, kolor oczu i właśnie ten człowiek ponosi odpowiedzialność za każdy swój czyn. Nie można zrzucać odpowiedzialności za własne postępowanie na warunki, w których nam przychodzi żyć. Trzeba być silniejszym od warunków”.

Autor książki „Na własne ryzyko” kładzie nacisk szczególnie na tę odpowiedzialność, która winna cechować ludzi zajmujących wysokie stanowiska społeczne, kierujących państwami, wszelkimi instytucjami, uczelniami, przedsiębiorstwami itd. Ciekawe są też i jakże bardzo aktualne rozważania Taleba na temat sukcesu, warto przytoczyć tutaj końcową refleksję: „Nie mam innej definicji sukcesu niż prowadzenie godnego życia. (...) Honor oznacza, że są pewne działania, których zdecydowanie nigdy byś się nie podjął, bez względu na materialne nagrody. Czyli, że są rzeczy, które zrobiłbyś bezwarunkowo, bez względu na konsekwencje” – tu autor przytacza historię pojedynków w imię honoru, gdy ludzie ryzykowali własne życie, tylko po to by zachować twarz.

Taleb definiuje na nowo, co to znaczy zrozumieć świat, odnieść sukces, współtworzyć odpowiedzialne i sprawiedliwe społeczeństwo, umieć zauważać bezsens pewnych zjawisk. Powołując się na przykłady od Hammurabiego do Seneki, od mitycznego Antoniusza po Donalda Trumpa, pokazuje, jak gotowość do zaakceptowania ryzyka stanowi niezbędny atrybut bohaterów, świętych i ludzi odnoszących sukcesy we wszystkich dziedzinach życia. Autor w sposób przystępny, ale i obrazoburczy rzuca wyzwanie przekonaniom na temat cnót tych, którzy stoją na czele militarnych działań, inwestycji finansowych oraz religijnych ruchów. Recenzując tę książkę, John Gray napisał: „Jest to głos najbardziej proroczy ze wszystkich, Taleb jest wybitnym filozofem, kimś, kto jest w stanie zmienić nasz sposób postrzegania struktury świata – dzięki sile, oryginalności i prawdziwości swoich idei”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Uporczywie i do końca

Mam w nosie prawo i sądy brytyjskie, amerykańskie, francuskie, izraelskie, polskie i wszystkie inne. Mam w nosie wszelkie konstytucje stare i nowe. Nie mają dla mnie mocy sprawczej, bo uznaję, że one nie obowiązują, gdy próbują stawiać ponad prawem Boskim. Piąte przykazanie jest dla mnie najświętsze i nie widzę tu nawet skrawka przestrzeni do dyskusji. Bo jest ono bezdyskusyjne. I chociażby sam papież zgadzał się na uśmiercanie kogokolwiek, tobym się buntował, wrzeszczał i wierzgął.

Dlatego teraz wrzeszczę i wierzgam, gdy słyszę w TVN profesora etyki w koloratce na zimno, pragmatycznie i bezrefleksyjnie traktującego prawo stanowione przez człowieka nad prawem Boga. Dla mnie to czysta apostazja i utrata zdolności do nauczania chrześcijańskiego. Są bowiem takie rzeczy, z którymi zgadzać się nam nie wolno. Nawet jeśli jest to naiwność, nawet jeśli nic nie możemy zrobić, to i tak nie wolno się z nimi godzić, aby nie godzić w ludzkie sumienia, aby nie godzić zgorszeniem. Mamy tu być naiwni jak dzieci.

Pragmatyczna decyzja, czy zabijać, czy nie przy samodzielnym oddychaniu i bijącym sercu nie powinna mieć w ogóle miejsca! Serce ludzkie to naprawdę coś więcej niż naklejka z WOŚP. Faktycznie i metaforycznie więcej. Rozumiem, że takie wątpliwości przystoją Morozowskiemu, który deklaruje się jako ateista i pyta na antenie, „odlanczać czy nie odlanczać”, ale tym, którzy wierzą, powinno być to zupełnie obce. Tak bowiem się rozkminia nasz Kościół i jego naukę, rozmywa jego etyczną ortodoksję. I nic do gadania nie mają tu ani rodzina, ani bioetyce, ani też lekarze. Prawo Boże jest ponad nami wszystkimi, jest nam dane i zadane, a nie przez nas wymyślone. Jest nienegocjowalne.

Rozumiem decyzję i starania naszych władz ubiegających się o powrót pacjenta do Polski. Wszak Anglikom powinno być obojętne, gdzie on umrze, prawda? Nie rozumiem ich uporu, nie rozumiem decyzji ich sądu. Tym człowiekiem grano. Jego życie rozgrywano.

Nie rozumiem też Tomasza Terlikowskiego, który próbował pogodzić decyzję brytyjskiego sądu z nauczaniem Kościoła. Myślałem, że doznaję omamów słuchowych. Jakkolwiek z wdzięcznością pamiętam, że w sporze ze środowiskami



**Aleksander
Nalaskowski**

*W Plymouth serce człowieka
za sprawą ludzi przestało
bić. A czy nasze naprawdę
jeszcze bije?*

tęczowymi publicznie mnie wsparł. Nie chcę takich teologów, nie chcę takich kapłanów.

Trudno pojąć, jak można jednocześnie sprzeciwiać się aborcji, karze śmierci i zgadzać się na uśmiercanie człowieka z niezakłóconymi funkcjami dla życia podstawowymi. Gdy staje serce, zatrzymuje się krew i mózg pozostaje niedotleniony. Jeśli udało się, nawet po długim czasie, przywrócić funkcje życiowe, to należy to uznać za cud i ufać w cuda. Jeśli co niedzielę głosi się o chodzeniu po wodzie, rozmnożeniu chleba czy wskrzeszaniu zmarłych, to dlaczego równie „katolicko” nie wierzy się w cud, który jest tuż obok i może mieć dalszy ciąg: A „Jezu ufam Tobie”? No tak, ale to było dawno.

Niektóre argumenty mnie zdumiewały. Maciej Gdula ripostował, że skoro twierdzi się, iż leżący w śpiączce pacjent zachował funkcje życiowe, to należy postawić mu na stoliku obok jedzenie i niech je. Jak rozumiem, gdy pan Gdula połamie na nartach obie nogi i ręce, to też należy mu postawić na szpitalnym stoliku grochówkę, aby zagipsowany zjadł ją ze smakiem. Takie argumenty można skomentować tylko wybuchem

śmiechu. Ale cała reszta pokazuje niebywały kryzys myślenia chrześcijańskiego i jak puzzle kompletuje się ze strajkami z czerwoną błyskawicą czy tezą Jerzego Owsiaaka, że starym i schorowanym trzeba pomagać, aby odeszli.

I tu znów wróć do „etyka” w koloratce, który postulował, aby dać ludziom wolność wyboru śmierci. Jeśli dobrze zrozumiałem, to należy błogosławić wszystkim samobójcom, tak? Chcesz się zabić, chcesz odebrać sobie dar życia, proszę bardzo. Kościół to rozumie i pochwała. Bravo! Czy są jeszcze jakieś innowacje w zanadru? Śmiało. Stawiamy dalej świat na głowie, niechaj ją ciężarem ciała zgniecie. Skoro ludzkie serce nie ma już nic do gadania i jest tylko pompą, która nie wie, czemu wciąż działa, to głowa wydaje się już mocno nadgnięciona.

Żydzi mówią, że kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat. Tak nauczał Jezus, tak postępował jego naśladowca Maksymilian Kolbe, tak myślał Ulmowiec z Markowa. Ale czy można to odwrócić jak działanie arytmetyczne i zapytać odwrotnie? Pewnie można, ale na pytaniu nie może się skończyć. W Plymouth serce człowieka za sprawą ludzi przestało bić. A czy nasze naprawdę jeszcze bije?

PRZEZ ŚWIETLIK

Dumne wafelki

W latach 90., kiedy odbywały się kolejne demonstracje w obronie czy ku pamięci rządu Jana Olszewskiego, pojawiały się na nich kiluosobowe grupki skinów, którzy pozwalali sobie niekiedy na małe „Sieg Heil”. Co robili neonaziści na manifestacjach w obronie rządu tworzonego przez starego socjalistę i masona, do tego przyjaźniącego się z licznymi Żydami? Myślę, że to samo co większość najbardziej skrajnej prawicy w dzisiejszych czasach. Zarabiali.

Dlatego zupełnie nie dziwiły mnie losy lidera „ekstremistycznej grupy Proud Boys” Enrique Tarria. Historia pana Enrique jako żywo na myśl przywołuje znakomitą powieść Kurta Vonneguta „Matka noc” i kuriozalną siatkę neonazistowską, której jednym z liderów jest „Czarny Hitler Brooklynu” albo nieszczęsnego namibijskiego polityka, który nazywa się Adolf Hitler, z czego zresztą gęsto się tłumaczy. Przypomniała mi się jakoś bez związku jeszcze jedna historia. Wafelki w kształcie swastyki płonące w lesie za namową filmujących to dziennikarzy. I jeszcze jedna starsza. Kiedy w drugiej połowie lat 90. „nieznani sprawcy” podpalili drzwi warszawskiej synagogi Nożyków, a ówczesne służby specjalne

z miejsca rozpoczęły przeszukania w towarzystwie kamer telewizyjnych u osób związanych z Ligą Republikańską, dokuczającą ówczesnemu postkomunistycznemu rządowi.

Podobne historie mógłbym mnożyć, ale pozostawimy wtedy na dobre pana Enrique Tarria. On z kolei jest Mulatem z Kuby. Nie przeszkadza mu to stać na czele organizacji określanej jako rasistowska i głoszącej szczytne idee faszyzmu czy czegoś podobnego. Proud Boys to wyjątkowe łobuzy. Atakują Antifę, palą sztandar Black Lives Matter, gromadzą broń, pojawiają się w ich sprawie wątki handlu narkotykami i ludźmi. W sumie naprawdę straszne chłopaki.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. To historia z happy endem. Okazało się, że pan Enrique jest współpracownikiem FBI. Służba ta – posiadając wiedzę o owej współpracy – musiała co najmniej tolerować go jako lidera Dumnych Chłopców, a może po prostu mówiła mu, co robić. Dzięki takim współczesnym faszystom ludzie na całym świecie mogą wiedzieć, jacy straszni byliby faktyczni faszyci, gdyby istnieli, a te wszystkie grupki to trochę jak fabularny film katastroficzny o stopnieniu lodowców, który ma unoczyć widzowi, jak strasznie będzie, jeśli nie zadba o klimat.

Dumni jesteście z Dumnych Chłopców z FBI? Słusznie, my też takich mamy.



**Wiktor
Świątek**

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL



NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Strzał w plecy

Stacjonujące u nas obce media są naprawdę groźne

Czy to możliwe, żeby w jakimś kraju jakieś medium zaatakowało produkt tego kraju tylko po to, by zaszkodzić sprzedaży tego produktu za granicę? To jest niemożliwe!!! Aaaa... zaraz... wróć! Są takie kraje.

Na portalu działającego u nas niemiecko-szwajcarskiego koncernu ukazał się: „Szokujący raport o karabinku Grot. Jest tak zły, że zagraża żołnierzom”. Według autorów większego szmelcu niż ten karabinek świat nie widział: „problemy z zamkami, które się rozpadały, kurkami, które się zrywały, czy mocowaniem pasów, które same się wypinały, a potem był problem z ich wpięciem”. No jak się już same wypięły, to może być problem z ich wypięciem, bo akurat są wypięte.

Obowiązkiem redaktorów jest wytykanie felerów produktu. Tym bardziej tak ważnych jak sprzęt obronny. Grot to produkcja polska. Radomski Łucznik dostał zamówienie od MON warte 500 mln zł. Najpierw trafił do WOT, a potem zainteresowały się nim wojska operacyjne. Wersja A1 miała wady, ale teraz jest produkowana wersja A2, poprawiona. Grot jest chwalony na amerykańskich portalach specjalistycznych. Jego swoistą rekomendacją może być to, że jest jedną z broni członków elitarniej jednostki w grze „Call of Duty: Ghosts”.

Publikacja dezawuuująca grota zbiegiem okoliczności ukazała się w momencie, gdy nasz karabinek jest przedmiotem międzynarodowego przetargu na Ukrainie i, co jeszcze bardziej przypadkowe, konkuruje ze sprzętem niemieckim. Wirtualne kule wystrzelone w plecy mogą być równie skuteczne co te prawdziwe.



Ryszard Makowski

Michał Korsun prezentuje:
Marta Lempart – nowa szeryfa w Polsce



Wycinki z przeszłości

W uroczystość Oczyszczenia N.M. Panny Kościół święci przed sumą gromnice. Nazwa tych świec pochodzi od gromu. Lud katolicki w wielu okolicach Polski zapala je w czasie grożącej burzy z wiarą i modlitwą, aby Bóg raczył odwrócić nieszczęście gromu od domostwa. Zapala też tę gromnicę i wkłada w rękę konającemu, aby światło tej świecy było mu jakoby światłem wiary, rozświecającą drogę w światłość wiekuistą – przypominał „Przewodnik Katolicki” w 1935 r.

Przypomnijmy, że święto to przypada 2 lutego. Tekst ilustrował obraz Piotra Stachewicza, na którym „postać Matki Bożej w szacie jakoby z mgły śnieżnej, z gromnicą płonąca w ręce odpędza stada głodnych wilków”. A za nią „cicha polska wieś, białym puchem śnieżnym pokryta, pod ciemnym niebem, z którego głębi słabo świecą gwiazdy”.

Redakcja podkreślała: „Piękna legenda, wyraz głębokiej wiary ludu w opiekę Najświętszej Panny i moc Jej gromnicy w chwilach śmiertelnej trwogi”.

Prawda.

(mk)



Pustoszeje przy naszym stole...

Pustoszeje i jak już przy naszym stole Żono...

Popatrz –
Choć przecie i dostatku mogłoby być
Na nim dosyć
– Z wczorajszej biesiady żaden
z kompanów
Już się nie zgłasza
Chociaż zaduma
I naszych serc, serdeczne
nadstuchiwanie
Dalej zaprasza?



Leszek Długosz

Zostaliśmy sami
Na końcu...
– Na końcu taki jest porządek świata.
I co się wcześniej wykrakało
Jakże banalnie wszystko to dzieje się i zdarza
Cichną telefony
Wzdychają zegary (ach co za czasy)
Przemknęły bale
Odfrunęły kawiarnie
Z jakiej tam strony kto mógłby się dosiadać?
W niepowrót poszły promenady
I górskie szlaki
Na brzegu wiosło
Z zaproszeniem nie zamacha...
– I ani z kim? Gdzie, po co by tam jeszcze?
Przywilej to szczególnie nas dosięgnął
Szczególne wyróżnienie?
– Po wszystkich i po wszystkich zostać
Już tak na ostatku...
– Przydatny może jeszcze z nas element
Do korekty? Czyjej jakiej?
– Ornament w retro dekoracji?

Spójrz, Żono...
– W zamysleniu smutno uśmiechniętym
Przy stole
– O czterech nogach, ze staroświeckim blatem
Siedzimy, okrążeni wokół onegdajszym majem
I bieżącą datą –
Przedawnieni i Nieprzynależni...
Czytamy w Księdze
Bolesno piękne
Najpiękniej wypowiedziane w dziejach
Zdanie...
(W nim wszak się i opowieść nasza mieści)
– Przemija postać świata –

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIĘCI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIĘCI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIĘCI i wSIĘCI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIĘCI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIĘCI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wiem. Bo nie oglądam!

Jeden z rysunków Henryka Sawki przedstawia salę w szpitalu, gdzie pielęgniarka mówi do chorego: „Włączę panu TVP”. Ten odpowiada: „To już wolę się zaszczepić...”.

Patrząc na rysunek, przypomniał nam się fragment interesującego tekstu psycholog prof. Krystyny Skarżyńskiej, jaki w grudniu 2020 r. ukazał się na stronie Fundacji Batorego. Tekst ma tytuł „Polityka i pandemia. Czas sprawdzania (testowania) i rozliczania władzy” i zawiera tezę: „Nadal próbuje się ograniczyć niezależność sądów, a rzekomo publiczne media służą wyłącznie rządzącym”.

Zostawmy sądy na uboczu i skupmy się na motywie Sawkowym – to jest stosunku do TVP. Pacjent z rysunku boi się oglądać TVP. Być może z obawy przed dysonansem poznawczym, do którego dochodzi wtedy, gdy dowiadujemy się, że nasze wyobrażenia na temat jakiegoś fragmentu rzeczywistości istotnie różnią się z faktami. Szczególnie to przykre, gdy uzmysławiamy sobie, że uparte trzymanie się fałszywych wyobrażeń nie wystawia najlepszego świadectwa naszej inteligencji. Źródłem przykrości powodowanych przez dysonanse poznawcze jest bowiem podważenie dobrych wyobrażeń na swój własny temat.

Może Sawkowy pacjent nie chce konfrontować swych wyobrażeń na temat świata z obrazem prezentowanym przez TVP, gdyż podświadomie obawia się bólu, jaki musiałby przeżyć np. przy okazji obnażenia kiepskiej jakości antypisowej opozycji, której częścią się czuje?

Nie tak dawno mówiono o badaniach wskazujących, że zwolennicy dobrej zmiany częściej oglądają TVN aniżeli zwolennicy opozycji TVP. To najwyraźniej przypadek pani prof. Skarżyńskiej. Gdyby niekiedy oglądała bowiem TVP Info, to uświadomiłaby sobie bezpod-



*Uparte trzymanie się
fałszywych wyobrażeń
nie wystawia najlepszego
świadectwa naszej
inteligencji*

stawność tezy, że „publiczne media służą wyłącznie rządzącym”. Każdego dnia na antenie TVP Info wypowiadają się bowiem parlamentarzyści i inni przedstawiciele ugrupowań opozycyjnych, którzy w dodatku niejednokrotnie wprost na łamach TVP zarzucają tej telewizji stronniczość. Są obecni i korzystają z prawa do krytyki rządzących.

Czy TVP jest bezstronna? Tego nie twierdzimy. Jest stronnicza – bardziej sprzyja formacji obecnie rządzącej niż komukolwiek innemu na naszej scenie politycznej. Ale niestety tak już jest z mediami określonymi jako publiczne od początku polskiej transformacji ustrojowej.

W roku 2018 trójka badaczy z UMK w Toruniu opublikowała artykuł „Medialna sfera publiczna we współczesnej Polsce – ocena z perspektywy modelu

liberalno-reprezentacyjnego” („Studia Socjologiczne”, nr 3). Autorzy, odwołując się do danych dotyczących obecności polityków w najważniejszych telewizyjnych i radiowych programach publicystycznych oraz miar rynkowego zasięgu poszczególnych nadawców, przeanalizowali obecność poszczególnych środowisk politycznych w polskiej medialnej sferze publicznej w okresie od listopada 2015 r. do grudnia 2017 r. Oto wynik, jaki uzyskali: „Polska sfera publiczna mieści się w demokratycznych standardach wyznaczonych przez przyjęte do analizy modele, choć zarówno nadawcy publiczni, jak i prywatni mają problemy z zachowaniem odpowiedniego poziomu reprezentatywności różnych partii w swoich stacjach”. Z ustaleń badaczy wynika, że „niewielka nad-reprezentacja PiS w mediach publicznych równoważona jest częściowo w mediach prywatnych”. (Cały artykuł dostępny jest w internecie).

Od prof. Skarżyńskiej, jako od uczoniej, można wymagać większej odpowiedzialności za słowo niż np. od przeciętnego publicysty. Nie podejrzewalibyśmy jej o chęć unikania dysonansu poznawczego, gdyby napisała: „Media rzekomo publiczne wyraźnie sprzyjają rządzącym”. Jednak używając określenia o znacznie większej mocy logicznej: „służą wyłącznie”, po prostu rozminęła się z faktami. Zakładamy, że uczyniła to z niewiedzy, a nie z chęci świadomego wprowadzenia czytelników swojego opracowania w błąd. Niewiedza jednak nie przynosi chwały badaczce, która decyduje się wypowiedzieć na jakiś temat.

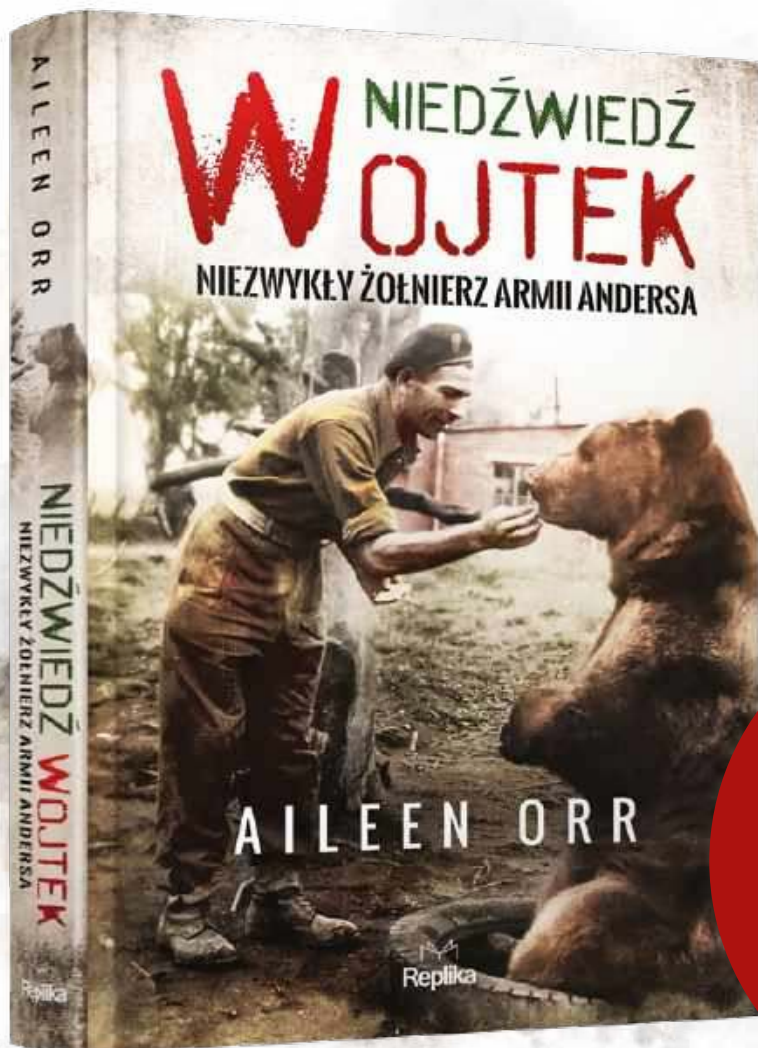
Swój interesujący tekst prof. Skarżyńska zakończyła słowami: „Może warto zacząć od weryfikacji własnych uprzedzeń i stereotypów”. Oj, warto!

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Porywająca i pełna niezwykłego uroku, a co najważniejsze, prawdziwa historia jednego z najbardziej niezwykłych kombatantów II wojny światowej – niedźwiedzia Wojtka!

Aileen Orr w swojej pięknej, pełnej humoru i prawdy historycznej książce opisuje cały szlak, jaki kapral Wojtek przeszedł z armią gen. Andersa, od Persji po Szwecję.

**90
książek
w prezencie**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **HISTORII** za **280 zł**,
a książkę **Niedźwiedź Wojtek. Niezwykły żołnierz Armii Andersa** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY




**TOTALIZATOR
SPORTOWY**



**65 LAT
TOTALIZATORA
SPORTOWEGO**

#WielkieChwile